

SIECI

**ROKITA O HOŁOWNI:
GWIAZDA WE ŁZACH,
ZAGROŻENIE DLA
OPOZYCJI**

**SOBOLEWSKI:
DO WYBORÓW
JESZCZE TRZY LATA**

**ROMANOWSKI:
CORAZ SKUTECZNIEJSZA
WALKA Z PRZEMOCĄ DOMOWĄ**

**JAKIE BĘDZIE
POKOLENIE COVID-19?
JAK RATOWAĆ
EMOCJE DZIECI?**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 49 (418) 2020
30 listopada–6 grudnia 2020

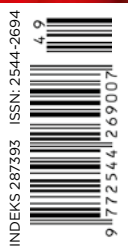
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

**TAK STRAJK
Kobiet**

**ATAKUJE,
POLICJANTÓW**

**SĄ OPLUWANI, ŁŻENI,
KOPANI PRZEZ BOJÓWKARZY.
O TYM MEDIA MILCZĄ**





「NOWA OFERTA TELEWIZYJNA ULUBIONE KANAŁY W JEDNYM PAKIECIE ZA 30 ZŁ/MIES.」



Na start pełna oferta TV przez

**3 MIESIĄCE
BEZ OPŁAT!**



TV SATELITARNA

TV KABLOWA IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach z pakietem M z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, w którym cena wynosi 30 zł/mies. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna do 27.12.2020 z możliwością przedłużenia.

„Joker”. © Warner Bros. 2019. „Faworyta”. © 2018 Twentieth Century Fox Film Corporation, TSG Entertainment Finance LLC, Channel Four Television Corporation and Jayhawk Holdings, LLC. „Paragraf 22”. © Paramount. Wszystkie prawa zastrzeżone. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Zdjęcia: DFL/Bundesliga via Getty Images, Getty Images.

Rezolucja europarlamentu – maski opadły

Parlament Europejski przyjął w ubiegły czwartek rezolucję radykalnie krytykującą ostatnią decyzję polskiego Trybunału Konstytucyjnego, który uznał aborcję eugeniczną za niekonstytucyjną.

Decyzja o przyjęciu rezolucji zapadła dzień po debacie w europarlamencie na ten temat. Wśród dyskutowanych kwestii znalazło się także przedstawienie projektu rezolucji dotyczącej „faktycznego zakazu prawa do aborcji w Polsce”. Projekt opracowały lewicowo-liberalne frakcje, a jednym z jego sprawozdawców był Robert Biedroń.

Tylko te informacje wystarczą, by pokazać treść tej rezolucji, która na temat etycznego problemu aborcji wypowiada się z radykalnie lewicowej, „postępowej” perspektywy.

Rezolucja wzywa m.in. Komisję Europejską do wywarcia presji na państwa członkowskie (oczywiście także Polskę) i zmuszenia ich do zliberalizowania przepisów dotyczących aborcji. Każde ograniczenie aborcji w rezolucji nazywane jest „dyskryminacją ze względu na gender”. Dalej rezolucja wzywa Komisję Europejską do „włączenia prawa do aborcji do następnej strategii UE w dziedzinie zdrowia”.

To tylko kilka przykładów, które przywołują „ ducha” tego dokumentu. Rezolucja jest pełna takiego progresywnego języka, co nie dziwi, gdy wiadomo, kim są jej autorzy. Jest to dokument przedstawiający poglądy proaborcyjne w radykalny sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziano w Parlamencie Europejskim.

To, co ciekawe, to fakt, że rezolucję podpisali przedstawiciele centroprawicowej parlamentarnej grupy Europejskiej Partii Ludowej (w jej imieniu polscy europarlamentarzyści z Platformy Obywatelskiej Andrzej Halicki i Elżbieta Katarzyna Łukacijewska). Oznacza to, że grupa chadeków w Parlamencie Europejskim popiera swoim autorytetem dokument, który podejmuje problem zabijania nienarodzonych osób z ekskluzywnej, „postępowej” perspektywy.

EPL nie straciła jednak całkowicie sumienia, więc pozostawiła posłom możliwość głosowania zgodnie z własnym sumieniem. W klubie doszło do podziału, w efekcie czego 33 posłów z EPL było przeciwnych temu przerażającemu dokumentowi.

Za rezolucją opowiedzieli się wszyscy posłowie Platformy Obywatelskiej (przeciwni byli oczywiście posłowie Prawa i Sprawiedliwości oraz inni członkowie frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów).

W czasie ostatnich dni poparcie PO dla proaborcyjnej rezolucji było powodem kłótni między polskimi europosłami. Członkowie EPL byli podzieleni w kwestii aborcji, z powodu czego na portalach społecznościowych Biedroń nazwał swoich kolegów z Platformy „zdrajcami Polek”.

Presja na PO (ich zgoda była kluczowa przy kształtowaniu stanowiska EPL), nad którą z pewnością pracowały znacznie poważniejsze i bardziej wpływowe osoby niż Robert Biedroń, ostatecznie się powiodła. EPL podpisała dokument, w którym zakaz aborcji jest kwestią „przemocy ze względu na płeć”. To, że złożyła do niego parę poprawek, niewiele zmienia.

Choć rezolucje PE nie mają konkretnego przełożenia na rzeczywistość polityczną, to jednak są osadzone w politycznym kontekście, są wyrazem politycznych zjawisk.

A ta najnowsza rezolucja europarlamentu mówi nam o dwóch rzeczach. Po pierwsze, europejscy chadecy kontynuują proces tonięcia w polityce lewicowo-liberalnej i zatracania swojej tożsamości politycznej. Na razie zezwalają swoim posłom na głosowanie w takich sprawach zgodnie ze swoim sumieniem. Pyta-

nie brzmi, jak długo ta wolność sumienia będzie trwała.

Po drugie, Platforma również wpisuje się w ten proces. Ich „coming out” w Parlamencie Europejskim wyraźnie mówi jedno. To tylko kwestia czasu, zanim poparcie dla aborcji na żądanie stanie się oficjalną polityką tej partii. **✂**

Goran Andrijanić




54

Nadzieja na normalność Aleksandra Rybińska


64

Jak wygrać prezydenturę Joego Bidena Marek Budzisz


67

Mistrzowskie otwarcie Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 RADA OBALENIA RZĄDU**
Krzysztof Feusette
- 9 KONFLIKT POKOLEŃ**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 MIGAWKI. BRUKOWIEC SIĘGAŁ GLINY**
Jan Pietrzak
- 13 JESZCZE O NIEPODLEGŁOŚCI**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA WASYLA WASYŁYKA**
Michał Korsun
- 15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 17 KOREAŃSKI PARTNER CPK**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

- 18 STRAJK ZADYMIARZY**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 24 KTO RZĄDZI ULICĄ**
Stanisław Janecki
- 26 REWOLUCJA PIORUNÓW**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

- 30 GWIAZDA**
Jan Rokita
- 34 Z KRZYSZTOFEM SOBOLEWSKIM**
rozmawia Edyta Hołdyńska
- 38 EKSMISJA ZA PRZEMOC DOMOWĄ**
rozmowa z Marcinem Romanowskim
- 40 PEŁNIĄCY OBOWIĄZKI POLACY**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 42 Z JOANNĄ LICHOCKĄ**
rozmawia Jacek Karnowski
- 46 AWANTURA O AWATARA?**
Wanda Zwinogrodzka
- 50 POKOLENIE COVID-19**
rozmowa z dr Sabiną Zalewską
- 54 NADZIEJA NA NORMALNOŚĆ**
Aleksandra Rybińska

ŚWIAT

- 58 PODWÓJNE STANDARDY W SPRAWIE PEDOFILII**
Włodzimierz Rędzioch
- 60 NIE PŁACZ PO MNIE, ARGENTYNO**
Cezary Kowalski
- 62 NARÓD W STREFIE ZGNIOTU**
Grzegorz Górny
- 64 JAK WYGRAĆ PREZYDENTURĘ JOEGO BIDENA**
Marek Budzisz

SIECI KULTURY

- 67 MISTRZOWSKIE OTWARCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 70 MOŻE OSTATNI RAZ DOSTAŁEM CZAS**
Robert Tekieli
- 71 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 72 POLECA**
Łukasz Adamski

KUCHNIA

- 90 MOJE SMAKI: NATASZA LEŚNIAK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 92 SUBSTITUTIO**
Wojciech Reszczyński
- 93 EKSPERT DO WALKI Z PANDEMIA**
Jerzy Jachowicz
- 94 NEKROODWAGA**
Aleksander Nalaskowski
- 95 ŚLALOM W ZARAZIE**
Wiktor Świetlik
- 95 Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Agnieszka Ponikiewska
- 96 UNIA PĘCUNIA NON OLET**
Ryszard Makowski
- 97 DLA PRZYPOMNIENIA, DO PAMIĘTANIA...**
Leszek Długosz
- 98 SŁOWO ROKU 2020**
Katarzyna Zybortowicz

Sprawdza się w każdej sytuacji



ZDALNE
POTWIERDZANIE
TOŻSAMOŚCI



AUTOMATYCZNA WERYFIKACJA
ORYGINALNOŚCI DOWODU
OSOBISTEGO



PODPIS
ELEKTRONICZNY



KORZYSTANIE
Z USŁUG E-URZĘDÓW

*Dowiedz się więcej na www.edoapp.pl

Bezpłatna aplikacja eDO App

to najnowszy produkt IT w portfolio PWPW S.A., dostępny dla każdego posiadacza dowodu osobistego z warstwą elektroniczną oraz smartfona z modulem NFC*.

Jest ona prostym i wygodnym sposobem na korzystanie z e-dowodu bez użycia czytnika. Pozwala zdalnie potwierdzić tożsamość własną lub klienta, a także bezpiecznie zawierać umowy i podpisywać dokumenty.

Sygnalista nadaje

🔊 Szczere wyznanie posła opozycji Jakuba Rutnickiego w sprawie mechanizmu zniewolenia politycznego: „Oczywiście, trzeba wspierać ten mechanizm, bo trzeba doprowadzić do tego, aby PiS jak najszybciej utracił władzę w naszym kraju, a my obiecujemy, jako Platforma Obywatelska, że każde euro, które zostało zmarnowane przez partaczy z PiS-u, zostanie odzyskane”. Czyli PiS zabiorą, a PO oddadzą. Wszystko oczywiście w ramach walki o „praworządność”.

🔊 „Praworządność unijna” jest znacznie ulepszoną wersją „praworządności socjalistycznej”, bo przeciwko tamtej teoretycznie można było walczyć za pomocą narzędzi prawnych, zwłaszcza w późniejszym okresie PRL. Teraz narzucają rozwiązania, które oddadzą władzę nad Polską jakiejś niewidocznej brukselskiej wyroczni. Bez prawa odwołania się, bez jasnych kryteriów, bez litości. Rząd, który coś takiego zaakceptuje, podpisze wyrok i na siebie, i na przyszłe pokolenia.

🔊 **Kamila Gasiuk-Pihowicz:** „Porównywanie groźby weta Holandii do groźby polskiego weta to żart. Holandia płaci, więc wymaga. Nasz kraj z unijnej kasy więcej bierze, niż dokłada – więc weto to nie jest zajmowanie stanowiska negocjacyjnego, ale strzał we własne kolano...”. Żartem historii jest to, że ludzie tak straszliwie zwasalizowani w sferze mentalnej siedzą w polskim parlamencie.

🔊 Posel KO Krzysztof Mieszkowski idzie jeszcze dalej: „Państwo PiS chce Polski narodowo-katolickiej, nie

europejskiej. A my w Polsce jesteśmy Europejczykami polskiego pochodzenia”. Mocne zdanie. Przypomina się wypowiedź Palikota, który już w 2012 r. stwierdzał: „Przyszł dzień Polakom, że muszą się wyrzec swojej polskości”. Tradycja narodowej apostazji nie umarła. Szkoda, że tylko raz czy dwa w naszych dziejach potraktowaliśmy ją tak, jak na to zasługuje.

🔊 Niestety, to się nadal reprodukuje. „Lubię się postrzegać jako kosmopolitę i uważam, że patriotyzm jest czymś absolutnie złym” – wypalił 17-letni Jan Radziwon w TVN24, po czym rozwinął: „Ja mam w ogóle zastrzeżenia do patriotyzmu. Uważam, że patriotyzm wcześniej czy później prowadzi do nacjonalizmu i do tego, co się dzieje. O tym pisał np. Lew Tolstoj i wielu różnych ludzi mądrych”. Ale to nie Tolstoj, to Róża Luksemburg.

🔊 W istocie kadrówka tzw. Strajku Kobiet garściami czerpie z dorobku bolszewików. Nie ukrywają, że chcą np. zniszczyć władzę rodzicielską. „Powołujemy osoby moderatorów, które będą siecią działaczek Strajku, które będą służyć swoim wsparciem, gdy będzie potrzebna ingerencja w rozmowy między dziećmi a rodzicami, którzy zmuszają je do uczestnictwa w obrządkach religijnych czy w lekcjach religii” – zapowiedziała jedna z aktywistek. Dobrze radzimy: od dzieci trzymajcie się z daleka. Zajmijcie się swoimi, jeśli je macie.

🔊 Są też konkretne plany polityczne. „Po PiS będziemy mieć tymczasowy rząd techniczny pod kontrolą obywatelską, nie partyjną. Rząd

🔊
Ks. Adam Boniecki:
„Nie podpiszę listu w obronie JP2 i nie będę walczył o nazwy ulic, co zaś do pomników, to ich niegdyś wysyp musiał się źle skończyć”.
Odpowiedział ks. Daniel Wachowiak: „Duchowny, który broni Nergala, mężczyźni o pseudonimie Margot, twierdzi, że to dla prawdy. Piłat też coś o prawdzie mówił”. Tak. Pamiętajmy – każdy z nas stanie przed sądem Bożym.

ekspercki, z bardzo ograniczonymi możliwościami i konkretnie określonymi zadaniami wyprowadzenia nas z bagna. [...] Będą w nim ludzie robiący rzeczy, w tym być może także osoby będące politykami. Tylko pod warunkiem, że potrafią zapie...lać” – oświadczyły panie Lempart i Suchanow. Cóż, Kijowski też snuł plany. Najgorzej to źle rozemnieć własne kompetencje.

Widmo rewolucji krąży więc nad Polską, choć nie wszystkich jeszcze porwało. Wątpliwości (chyba przejściowe) zdaje się mieć **Tomasz Lis**: „Zdradzę sekret pragnącym zmiany prawa w Polsce w różnych kwestiach. Są dwa sposoby. Jeden to referendum. [...] Drugi – zdobycie ponad połowy mandatów w Sejmie. Innego sposobu nie ma i raczej nie będzie”. Odpowiedziała mu rzeczniczka Lewicy Anna-Maria Żukowska: „Dobra, Stary. Weź nie demotywu, co? Bo jest jeszcze co najmniej trzeci sposób i nazywa się rewolucja”. Może i będzie w Polsce rewolucja, ale jeśli będzie, to pożre i Lisa, i panią Żukowską.

Rewolucji chce także **Lech Wałęsa**. „Nie mamy wyboru” – stwierdził, publikując jednocześnie w mediach społecznościowych ilustrację ukazującą dłoń trzymającą koktajl Mołotowa. „Kiedy niesprawiedliwość staje się prawem, opór staje się obowiązkiem” – głosi zamieszczony na grafice cytat z Thomasa Jeffersona. Panie prezydencie, niech pan uważa, bo się pan poparzy; koktajle Mołotowa często eksplodują w rękach.

W kwestii rewolucji Ludwik Dorn stawia na wiosnę: „Od sierpnia przedstawiałem pogląd, że PiS da się odsunąć od władzy tylko na drodze demokratycznej rewolucji, której wynik usankcjonują jedynie demokratyczne wybory. Od końca października formułuję pogląd, że narastają przesłanki tej rewolucji, która może wybuchnąć po zrelaksowaniu uścisku pandemicznego, najpewniej na wiosnę przyszłego roku”. Nie, Zjednoczona Prawica najgorsze ma już za sobą. Nie przeszli.

W mediach histeria wokół zatrzymania – na chwilę – fotoreporterki „Gazety Wyborczej”. Co prawda nagrania wskazują, że wykonała taki ruch nogą, jakby chciała kopnąć policjanta, ale widocznie, zdaniem głównego nurtu, policjantów wykonujących rozkazy tej władzy można kopać. Co więcej, media bagatelizują to, że fotoreporterka kilka razy błysnęła policjantom fleszem w oczy. A przecież – jak powiedziała w rozmowie z portalem wPolityce.pl dr Hanna Karp: „Jej zachowanie zmieniło tym, że policjant mógł stracić wzrok – ostry flesz oślepił go z wielkiej odległości. Strzał fleszem w oczy to rodzaj

fizycznej napaści na drugą osobę”. Święta racja. Skoro to takie niewinne zachowanie, to może niech fotoreporterka postrzela fleszem naczelnym „GW”?

Gdy rewolucja zwycięży, zapanuje wolność. Będzie to jednak – możemy być pewni – coś na wzór wolności niemieckiej. Tak ją opisuje korespondent TVP Cezary Gmyz: „Nie ma czegoś takiego jak wolność słowa w Niemczech. Nie toczy się żadna dyskusja, ponieważ ludzie żyją w strachu, że gdyby coś powiedzieli, co byłoby krytyczne wobec środowisk LGBT, to mogliby np. stracić za to pracę. Wszyscy ludzie, którzy nie zgadzają się z tym, co wyznacza główny nurt niemieckiego myślenia, są zagrożeni”. I o to w tym chodzi: o nałożenie smyczy i kagańca.

Żeby nie być gołosłownym – w zeszłym tygodniu sąd okręgowy w Bremie skazał pastora protestanckiej kongregacji St. Martini na trzy miesiące pozbawienia wolności, zamienione na grzywnę. Sędzia Ellen Best orzekła, że 53-letni duchowny Olaf Latzel podlegał do nienawiści wobec homoseksualistów. Chodzi o następujące zdania: „Cały brud gender jest atakiem na Boży porządek stworzenia, jest głęboko diaboliczny i szatański” oraz „Ci przestępcy biegają wszędzie na Christopher Street Day”. Represja miękka zamienia się w represję twardą. Kolejnym krokiem będzie kara bezwzględniego więzienia, bez zamiany na grzywnę.

Jeśli już o Niemczech mowa. Ambasador tego kraju w Warszawie Arndt Freytag von Loringhoven tak oto uczcił ważną historyczną rocznicę: „Dokładnie 75 lat temu rozpoczął się proces norymberski. Przed sądem stanęli mężczyźni odpowiedzialni za najohydniejsze zbrodnie w historii. A mimo to sędziowie umożliwili im sprawiedliwy proces. Był to triumf cywilizacji nad barbarzyństwem. Nigdy więcej”. Piękny wpis. Narodowość sprawców zbrodni staje się coraz większą zagadką.

Posel Konfederacji Artur Dziambor pokonał COVID-19, ale bój był ciężki. „Kaszel był taki, że się dławiłem, przez tydzień praktycznie nic nie jadłem. Miałem problemy ze wstaniem z kanapy. Byłem półprzutomny. Po tygodniu trafiłem do szpitala. Dostałem tam tlen i odpowiednie leki”. Czy to doświadczenie zmieniło jego ocenę postawy Konfederacji w kwestii pandemii? „Bawię się konwencją. Mówiąc trochę żartem, powiem, że zachorowałem wtedy, gdy zacząłem nosić maskę. Wcześniej razem z Grzegorzem Braunem się buntowałem, bo nie było prawa zmuszającego nas do noszenia masek” – odpowiedział Dziambor. Rzeczywiście, konfederacka logika w pełnej krasie.



Rada Obalenia Rządu



KRZYSZTOF FEUSETTE

Lempart: Siema, k... wszystkim. Otwieram pierwsze posiedzenie Rady Wypier-Papier Wszyscy Won, czyli alternatywnej rady minister i ministrów pod moim skrobnym, sorry, skromnym przodownictwem. Nazwiska nominowanych ogłoszę, jak tylko spiszymy, o co nam chodzi. Teraz komunikaty: zmieniliśmy datę święta niepodległości na 28 listopada oraz wprowadzamy do szkół moderatorki, które będą pilnować, żeby dzieci nie musiały słuchać rodziców. Osobiście uważam dzieci za nudne...

Kosiniak: Przepraszam, że wejdę w słowo...

Lempart: Nie wejdiesz, psia mać. A jak wejdiesz, to wyjdiesz. W kawalkach! Nie rznij mi tu tygrysa, bo w cyrku skończysz, jasne?

Czarzasty: Ojej, ale czemu moje słońce już się złości? Przecież nam wszystkim chodzi o to samo. Po prostu nie możesz...

Suchanow: Stul pysk, dziadersie!

Lempart: Zostaw go, Klementynko. Szkoda twojej elokwencji, Włodek się zapędził, ale Włodek przeprosi, prawda?

Czarzasty: Ojej, ale przecież Włodek był z wami, jest i będzie, choćby miał całą policję do szpitala posłać. Wy nawet nie wiecie, jak Włodek się poświęca za naszą i waszą aborcję! Ja musiałem wszystkie lustra pozdejmować, bo mnie własna gęba ganiała po chałupie i od „siewców śmierci” wyzywała! Przecież ja pisowcom krew na rękach wyrzucałem przy 300 zakażeniach dziennie!

Lempart: Co ty pieprzysz, Włodziu?! Po pierwsze, nie ma dowodów na to, że jest więcej zakażeń, jak się ludzie spotykają. Po drugie, Edzia Górniak mówiła, że w szpitalach leżą statysty, a to nie jest głupia babka, skoro twierdzi, że woli umrzeć, niż się zaszczepić. My, oczywiście, mamy w programie walkę z pandemią, ale najpierw aborcja na telefon.

Czarzasty: A co jeszcze?

Lempart: Akurat dla ciebie, Włodziu, jest zadanie arcyważne. Będziesz mnie udawał na konferencjach prasowych, oczywiście w peruce i garsonce zamiast tych twoich gejowskich sweterków. A ja z kolei będę za ciebie chodziła do Sejmu. Żeby się nie pokapowali, rozumiesz?

Czarzasty: A jak mnie aresztują?

Lempart: Zmienisz płeć, odbębnisz swoje na żeńskim, więc nie narzekaj, sama bym chciała. A potem wyjdiesz w zupełnie innej Polsce. A może nawet w innym kraju?

Tusk: Ale dopuszcza pani, jak rozumiem, możliwość współpracy także z mężczyznami?

Lempart: A my się w ogóle znamy? Jakoś cię, synku, na marszach nie widziałam.

Budka: Proszę zważać na słowa, to jest...

Lempart: Leżeć, Borys. Albo wiesz co.

Scheuring-Wielgus: Dokładnie. Skończyły się wasze pierd...lety, zaczął się czas naszego wyp...dalania. Dziewczyny, albo my ich wyp..., albo oni nas!

Budka: A może powinny panie spisać listę tych, których należałoby wypier... w pierwszej kolejności? Ja bym to objął patronatem...

Lempart: Pan wciąż nie ogarnia, panie Budka. Obiecałam panu tekę ministrowi sprawiedliwości, żeby pan pozamykał pisowców, a potem pilnował, by obrońcy praworządności mogli łamać prawo w ramach walki o praworządność.

Budka: Oczywiście. Jednakowoż...

Lempart: Dobra, bo już widzę, że się nie dogadamy. Weź sobie krakersy i wypad.

Tusk: A co ze mną?

Lempart: A ty jesteś od nas w ogóle?

Tusk: No, tak. To znaczy, obecnie mieszkam w Brukseli, ale kiedyś...

Lempart: Córką ma bloga o modzie?

Tusk: Dokładnie. A ja kiedyś na czele rządu...

Lempart: Dobra, już kojarzę. Ale chyba fryzurę zmieniłaś? Co, Ewuniu?

Tusk: Tak. To znaczy nie. Ewunia była po mnie...

Suchanow: Ja rozpoznaję

tego mężczyznę. On kiedyś mówił, że ten, kto atakuje policjanta, ten atakuje państwo. I że łączenie funduszy unijnych z zasadą praworządności byłoby wielkim błędem Unii Europejskiej.

Tusk: Ale już tak nie uważam. Przysięgam.

Lempart: Na co?

Tusk: Na życie Schetyny.

Lempart: Na co liczysz, chłopaku?

Tusk: Na cokolwiek. Jak jest rewolucja, to wszystkie ręce na platformę, co nie? To znaczy pokład. A pani ma wielki talent. Do tego świetnie wypada pani w mediach. No i w ogóle bardzo mi się podoba...

Lempart: Proszę się uspokoić, jestem wyautowana, ale nie do tego stopnia, żeby dać się uwodzić komuś takim...

Tusk: ...wszystko to, co pani robi. Naprawdę. Jak dziadka kocham.

Lempart: Dobra, zmykaj już do tej swojej Brukseli i załatw nam trochę grosza w euro. A jak napiszesz farbą na Siusiującym Chłopcu, że ten „Manneken też j... PiS”, to pogadamy o czymś więcej. Ty byś mi nawet na nowego Brzęczka pasował, też brzęczysz, a nie potrafisz... Ojej, dobrze, już nie trzeba. Ejże, co ty robisz? W rękę mnie chciałeś pocałować? No, oszołom zupełnie...

Konflikt pokoleń

Gdy przyniosłam czerwoną sukienkę, w którą przestałam się mieścić dziecko temu, Najstarsza zawyrokowała: „Mamo, to październik, nie sprzedaje się”

„Czy mogę sprzedać ciuchy, w których już nie chodzę?” – zapytała Najstarsza. Oczyma wyobraźni ujrzałam ją stojącą w zimnie na bazarku z połówką i z troską zapytałam: „A nie zmarzniesz?”. Spojrzała na mnie z politowaniem. „Przez internet, mamo”.

Zgodę oczywiście wyraziłam, tym bardziej że zalegające po szafach ciuchy, to nasza zbrodnia. Dzieci szybko rosną. Czasem coś się uda oddać młodszemu, czasem przekazać potrzebującemu, a sporo ubrań leżakuje, czekając, aż ktoś młodszy podrośnie. Przeważnie te oczekujące ciuchy wraz z kurzem pokrywa mgła zapomnienia i gdy odnajdą się na przedsięwziętych wykopalskach, okazuje się, że są już za małe na tych, na których oczekiwały. Inicjatywa córki wzbudziła więc mój niemal entuzjazm. Postanowiłam się podłączyć pod cudowną aplikację i wrzucić coś swojego.

Gdy przyniosłam czerwoną sukienkę na ramiączka, w którą przestałam się mieścić dziecko temu, Najstarsza spojrzała na mnie podejrzliwie i zawyrokowała: „Mamo, to październik, nie sprzedaje się”. Choć poczułam się lekko urażona tą druzgocącą krytyką, postanowiłam się nie zrażać i oddałam jej sukienkę. Niestety, miała rację. Podczas gdy jej fioletowe spodnie dresowe i bluza z nadrukiem „Przyjaciele” robiły furorę, na mojej sukience nikt nawet zdalnie nie zawiesił oka. „Mamo, bo to jest apka dla młodych” – pocieszyła córka.

Jakoś nieswojo zrobiło mi się z myślą, że niepostrzeżenie stetryczałam, ale już od jakiegoś czasu podejrzewałam, że ten proces mógł zająć choćby dlatego, że zaczęłam ni stąd, ni zowąd krytycznie się odnosić do szkolnych (gdy jeszcze szkoła istniała) stylizacji córki. I niczym moja mama krytycznie podchodziła niegdyś do modnych wówczas zakolanówek, tak samo ja zaczęłam podchodzić do garderoby córki z pewną dozą nieufności. Moją wyjątkową podejrzliwość już od kilku sezonów budzą wystawione na działania zimna kostki. I to bez względu na to, czy spodnie są szerokie, czy wąskie, kostka marzenie. Poza tym te wielkie buciory...

Dziś sportowe obuwie przypomina bardziej gotowy do lotu poduszko-wiec niż funkcjonalny but. Jednak gdy widzę reklamy adresowane do młodzieży, odkrywam, że młodzi ludzie wyglądają na nich dość podobnie, i się uspokajam. Myślę wtedy, że to ten osławiony konflikt pokoleń i niemożliwy do przeskoczenia brak odzieżowego porozumienia na gruncie córczyno-matczynym.

Z drugiej jednak strony są takie chwile, gdy tzw. konflikt pokoleń wydaje się nie istnieć. Kiedyś chętnie topiłam się w ubraniach mamy, a dziś równie chętnie wbijam się w ubrania Najstarszej. Oczywiście w te bardziej akceptowalne. Dziecko czasem jest tak łaskawe, że przynosi jakieś spodnie i mówi: „Już z nich wyrosłam,

chcesz?”. I biorę. W ten sposób stałam się np. szczęśliwą posiadaczką młodzieżowych bojówek.

Konflikt pokoleń jakoś nie działa także w kwestiach makijażu. Kiedyś, żeby wiedzieć, jak „zrobić oko”, człowiek musiał kupować modowe gazety i z zapartym tchem śledzić trendy, podglądało się też ukradkiem, co tam mama w łazience robi. Dziś wszystko jest w sieci. Żeby nauczyć się robić fajny makijaż, wystarczy obejrzeć właściwy tutorial. I zamiast to córka podglądać mnie, ja wpadam do niej, żeby mnie podmalowała. Robi to perfekcyjnie. A jak tylko nie patrzy, to używam jej pędzli i cieni. Jakież takie fajniejsze są niż moje. Jak kiedyś te mojej mamy.

Dziwna sprawa z tym konfliktem pokoleń. Najpierw chcesz być, człowieku, dorosły. Przebierasz się za mamę, chcesz być jak mama. A jak już jesteś mamą, żeby nie powiedzieć „mamuśką”, to wolisz udawać, że przemijanie cię nie dotyczy, czas zatrzymał się w miejscu i chcesz być jak córka.

„Sprzedała się – oznajmiła wreszcie Najstarsza, mówiąc o czerwonej sukience. – I wiesz, dziwna sprawa, ale poszła drożej, niż ją wystawiłam, bo jakieś babki zaczęły się o nią kłócić i licytować w górę”. „Małolaty?” – chciałam wiedzieć. „Na oko dwie dwudziestki” – odparła z uznaniem.

Uśmiechnęłam się tylko do swojego wewnętrznego ja. Może jeszcze nie jest tak źle, jak się wydawało...

Dorota Łosiewicz



Przewodniczący komisji landowych szefów MSW Georg Maier (SPD) nie wyklucza zakazu działalności Alternatywy dla Niemiec (AfD), partii legalnej i obecnej w Bundestagu. Miałoby to być odpowiedź na wybór Björna Höckego (na zdj.) na szefa tej partii w Turyngii. Höcke jest uważany przez niemiecki kontrwywiad za prawicowego ekstremistę, jednak w Turyngii pozostaje on bardzo popularnym politykiem, mimo kontaktów z kręgami neonazistowskimi. Ale nie jest to jedyny powód pogroźek Maiera, i może nawet nie najważniejszy. Drugim są incydenty, do których doszło 18 listopada w Bundestagu podczas debaty nad nowelizacją ustawy o walce z chorobami zakaźnymi. Przed parlamentem odbywał się wtedy wielotysięczny protest przeciwników ustawy, jednak niewielkiej grupce udało się przedostać pod salę obrad, gdzie nagabywała posłów. Do gmachu mieli ich wpuścić posłowie AfD.

Nawiązując do tego Georg Maier powiedział, że „AfD przeistacza się w parlamentarne ramię prawicowych ekstremistów” i stara się „podważyć od środka

Spór o delegalizację

demokrację w naszym kraju”. Jego zdaniem politycy innych ugrupowań powinni zdystansować się od AfD, a jeśli to nie pomoże, to należałoby zdelegalizować tę partię. Propozycje Maiera nie wzbudziły jednak entuzjazmu. Według sekretarza generalnego FDP Volkera Wissinga „polityczna konfrontacja z AfD jest lepsza niż wydanie zakazu jej działalności”. Podobnego zdania jest także większość mediów. Rzecz jasna Maiera krytykują również politycy AfD, w tym Björn Höcke, który uznał wypowiedź Maiera za „głupią” i ocenił, że „najwidoczniej nie jest on w pełni władz umysłowych”. A drugi przewodniczący partii Tino Chrupalla dodał, że inicjatywa polityka SPD to „próba odwrócenia uwagi opinii publicznej od prawdziwych problemów, obaw i trosk obecnie trapiących ludzi, w postaci ograniczeń ich swobód obywatelskich w koronakryzysie”.

Inna rzecz, że delegalizacja działającej partii nie byłaby łatwa. Eksperci przypominają, że w przeszłości już



Niemcy

dwukrotnie bezskutecznie usiłowano zdelegalizować neonazistowską NPD. Za pierwszym razem Trybunał Konstytucyjny uznał, że nie może rozstrzygnąć spawy, bo partia jest zbyt silnie zinfiltrowana przez kontrwywiad, a za drugim stwierdził, że choć NPD ma za cel obalenie porządku konstytucyjnego, to posiada zaledwie 6 tys. członków, więc jej wpływ na tenże porządek jest mocno ograniczony. Tymczasem AfD, przynajmniej oficjalnie, wcale nie kwestionuje zasad demokracji w Niemczech.

Jak dotąd w RFN zdelegalizowano tylko dwie partie: w 1952 r. Socjalistyczną Partię Rzeszy (SRP), uważaną za kontynuatorkę NSDAP, oraz cztery lata później Komunistyczną Partię Niemiec (KPD), bo chciała ustanowić „dyktaturę proletariatu”.

Aleksandra Rybińska

Chur to 33-tysięczne miasteczko w Szwajcarii, będące stolicą kantonu Gryzoniu. Jest ono zarazem stolicą diecezji, która obdarzona została specjalnym przywilejem papieskim, wywodzącym się jeszcze z czasu sporów o inwestyturę. Ten specjalny status dotyczy sposobu nominowania miejscowego biskupa. W przypadku Chur to nie papież mianuje ordynariusza diecezji – on jedynie przedstawia trzy kandydatury, a spośród nich wyboru biskupa dokonuje kapituła katedralna.

Do tej pory wydarzenie miało zazwyczaj odświętny charakter. Zaczynało się uroczystą mszą w katedrze, po której elektoży udawali się do pałacu biskupiego, by dokonać wyboru, a w tym czasie wierni czuwali w świątyni, modląc się o światło Ducha Świętego dla kanoników. Tym razem tradycja została jednak złamana. W niedzielę 22 listopada niespodziewanie ogłoszono, że wybory odbędą się następnego dnia rano i nie zostaną poprzedzone żadnymi uroczystościami.

Stolica biskupia w Chur pozostawała nieobsadzona od maja 2019 r., gdy na emeryturę przeszedł 77-letni ordynariusz Vitus Huonder. Po nim diecezją zarządzał tymczasowo jako administrator apostolski bp Pierre Bürcher, wcześniej posługujący m.in. w Rejkiawiku. Wierni w kantonie od dawna spodziewali się więc nowych wyborów, ale ogłoszona nagle decyzja zaskoczyła wszystkich.

23 listopada w pałacu biskupim w Chur zebrało się 22 członków kapituły katedralnej, aby wyłonić nowego ordynariusza spośród trzech kandydatur przedstawionych im przez Franciszka. Obrady zakończyły się dość szybko, a ich rezultat

wywołał zdumienie mieszkańców. Kanonicy większością głosów odrzucili bowiem wszystkich faworytów Watykanu. Do wiadomości publicznej nie podano nazwisk żadnego z pretendentów, jednak z przecieków wynika, że nie uzyskali oni akceptacji elektorów, ponieważ byli zbyt liberalni. Kanonicy nie chcieli podpisywać się pod takim wyborem. Prawo kościelne mówi, że następny ruch należy do Rzymu. Oznacza to, że nowego biskupa Chur wskaże już sam Franciszek.

Grzegorz Górny

+ Szwajcaria

Faworyci Franciszka odrzuceni



Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Chur



Izrael 

Wizyta tajna, choć jarena

Izraelski premier Benjamin Netanjahu (na zdj.) w towarzystwie szefa Mossadu Yossi Cohena miał, jak informują dzienniki izraelskie i amerykański „The Wall Street Journal”, odbyć tajną podróż do Arabii Saudyjskiej i spotkać się z następcą tronu Mohammedem bin Salmanem.

Saudyjczycy nie utrzymują oficjalnych relacji dyplomatycznych z Izraelem i energicznie zaprzeczają, że doszło do spotkania, jednak izraelskie media opublikowały zapis lotu, jaki w weekend wykonał samolot Netanjahu. Wynika z nich, że maszyna, z której zwykle korzysta izraelski premier, wylądowała na saudyjskim lotnisku w Neom. Wizytę potwierdził również izraelski minister edukacji Yoav Galant, który powiedział, że spotkanie było „niezwykłym osiągnięciem”. Pozostali członkowie rządu nie chcieli niczego komentować.

Arabia Saudyjska pozostaje państwem oficjalnie nieuznającym Izraela i uzależniającym zmianę swojego stanowiska od uzyskania przez Palestyńczyków niepodległego państwa ze stolicą we wschodniej Jerozolimie. Jednak ta tradycyjna linia saudyjskiej dyplomacji jest dziś kwestionowana przez młode pokolenie, do którego należy następca tronu, opowiadający się za pragmatyczną kooperacją z Izraelem przeciwko wspólnemu wrogowi, jakim jest Iran. I właśnie o polityce wobec Iranu Netanjahu miał rozmawiać z bin Salmanem.

Rozmowy z Arabią Saudyjską są kolejnym, w ostatnim czasie, krokiem Izraela dążącego do normalizacji stosunków z antyirańskimi państwami arabskimi. Wcześniej pod egidą Waszyngtonu Izraelowi udało się zawrzeć porozumienie z Sudanem oraz nawiązać stosunki dyplomatyczne ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Bahrajnem. Obserwatorzy zwrócili też uwagę, że w czasie ostatniej wojny azersko-armeńskiej Izrael nie zaprzestał dostarczać Baku uzbrojenia, co zostało odczytane jako wyraźny gest polityczny, zarówno pod adresem wspierającej Azerbejdżan Turcji, jak i Iranu, w którym znaczącą mniejszość, szacowaną nawet na 20 mln ludzi, stanowią Azerowie.

Sukcesy Netanjahu mogą jednak zostać przesłonięte przez kolejny kryzys rządowy w Izraelu i czwarte już w ciągu ostatniego półtora roku wybory do parlamentu.

Marek Budzisz

Chcą do Ameryki

Portoryko 

Wyborom prezydenckim w USA towarzyszyły różne referenda. W Oregonie zdekryminalizowano używanie narkotyków (łącznie z twardymi jak heroina). W Dystrykcie Kolumbii zniesiono kary za posiadanie grzybków i ziół halucynogennych. Natomiast w Portoryko uznano, zresztą już po raz szósty, że kraj ten powinien stać się 51. stanem USA.

Portoryko od 1917 r. jest państwem stowarzyszonym ze Stanami Zjednoczonymi. Mieszkańcy wyspy są obywatelami Stanów, ale prawo do głosowania w amerykańskich wyborach zyskują dopiero po osiedleniu się w USA. Mają swojego przedstawiciela w Izbie Reprezentantów USA, jednak nie ma on prawa głosu. Mieszkańcy nie płacą też federalnego podatku dochodowego.

Od lat w Portoryko toczy się debata na temat przyszłości wyspy. Jest grupa mieszkańców domagających się pełnej niepodległości. Jednak większość, co potwierdzają kolejne referenda, chciałaby wejść w skład Stanów Zjednoczonych. W 2017 r. aż 97 proc. głosujących opowiedziało się za przyłączeniem do USA, choć frekwencja wyniosła wtedy tylko 23 proc.

3 listopada referendum miało inną formę niż poprzednie. Można było odpowiedzieć tylko „tak” albo „nie” na pytanie, czy wyspa powinna być częścią USA. 52 proc. odpowiedziało się za przyłączeniem do Stanów Zjednoczonych, a 47 proc. było temu przeciwnych. Tym razem głosowało aż 52 proc. uprawnionych.

Zwolenniczką przyłączenia do USA jest obecna gubernator wyspy Wanda Vázquez Garced z Nowej Partii Postępowej. Jednak referendum nie wywołuje skutków prawnych, bo o przyłączeniu wyspy do Stanów Zjednoczonych decyduje amerykański Kongres. Jednak coraz częściej mówi się o tym, że trzymilionowa społeczność wyspiarzy to duża siła wyborcza, zważywszy że 17 obecnych stanów USA ma mniejszą populację niż Portoryko. Może to mieć spore znaczenie właśnie teraz, po zwycięstwie Joeego Bidena, bo potencjalni nowi wyborcy sprzyjają demokratom. Donald Trump mocno zniechęcił do siebie Portorykańczyków, gdy po huraganie Maria, który w 2017 r. spustoszył wyspę (3 tys. ofiar śmiertelnych), miał rozważać sprzedaż wyspy i oskarżał lokalne władze o wyłudzenie miliardów dolarów pomocy federalnej.

Liberalny „Washington Post” uważa, że należy wziąć pod uwagę wynik referendum i przy sprzyjającej Portoryko administracji Bidena rozważyć przekształcenie wyspy w 51. stan USA. Nasuwa się jednak pytanie, czy chcą tego sami Amerykanie. W poprzednich latach takie projekty szybko upadały w legislacyjnych procedurach.

Łukasz Adamski



Fot. Shutterstock

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Migawki. Brukowiec sięgnął gliny

Furiatki szalejące po Warszawie przykuły się do bramy Ministerstwa Edukacji, co przykuło uwagę policji, która zabrała je „na dół” przy Wilczej. Na naukę nigdy nie jest za późno, lecz trzeba ją rozpoczynać od właściwego poziomu.

Posel Trela ujawnił, że opozycja liczy na zemstę. Problem w tym, że nie jest łatwo mścić się na własnej głupocie. Czy podolają umysłowo temu wyzwaniu?

W Warszawie urzędnicy wycofali z ulic dmuchawy do sprzątania liści. Sprzęt leży nieużywany. Jest okazja wydmuchać Ratusz.

Szwajcarska firma Patek, produkująca najdroższe zegarki, wprowadza się do Polski. W sytuacji, kiedy znany kolekcjoner drogich zegarków Sławomir N. zamknięty jest na klucz, wygląda to na złośliwe nękanie aresztanta.

Szowinistyczna męska telewizja często ogłasza, że rolnik szuka żony. O tym, która żona szuka rolnika, manipulatorzy Kurskiego świadomie z premedytacją nie wspominają.



**Jan
Pietrzak**

Polityczne akcje kobiet w ostatnich tygodniach stają się coraz bardziej dziwaczne dla ogółu społeczeństwa. Powraca refren piosenki „Gdzie ci mężczyźni, prawdziwi tacy?” w świetnym wykonaniu Danusi Rinn. Ech, gdzie te kobiety? Podczas konkursu skoków w Wiśle zielona linia na śniegu zwirowała. Partia Zielonych znowu zmajstrowała coś głupiego.

Ambasador niemiecki zabrał głos w sprawie historycznego procesu w Norymberdze, w którym sądzoni byli, jak zauważył – mężczyźni. Ani naziści, ani Niemcy, kobiety też nie... Ambasador najwyraźniej nie wie, gdzie pełni misję.

Jeden z regionów Belgii, Walonia, zrywa stosunki z Polską z powodu stref LGBT. Wicie co, Waloni/Walonowie? Walcie się sami w swojej strefie.

Pewna dziennikarka z gazety dla inteligentów bezobjawowych podczas zadymy kopała policjantów, obrzucała ich wyrazami, oślepiła fleszem. Pewnie takie otrzymała instrukcje. Brukowiec zszedł na psy i sięgnął gliny.

Wyjątkowe teatralne spotkania

Z Tadeuszem Słobodziankiem, dyrektorem Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Wyjątkowy rok i taka też edycja 40. Warszawskich Spotkań Teatralnych?

Tadeusz Słobodzianek: Kilka miesięcy temu stało się dla nas jasne, że ze względu na panującą sytuację musimy zmienić formułę festiwalu, że tłumne spotkania w teatrze nie będą możliwe. Chcieliśmy jednak utrzymać charakter uczestniczenia w wydarzeniu na żywo, zachowując jednocześnie wszelkie wymogi bezpieczeństwa, tak że spektakle zostaną zagrane na scenach macierzystych teatrów i stamtąd będą transmitowane. Jubileuszowe Spotkania będą wyjątkowe w inny sposób, niż się tego spodziewaliśmy rok temu, ale cieszymy się, że dzięki tej nietypowej formie możemy dotrzeć do widzów w całej Polsce.

Które spektakle znalazły się w repertuarze?

Zacznijmy od „Fedry” w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego Teatru Wybrzeże, gdzie w roli tytułowej występuje Katarzyna Figura. Następnie pokażemy: „Kupca weneckiego” z Nowego Teatru w Słupsku, „Transfugium” wg opowiadania Olgi Tokarczuk, Teatru Bogusławskiego z Kalisza, „Historię przemocy” Teatru Fredry w Gnieźnie w reżyserii laureatki nagrody Der Faust Eweliny Marciniak, „Panny z Wilka” w adaptacji i reżyserii Agnieszki Glińskiej z Teatru Starego

w Krakowie, dwa spektakle Teatru Nowego Proxima w Krakowie: „Kobiety objaśniają mi świat” w reżyserii Iwony Kempy i „Dług” Jana Kłaty, a na zakończenie festiwalu „Kurt Geron. Führer daje miasto Żydom”, Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach. W nurcie towarzyszącym zaprezentujemy spektakle Teatru Dramatycznego: w tym naszą pierwszą w historii premierę online „Pani Dalloway” w reżyserii M. Mikkla, ponadto „Jeziro” reż. D. Kopiec, „I że cię nie opuszczę” reż. A. Figura i „Miłość od ostatniego wejrzenia” reż. I. Kempa.

W jaki sposób możemy wziąć udział w spektaklach?

Zapraszamy na wirtualną scenę codziennie od 5 do 16 grudnia o godz. 19. Transmisje online będą dostępne wyłącznie w trakcie spektaklu poprzez stronę www.warszawskie.org. Tam znajdują państwo pełny program, wszystkie potrzebne informacje i kupią bilety na wydarzenia. Po spektaklach planowane są transmisje rozmów z twórcami, które będą udostępniane bezpłatnie na Facebooku festiwalu: www.facebook.com/WarszawskieSpotkaniaTeatralne. W dyskusji mogą wziąć udział również widzowie poprzez zadawanie pytań w komentarzach, które prowadzący będzie przekazywał w trakcie transmisji.



BRONISŁAW WILDSTEIN

Jeszcze o niepodległości

Poprzedni mój felieton dotyczył niepodległości. Rzecz to fundamentalna i powinno się ją przyzywać z umiarem, ale właśnie dziś trzeba o niej mówić. Zgoda na łączenie funduszy europejskich z mechanizmem „praworządności” to rezygnacja z polskiej niepodległości.

Jak prawie wszystko w ludzkiej rzeczywistości, niepodległość jest stopniowalna. Związek Sowiecki narzucał Finlandii zasadnicze ograniczenia w międzynarodowej polityce, ale wewnętrzne stosunki mogła ona regulować w dużej mierze, jak chciała. PRL była państwem podległym, ale posiadała dozę autonomii, której nie miały sowieckie republiki. Niemniej granicznie rozróżnienie w tej mierze możemy uczynić.

Niepodległość oznacza, że dane państwo samo podejmuje decyzje w sprawach go dotyczących. Co nie znaczy, że, jak każdy podmiot, nie musi się liczyć z niezależnymi od niego warunkami, w tym wypadku z międzynarodowym układem sił. Niepodległość nie rozwiązuje wszystkich problemów – istnieją suwerenne dyktatury, w których życie jest nieznośne – ale jest fundamentalnym warunkiem samostanowienia, inną nazwą zbiorowej wolności. Bez niej stajemy się igraszką w cudzych rękach.

Żyjemy w dobie ideologii emancypacji, która atakuje wszelkie tożsamości, a więc i wspólnoty. Od ponad 30 lat słyszymy, że naród traci znaczenie. W rzeczywistości obserwujemy zjawiska przeciwne. Im bardziej elity europejskie naciskają na odgórną integrację, tym bardziej odczuwalna jest potrzeba narodowej odrębności. Jak funkcjonuje Unia, najlepiej widać w momentach kryzysowych. Ekonomiczna zapaść 2008 r. spowodowała, że czas jakiś unijne instytucje zamaryły. Niemieckie władze organizowały spotkania ze swoimi francuskimi odpowiednikami, dopraszając na nie wybrane kraje i tam podejmowane były decyzje zatwierdzane później przez unijne urzędy. Podobnie wyglądał stan rzeczy w momencie pojawienia się pandemii czy w wypadku punktowych kryzysów: greckiego krachu czy rosyjskiej agresji na Ukrainę. Nie przejmując się zbytnio pozorami, bez żadnej legitymacji, w imieniu Unii kanclerz RFN podejmowała decyzje i organizowała ciała, które rozstrzygać miały problem. Za parawanem europejskich hasel ujawniały się niemieckie rządy.

Mechanizm tzw. praworządności jest narzędziem, którego europejskie elity mogą używać dowolnie, zgodnie ze swoim politycznym i ideologicznym zapotrzebowaniem. Narody będą mogły wybierać sobie reprezentacje, tyle że europejskie, a właściwie niemieckie elity decydowały będą, co tym reprezentacjom wolno. W ten sposób likwidacji ulegną niepodległość i demokracja słabszych krajów, takich jak Polska.



W sytuacji tej zdumiewać musi zachowanie polskiej opozycji, która robi wszystko, aby stan ten przybliżyć. Nie tylko głosi za mechanizmem praworządności, ale naciska, aby go wprowadzić. Śpieszy się, aby zlikwidować niepodległość i demokrację w swoim kraju i w tym sensie stanowi ewenement na europejską skalę.

Postaciom takim jak Leszek Miller, Włodzimierz Czarzasty czy Włodzimierz Cimoszewicz nie ma co się dziwić. Swoją karierę rozpoczynali oni i ufundowali na wysługiwaniu się mocarstwu, które niewoliło nasz kraj. Teraz zmienili jedynie patrona. Większość lewicy z ideologicznych względów nienawidzi polskiej tradycji – spadkobierców PPS trudno w niej znaleźć. PO już za czasów Tuska zmieniona została w partię skrajnie oportunistyczną. Zrobi wszystko dla władzy, którą traktuje jako środek do zdobycia pozycji i apanaży. Jej patron uosabia to w sposób idealny. Dlaczego Polacy głosują na takich polityków?

Elementem decydującym jest ogromna opiniotwórczo-medialna przewaga realnie antyniepodległościowych środowisk w III RP (w dużej mierze utrzymuje się ona nadal), które wykorzystują tradycyjne kompleksy polskie. Neokolonialna postawa elit to kombinacja interesu oraz resentymentu, poczucia niższości i wyższości zarazem, pogarda do własnego narodu i uniżoność wobec centrów zagranicznych, które ofiarują władzę nad tubylcami. Ten kompleks infekuje całe społeczeństwo. Odwołuje się do historycznych uprzedzeń. Chcemy być tacy jak na Zachodzie. A jako słabsi usiłujemy przypodobać się silniejszemu. Przypomnijmy sobie XIX w., salon warszawski czy elity stolicy dziękujące Mikołajowi II za budowę Cytadeli.

Sprawa jest głębsza. Większość targowiczów realnie wierzyła, że broni złotej wolności i konstytucji szlacheckiej, którą naruszał „nieprawny dyktat 3 maja”. Wielu z tych, którzy dziś walczą przeciw niepodległości Polski wpasowuje się w ten tryb myślenia. Tym razem wyobrażają sobie, że podążają za postępem. Wprawdzie rosyjską dobrodziejkę zastąpiła jej niemiecka odpowiedniczka, ale Katarzyna II też była Niemką.

Niestety historia powtarza się, choć w zmienionych dekoracjach.

Fot. Andrzej Wiktor



Walizka Wasyla Wasytyka

Aktora

Przynajmniej raz do roku wyjeżdżamy z żoną za granicę. Inspiracją do wyboru miejsca odpoczynku może być książka, film lub promocja na bilety lotnicze. Jak miał zany na Ukrainie muzyk Andrij „Skriabin” Kuźmenko: „Nieważne, w jak starych butach chodzisz, ważne, że po Paryżu”. Ja też nie przywiązuję wagi do przedmiotów i w podróż za granicę mogę się spakować w kwadrans do niewielkiej walizki.

JEANSOWA BLUZA



Moja umiejętność szybkiego pakowania się do małej walizki ma też minusy. Trzy lata temu, mimo letniej pory, Lizbona przywitała nas przenikliwie chłodnym wiatrem. Byłem zmuszony do natychmiastowego zakupu ciepłej bluzy. W zasadzie to z każdego wyjazdu przywożę jakieś ubranie kupione na miejscu.

BIBLIA / MODLITWA

Zawsze zabieram na wyjazdy Biblię, ale również specjalną modlitwę, którą staram się codziennie odmawiać. Towarzyszy mi ona od ośmiu lat i w zasadzie znam ją na pamięć. Dzięki niej, także gdy mam jakieś ważne spotkanie zawodowe czy casting, czuję się po prostu pewniej. Konkurenci nie mają szans;)



KOSZULKA SZCZĘŚCIA



W realizacji moich marzeń zawodowych pomaga mi także bordowa „koszulka szczęścia”. To właśnie w niej byłem na castingu do filmu „Wołyń” i do serialu „Korona królów”. Ponieważ ma już swoje lata, T-shirt z kosmonautą przejmie mi się przynoszenia szczęścia.

CZYTNIK E-PAPER

Gdy jestem nad morzem, obawiam się, że z powodu wilgoci mogę zniszczyć książkę, dlatego w podróż zabieram czytnik wykorzystujący technologię elektronicznego papieru. W tym małym i praktycznym urządzeniu mam nieograniczony wybór książek.



BRANSOLETKI



Jestem fanem kultury indiańskiej i gdziekolwiek trafię na jakiś przedmiot nawiązujący do tych klimatów, to kupuję go na pamiątkę. Dlatego m.in. mam sporą kolekcję bransoletek, które przywożę z każdej podróży.

W ogródku pana Adama



SŁUCHAWKI

Mimo że nie mam słuchu absolutnego i wiem, że kariery muzycznej nie zrobię, uwielbiam słuchać muzyki. Nie mam jakiegoś ulubionego gatunku, dlatego na mojej liście przebojów obok utworów klasycznych znajdują się też te rockowe.

LAPTOP

Na każdy wyjazd zagraniczny zabieram filmy, których akcja rozgrywa się w kraju, do którego jedziemy, ale również w miastach, w których planujemy pobyt. Dzięki temu mogę nie tylko poczuć atmosferę, lecz również zobaczyć ciekawe miejsca do zwiedzania, których nie ma w przewodnikach.



MASKA

Obowiązkowo. Gdy byłem we Włoszech, zrozumiałem, dlaczego w tym kraju pobito rekordy zachorowalności na COVID-19. Otwartość Włochów, ich rytualne pocałunki podczas powitań i nadmierna gadatliwość nie mogły skończyć się inaczej.

SZCZOTECZKA

Mój profesor Bogdan Kozak mawiał, że aktor powinien mieć zawsze z sobą szczoteczkę, bo nigdy nie wie, gdzie się obudzi i kiedy będzie miał rolę całowaną.)



BUTY SPORTOWE

Bez względu na to, gdzie jestem, staram się znaleźć sprzęt sportowy i ćwiczyć. Ten dobry nawyk mam po klubie bokserskim, w którym trenowałem kilka lat. Wysoki poziom sprawności fizycznej aktora to podstawa.



Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Uważni czytelnicy (i czytelniczki) „Gazety Wyborczej” musieli dostrzec, że jakiś czas temu w redakcji tego pisma w miejsce korekty zatrudniono komisarzy lingwistycznych (choć najpewniej to komisarzynie). Czasy, kiedy jeden autor mógł napisać o kobiecie kierującej pracami Sejmu „marszałek”, a drugi „marszałkini” się skończyły i teraz, nawet jak ktoś przez konserwatywne zapomnienie użyje tej pierwszej formy, to komisarzyni nieuchronnie mu poprawi na tę drugą.

Co czasem prowadzi do sytuacji dziwacznych, bo nazwanie Margaret Thatcher (w „Wysokich Obcasach”) „polityczką” jest nie tylko pogardliwe (co akurat wobec tej osoby i na tych łamach nie dziwi), lecz także przekomiczne. Nawet jeśli była premier Wielkiej Brytanii ktoś gardzi, to używanie wobec polityka takiego formatu słowa „polityczka” nie pasuje. „Polityczka” oznacza politykę marną i wciąż nie rozumiem, dlaczego feministkom tak zależy, aby z takim modelem działalności utożsamiać panie obecne w Sejmie czy Senacie.

Komisarzynie z Czerskiej na szczęście nie są zbyt uważne. Przykład: rozmowa z reżyserką Gosią Wdowik. Zarówno pani Gosia, jak i osoba reprezentująca redakcję (Mike Urbania, postać zasłużona dla idei: „Działal w środowisku gejowskim, był związany również z organizacjami żydowskimi” – podpowiada Wikipedia), starają się sprostać wyśrubowanym normom językowym. Są więc „twórcy i twórczynie”, „freelancerki i freelanserzy”, „członkinie i członkowie” etc. Uwadze kontrolerów językowych sporo jednak umknęło. Bo w wywiadzie pani Gosia mówi o chodzeniu do lekarza (co z lekarką?) i wspomina o przedsiębiorcach (a gdzie przedsiębiorczynie?).

Pani Wdowiką przewodnicząca Gildii Polskich Reżyserek i Reżyserów – nazwa organizacji niby politycznie poprawna, ale to pozór, bo w rzeczywistości jest podszyta konserwatywnym zabobonem. No bo dlaczego mamy wymieniać panie przed panami? „Ladies first” to przesada dla kobiet obraźliwa, należąca do patriarchalnych standardów.

I jeszcze gorszy grzech przeciw równości: nazwanie pani Małgorzaty Gosia to kolejny relikwyt słusznie minionych czasów, kiedy do kolegów w biurze szef zwracał się „panie Adamie” czy „panie Jarosławie”, a do koleżanek protekcyjnie, zdrobniale „pani Basiu”, „pani Teresko” – jakby każda była jego sekretarką.

Ech, naprawdę dużo jeszcze zostało językowych chwastów do wyrwania w ogródku pana Adama.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRZYSZTOF GRZYBOWSKI, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CZEŻARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLINSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIA: ANNA ŁABECKA, ANIA ŁABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIECIŁ, MARCIN WIKŁÓ, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

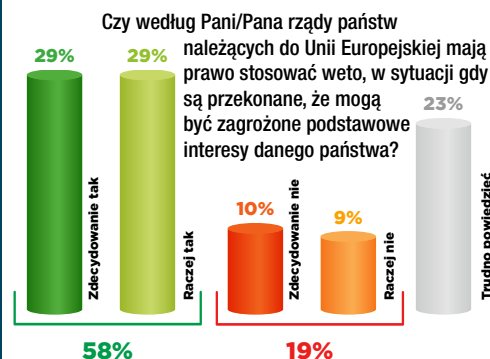
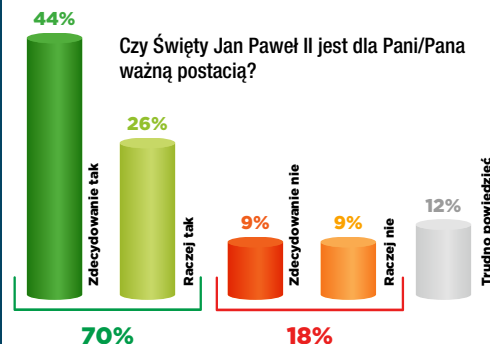
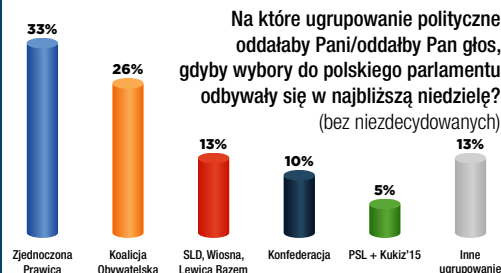
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMIOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, KAROL MAJURAT, REPORTER, PIOTR MOLEK, EAST NEWS,
KAROL CYGAŁ, SHUTTERSTOCK.COM, TOMASZ STEFANIUK / SHUTTERSTOCK.COM, TORANOTE,
SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK.X4



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1058.
Zakres czasowy badania 20–23 listopada 2020 r.

Koreański partner CPK

Centralny Port Komunikacyjny wybrał doradcę strategicznego dla budowy portu lotniczego Solidarność. Nowe polskie lotnisko, które ma zostać wybudowane 40 km od Warszawy, będzie jednym z największych na świecie hubów z początkową przepustowością 45 mln pasażerów rocznie, a finalnie nawet do 100 mln. Doradcą przy jego projektowaniu i wznoszeniu oraz zarządzaniu ma być Incheon International Airport w Seulu, czyli główne międzynarodowe lotnisko w Korei Południowej. Incheon jest czwartym na świecie lotniskiem w rankingu Skytrax pod względem jakości obsługi. Według szacunków koreański port lotniczy do 2020 r. miał obsługiwać 100 mln pasażerów. Port lotniczy, z którego doświadczenia mamy czerpać, to nie tylko terminale i hotele, lecz także m.in. spa, lodowisko, pole golfowe, muzeum kultury koreańskiej. Incheon jest uważany za najlepiej skomunikowany z miastem port lotniczy świata, co ma dla nas niebagatelne znaczenie, skoro według planów z lotniska Solidarność będzie można dotrzeć do wszystkich największych miast w Polsce w czasie nieprzekraczającym 2,5 godz.

Korea Południowa jest obecnie najbardziej zaawansowanym technologicznie krajem na świecie. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu należała do najbiedniejszych państw na świecie. Skok rozwojowy rozpoczął się w latach 70. i 80. za sprawą wykorzystania japońskiego i amerykańskiego know-how. We wskazanym okresie intensywnie rozwijano przemysł stoczniowy, a Korea stała się liderem w produkcji supertankowców i platform wiertniczych. Aktualnie to koreańskie koncerny elektroniczne i samochodowe uważane są za najbardziej innowacyjnych liderów rynku, a kraj ten w 40 proc. opiera swój wzrost gospodarczy na eksporcie nowoczesnych technologii i produktów motoryzacyjnych. Tamtejsze produkty wygrywają rywalizację z japońskimi i amerykańskimi zarówno w Europie, jak i w USA. Produkt krajowy brutto przypadający na jednego mieszkańca Korei przed wybuchem pandemii koronawirusa wynosił 28 tys. dol. na osobę. Korea jest, obok Hongkongu, Singapuru, Tajwanu, jednym z azjatyckich tygrysów, będąc 12. gospodarką świata.

Pandemia koronawirusa przerwała wiele łańcuchów gospodarczych i osłabiła światowe gospodarki. Korea Południowa, podobnie jak wiele innych państw, zмага się z kryzysem gospodarczym, ale tak jak w przypadku Polski w porównaniu z pozostałymi członkami Unii Europejskiej jej wyniki wciąż pozostają relatywnie korzystne na tle pozostałych najprężniejszych gospodarek świata. Z wyliczeń opublikowanych przez OECD dla 13 największych gospodarek członkowskich organizacji oraz Chin wynika, że to właśnie Korea Południowa odnotowała najmniejszy spadek PKB w drugim kwartale br. – 3,3 proc. Dla porównania – gospodarki USA, Niemiec czy Francji zmalały kolejno aż



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

o 9,5, 10,1 i 13,85 proc. W zestawieniu wyprzedziły ją jedynie Chiny, które jako jedyne odnotowały w tym samym okresie wzrost o 11,5 proc. w porównaniu z kwartałem poprzedzającym.

Władze w Seulu zakładają, że obecny kryzys może się stać impulsem do modernizacji gospodarki. Wiosną prezydent Moon Jae-ina zapowiedział projekt nawiązujący choćby z nazwy do planu prezydenta Franklina Roosevelta – Koreański Nowy Ład – przewidujący zwiększenie wydatków na rozbudowę infrastruktury cyfrowej, rozwój sztucznej inteligencji, przemysłu biotechnologicznego, telemedycyny, zdalnej edukacji, big data. Inwestycje mają zostać ukierunkowane na rozwój sektorów niewymagających kontaktu fizycznego (m.in. e-commerce) i cyfryzację w transporcie, m.in. rozwój pojazdów autonomicznych. Celem jest zwiększenie zatrudnienia w sektorach nowoczesnych technologii, digitalizacja usług publicznych oraz pobudzenie innowacyjności gospodarki. Pobudzeniu koreańskiej gospodarki mają także służyć inwestycje w przemysł obronny. Ponad 70 mld dol. ma zostać zainwestowane przez państwo w rodzime spółki produkujące systemy uzbrojenia.

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 17 listopada 2020 roku zmarł w Krakowie*

Ś P

**MJR STANISŁAW WŁADYSŁAW SZURO
PS. „KRUK”, „ZAMORSKI”**

*urodzony 19 października 1920 roku w Krakowie.
Od stycznia 1940 roku żołnierz Związku Walki Zbrojnej,
a następnie Armii Krajowej w Krakowskim Okręgu ZWZ-AK.*

We wrześniu 1942 roku aresztowany przez Gestapo.

*Więzień niemieckiego obozu w Pustkowie,
KL Sachsenhausen i KL Bergen-Belsen.*

*Po wojnie, podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim,
działał w konspiracyjnej Lidze Walki z Bolszewizmem
w strukturze Narodowej Organizacji Wojskowej.*

*W listopadzie 1946 roku aresztowany przez władze komunistyczne,
następnie skazany na karę śmierci, zamienioną
na mocy amnestii na 15 lat pozbawienia wolności.*

*Więziony w Rawiczu, Wronkach i Strzelcach Opolskich.
W lipcu 1956 roku zwolniony warunkowo.*

*Prezes Oddziału Krakowskiego Związku Więźniów Politycznych
Okresu Stalinowskiego.*

*Nauczyciel i wychowawca, zasłużony w krzewieniu
polskiej tradycji niepodległościowej.*

*Uchonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Medalem Pro Bono Poloniae oraz innymi odznaczeniami.*

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Agresywny Strajk Kobiet oszukał setki tysięcy osób, które wyprowadził na ulice po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Coś, co miało być autentycznym społecznym wystąpieniem, szybko zmieniło się w kolejną odsłonę ulicznej wojny przeciwko PiS, która trwa praktycznie nieprzerwanie od ponad pięciu lat. Teraz na celowniku znalazła się policja



Strajk zadymiarzy



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

W nową fazę wchodzi uliczna rewolucja, jaka wymarzyła się skrajnej lewicy, a została wsparta przez część mediów i większość opozycji. Z racji jej wypalania się, coraz mniej licznych demonstracji (niektóre z powodu zapowiadającej się słabej frekwencji są nawet odwoływane) i radykalizacji działań Strajku Kobiet sięgnięto po nowy cel ataku. Stała się nim policja – rzekomo jako zbrojne ramię PiS nagminnie przekraczające uprawnienia. Mamy do

czynienia z coraz brutalniejszymi atakami na funkcjonariuszy, ujawnianiem ich danych, manipulacjami dziennikarzy. Zapowiadane są „blokady komisariatów”, w prowokacjach uczestniczą parlamentarzyści, policjanci emeryci chcą skorzystać z okazji, by – kosztem swoich kolegów w mundurach – zemścić się na władzy, która zmniejszała im nienależne świadczenia.

Jak się dowiadujemy, organizacyjnie anarchiści są przygotowani na ekstremalną rewoltę na ulicach. Komunikują się w darknecie – czyli ukrytym internecie, z którego korzystają najgroźniejsi przestępcy zajmujący się handlem bronią czy ludźmi.

SKOPAĆ POLICJANTA

Poniedziałek, 23 listopada. Przed siedzibą Ministerstwa Edukacji Narodowej

trwa protest, który z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego ma już niewiele wspólnego. Kilka osób przykuwa się do bramy resortu. Jedna z dziewcząt używa szybkooschnącego kleju, by scalić własną dłoń z prętem ogrodzenia. Ostatecznie wyląduje w szpitalu. Jednak najgłośniej robi się po zatrzymaniu Agaty Grzybowskiej, fotoreporterki współpracującej m.in. z „Gazetą Wyborczą”. Sympatyzujące z protestującymi media szybko powielają informację, jakoby zatrzymano ją bez powodu, mimo że okazywała policjantom legitymację prasową.

Gdy kobieta jest jeszcze na komisariacie, wiceszefowa OKO.press Bianka Mikołajewska szybko pisze apel, pod którym podpisuje się kilkuset dziennikarzy. Grzmią, że „dziś przekroczona została kolejna granica”. Nikt z nich nie przejmie się tym, jaki naprawdę był powód



Fot. Garmont / Shutterstock

zatrzymania, choć już wtedy wszyscy mogą to obejrzeć na filmie opublikowanym przez... OKO.press.

Widać na nim, że Grzybowska za wszelką cenę próbuje się przedostać za kordon oddzielający tłum od przypiętych do ogrodzenia. Szarpie się z policjantami. Jednemu z nich z odległości ok. 20 cm dwukrotnie strzela lampą błyskową prosto w twarz. Wreszcie kopie policjanta. Wtedy zostaje zatrzymana i dopiero gdy funkcjonariusze prowadzą ją do radiowozu, wyjmują legitymację i zaczyna kreować się na męczennicę.

To wręcz niewyobrażalne, ale wielu dziennikarzy nie interesuje to, że ich koleżanka fizycznie zaatakowała umundurowanego funkcjonariusza na służbie. Legitymację dziennikarską chcą utożsamiać z parlamentarnym immunitetem, a nawet iść dalej, skoro ma ona zezwalać

na kopanie policjantów. – Przed MEN było ze trzy razy więcej fotoreporterów niż uczestników. Wszyscy wiedzieli, gdzie stać, żeby nie utrudniać działań policjantom, a pani Grzybowska usiłowała dostać się tam, gdzie nie powinna. Problemem tych protestów jest też to, że posłowie i dziennikarze angażują się w nie prywatnie, a udają obiektywnych przedstawicieli mediów – słyszymy od jednego z policjantów.

Tak było też z Grzybowską, która – jak sama przyznała – „całą sobą popiera Strajk Kobiet”. Najwyraźniej również całą sobą podejmuje się prowokacji, które są jednym z narzędzi stosowanych przez ulicznych rewolucjonistów.

Można powiedzieć, że wszystkie chwytaki są dozwolone, byle tylko wcielić w życie manifest Bartosza Kramka z Fundacji Otwarty Dialog, który przed

kilkoma laty postulował: „Niech państwo stanie, wyłączmy rząd!”. Zresztą Kramek również był obecny przed siedzibą MEN.

Ale i on, i przedstawiciele mediów, i wszyscy uliczni zadymiarze muszą pamiętać, że jeśli złamią prawo, policjanci będą wyciągać wobec nich konsekwencje.

– W przypadku Grzybowskiej doszło do fizycznego ataku. Jej zatrzymanie było indywidualną decyzją tego posterunkowego. Podjął ją spontanicznie, bez rozkazu dowódcy, bez jakichś nacisków politycznych. Z punktu widzenia policjanta nie ma znaczenia, czy ma do czynienia z k..., złodziejem, czy dziennikarzem. Gdy ktoś popełnia przestępstwo, obowiązkiem policjanta jest podjęcie reakcji – mówi nam jeden z funkcjonariuszy z komendy głównej.

Serwis Noizz.pl, należący do koncernu Ringier Axel Springer, opublikował pod koniec października poradnik dla demonstrantów (podobne wcześniej zamieszczała m.in. „Gazeta Wyborcza”), w którym podpowiada, co zabierać na demonstrację, a czego nie, jak się zachowywać przy zatrzymywaniu przez policję i wizycie na komisariacie. Jak czytamy, swoje rady oparł na podobnym zestawieniu opracowanym przez Anarchistyczny Czarny Krzyż, do którego odsyła poprzez link internetowy. Ale nie napisał wszystkiego. Gdy zajrzemy do linku na stronach ACK, przeczytamy m.in. takie wytyczne w sytuacji, gdy policja zatrzymuje jakąś osobę: „Reaguj, to ważne! Jeśli jesteście w większej grupie i dalej istnieje możliwość przytrzymania zatrzymywanej osoby, warto spróbować wyrwać ją policji i schować w tłumie. (...) Zastanów się, czy zatrzymana osoba posiadała w mieszkaniu coś, co może jej zaszkodzić (policja czasem przychodzi pod wskazany adres, aby upewnić się, czy dana osoba tam mieszka). Jeśli tak, może jesteś w stanie to usunąć?”

To wprost wzywanie do łamania prawa. Nie dziwi, że takie metody reklamują zdeklarowani anarchiści, ale Axel Springer?

Warto sięgnąć do jeszcze jednego poradnika, opublikowanego w 2018 r. przez „Krytykę Polityczną”. Przypomina się tam m.in.: „Za naruszenie nietykalności cielesnej policjanta podczas pełnienia przez niego obowiązków grozi do trzech lat więzienia. (...) Może to być nawet potrącenie, odepchnięcie, zrzućcie czapki,

podstawienie nogi, oplucie, oblanie, rozbicie jajka na ubraniu. (...) Karalne jest także grożenie policjantowi i znieważanie go (art. 226 kk)".

O tym wszystkim zdają się zapominać liczni obrońcy Grzybowskiej.

BOA W AKCJI

Następnego dnia w Komendzie Stołecznej Policji zjawiał się mały oddział parlamentarzystów Koalicji Obywatelskiej, którzy postanowili dokonać kontroli poselskiej. „Dziś w imieniu obywateli pytamy, dlaczego wykorzystano oddział antyterrorystyczny w celu pacyfikacji pokojowego protestu?” – emocjonowała się Klaudia Jachira. Chodziło o działania funkcjonariuszy policyjnego Biura Operacji Antyterrorystycznych, którzy 18 listopada w cywilnych ubraniach zabezpieczali manifestację na pl. Powstańców Warszawy przed siedzibą TVP.

Polityków opozycji (ale również media pokroju „GW”) zbulwersowała sama obecność antyterrorystów na tej demonstracji. Czy to rzeczywiście odstępstwo od normy? Nic podobnego. BOA brało udział w zabezpieczeniach 5, 10 i 20 lat temu.

Jeden z policjantów tłumaczy nam kuchnię zabezpieczania takich wydarzeń: – Chłopaki z „AT” muszą uczestniczyć w takich zgromadzeniach, bo zawsze może się zdarzyć to, co niedawno w Wiedniu, gdzie gość zaczął strzelać z kalacha.

Nasz rozmówca dodaje, że głównym zadaniem nieumundurowanych antyterrorystów jest wyciąganie z tłumu osób agresywnych. – Wszystkie kanony mówią, że to cywile powinni się tym zajmować. Raz, że tłum reaguje na nich inaczej niż na policjanta w pełnym rynsztunku, a dwa, że jest większa swoboda działania bez tarcz, kasków i reszty sprzętu, który ma na sobie prewencja. Może się też po prostu pojawić szaleniec, jak rok temu we Wrocławiu, gdzie w czasie marszu środowisk LGBT policjanci po cywilnemu zatrzymali gościa, który szedł z nożami. Sam później przyznał, że chciał zabijać policjantów, gejów i lesbijki. Gdybyśmy go nie wyjęli, doszłoby do tragedii.

Jeden z funkcjonariuszy BOA: – Do naszych zadań poza wypatrywaniem niebezpieczeństwa należy też wspieranie umundurowanych kolegów, gdy

są atakowani. W tłumie zawsze są jacyś przywódcy. A taktyka wszędzie na świecie mówi, że lepiej zatrzymać takiego człowieka – który wydaje komendy w stylu: „Teraz, biegniemy na nich!” – niż próbować zgarniać sto agresywnych osób, bo to mało realne. Takiego przywódcę zdejmowaliśmy 18 listopada. Później – zgodnie z tym, czego uczą się bojówki na kursach miejskich walk – chciano odbić tego zatrzymanego. Gdy przeciwko nam wyjęto kije z transparentów i zaatakowano nas gazem, wyciągnęliśmy pałki teleskopowe, by się bronić. Panie ze Strajku Kobiet twierdziły, że nie wiedziały, iż na ulicach interweniowali policjanci w cywilu. A przecież nieco wcześniej same wstawiały w mediach społecznościowych zdjęcia z komentarzami: „Patrzcie, są już tajniacy, ciekawe, ilu się zebrało”. Owszem, pałki wyciągnęli niemal wszyscy nieumundurowani policjanci, ale narracja, że walili nimi na oślep, jest nieprawdziwa. Jedyń, który użył „batona”, zrobił to dlatego, że próbowano mu go wyrwać. Działal zgodnie z przepisami o SPB [środkach przymusu bezpośredniego – przyp. red.]. Nie jest też prawdą, że uderzył człowieka w głowę, ale w plecak.

SIŁA KONIECZNA I NIEKONIECZNA

Do najbardziej agresywnych starć grup chuligańskich z policją doszło 11 listopada w Warszawie na trasie Marszu Niepodległości, który w tym roku miał się odbyć w formie zmotoryzowanego przejazdu. Wiele osób nie posłuchało jednak organizatorów i pieszo pojawiło się w okolicy ronda Dmowskiego.

Marsze Niepodległości w ostatnich latach przebiegały spokojnie, co więc się stało, że tym razem doszło do konfrontacji z funkcjonariuszami? Zazwyczaj na to patriotyczne wydarzenie zawiązywano tzw. pakt o nieagresji pomiędzy kibicami, by mogli wspólnie maszerować. W tym roku umowa miała nie obowiązywać (wiadomo to z analizy forów pseudokibicowskich), wręcz przeciwnie, w centrum stolicy miało dojść do gigantycznej ustawki. Grupa ok. 300 pseudokibiców Widzewa Łódź miała dotrzeć prywatnymi środkami transportu do Warszawy w okolice końcowej stacji metra na Młocinach, by potem przejechać do stacji Centrum, skąd miał ruszać marsz. Tam mieli na

nich czekać kibole ŁKS wspomagani przez „zgodę” z Lechem Poznań.

Pech chciał, że skład metra, którym zmierzali do centrum, zepsuł się i grupa musiała wysiąść w okolicy Dworca Gdańskiego. Tam czekała już policja. Prewencyjnie zatrzymała 270 najbardziej agresywnych osób. Do ustawki kibolskiej więc nie doszło, ale ci, którzy na nich czekali w Śródmieściu, swoją agresję postanowili skupić na funkcjonariuszach. Pomyśl został podchwycyony przez inne chuligańskie grupy. Z informacji policji wynika także, że pseudokibice Legii Warszawa (ok. 3 tys. osób) mieli tego dnia próbować wziąć odwet na funkcjonariuszach za to, że 30 października, podczas demonstracji Strajku Kobiet, zatrzymano kilkudziesięciu z nich.

Kumulacja agresji nastąpiła w okolicy ronda de Gaulle’a, gdzie w bramie przy Empiku odbyła się regularna bitwa. Widać to dobrze na filmie, który analizowaliśmy na portalu wPolityce.pl. Płot z barierki został przewrócony i w policjantów stojących w podwórzu rzucano kamieniami, petardami i racami. Funkcjonariusze odpowiedzieli gazem, granatami hukowymi i strzałami z broni gładkolufowej. Podczas zamieszania jedna z kul trafiła w twarz fotoreportera „Tygodnika Solidarność” Tomasza Gutrego.

Film upubliczniony przez MSWiA rozbudza wątpliwości, w okolicach „palmy” policjanci zostali napadnięci, mimo że nikogo nie prowokowali, a marsz osłaniali z pewnej odległości. Użycie „środków przymusu bezpośredniego” w obliczu napierającego wściekłego tłumu było konieczne.

Tego dnia policja w Warszawie zatrzymała (poza dużą grupą kiboli na Dworcu Gdańskim) 36 osób, wśród nich jedną, która powinna zgłosić się do odsiadki, oraz kilkanaście za posiadanie narkotyków i środków odurzających. Wylegitymowano ponad 700 osób, nałożono ponad 200 mandatów, sporządzono 655 notatek do sanepidu w związku z łamaniem przepisów epidemicznych. Chuliganom odbrano m.in. kilkadziesiąt rac i petard, a także pałki teleskopowe, latarkę z paralizatorem oraz pistolet pneumatyczny Walther.

Dużo więcej dyskusji wzbudza zachowanie policjantów w okolicach Stadionu Narodowego i na stacji PKP Warszawa-



-Stadion. Trudno zrozumieć, dlaczego niektórzy funkcjonariusze postanowili uraczyć dziennikarzy pałami albo rzucali w grupę ludzi granaty hukowe. – To jedyna sytuacja, której nie da się wybronić. Byli tam niestety policjanci z Nieetatowych Pododdziałów Prewencji, czyli tacy, którzy na co dzień są np. dochodzeniowcami, wykroczeniowcami, pracują w wydziale prezydialnym etc. Być może dlatego byli mniej odporni na presję, którą inni mają na co dzień. Sytuacja była nerwowa, ale to nie wyjaśnia użycia nadmiernej siły. Konieczne jest wyjaśnienie i ukaranie winnych – mówi nam doświadczony policjant w czynnej służbie. Postępowanie wyjaśniające zostało wszczęte jeszcze tego samego dnia.

POLICJA CELEM

Od 22 października podczas protestów w całym kraju ucierpiało 18 funkcjonariuszy. To liczba stosunkowo niewielka, zważywszy, że zabezpieczano w tym czasie ponad 3,2 tys. zgromadzeń, w których uczestniczyło łącznie blisko 1,4 mln osób. Wylegitymowano w tym czasie 17 tys. osób, ujawniono 10 tys. wykroczeń, pouczone 1,3 tys. osób, nałożono 2,6 tys. mandatów i sporządzono prawie 7 tys. wniosków o ukaranie. Zatrzymano 455 osób. W ponad 3,5 tys. przypadków przekazano do Państwowej Inspekcji Sanitarnej notatki o łamaniu przepisów epidemicznych.

Wyobraźcie sobie, że ktoś stoi wam przed twarzą przez pół godziny i ubliża, wyzywa od sk...synów, morderców. Głośno bluzga na nas pani Lempart, jest skrajnie wulgarna, prowokuje. Dlatego jestem pełen podziwu dla kolegów, którzy zachowują spokój – opowiada jeden z policjantów

Przez ponad miesiąc w tych akcjach brało udział 105 tys. policjantów. To średnia, wynika z niej, że każdy funkcjonariusz w Polsce co najmniej raz pracował przy demonstracji. Statystyka nie mówi jednak całej prawdy, aż tylu policjantów w Polsce bowiem nie ma, nie wszyscy pracują też przecież w prewencji. Jest za to kilka tysięcy wakatów i problem z zachorowaniami na COVID-19. Prawie 10 proc. stanu osobowego podczas protestów Strajku Kobiet wypadło, jest na kwarantannie lub w izolacji, policjanci wiążą to bezpośrednio z obecnością w tłumie. Mało fortunna wydała im się jedna z wypowiedzi ministra zdrowia, który stwierdził, że te zgromadzenia nie mają wpływu na liczbę zachorowań.

Funkcjonariusze, z którymi rozmawiamy, zwracają uwagę na dynamikę zmian w manifestacjach Strajku Kobiet. Na początku, gdy zgromadzenia miały charakter autentycznego buntu społecznego, agresji było zdecydowanie mniej. Do protestujących kobiet wysyłano więc funkcjonariuszki, często bez opancerzenia. Później taktyka protestujących się zaostrzyła i nakerowała bezpośrednio na funkcjonariuszy. – Na każdym kroku wyzywanie, plucie, popychanie, próby prowokacji. Wyobraźcie sobie, że ktoś stoi wam przed twarzą przez pół godziny i ubliża, wyzywa od sk...synów, zomowców, morderców. Głośno bluzga na nas pani Lempart, jest skrajnie wulgarna, prowokuje.

Dlatego jestem pełen podziwu dla kolegów, którzy zachowują stoicki spokój – opowiada nasz rozmówca.

POLITYCZNA AGRESJA

Jest jeszcze jedna rzecz, której nie można nie zauważyć, przyglądając się protestom Strajku Kobiet. Tuż po wyroku TK manifestującym rzeczywiście chodziło o dopuszczalność aborcji, potem szybko akcja przeistoczyła się w rytualną nawalankę w rząd PiS i w policjantów, którzy z oczywistych względów kojarzeni są z władzą. Na początku można było dostrzec, że czasem funkcjonariusze nawet z życzliwością machali „spacerowiczom” (chwalili się tym na filmach w internecie),

a charakterystyczną czerwoną błyskawicę na zdjęciach profilowych w mediach społecznościowych miały ustawione także niektóre policjantki. Gdy jednak sprawa stała się banalnie polityczna, te emblematy zaczęły zniknąć, a serdeczność musiała się zmienić w chłodną ocenę stosunku do prawa.

Kłopot może narastać, plany Strajku Kobiet na najbliższy czas obejmują bowiem także blokowanie komisariatów. Piszemy te słowa przed weekendem, gdy ta akcja ma mieć swój początek. Można spodziewać się jawnych prowokacji. Chciać w niej wziąć udział ludzie, którzy nie uciekają od agresji i wręcz liczą się z tym, że ewentualne ofiary mogłyby pomóc podgrzać emocje jeszcze bardziej. Takie rozmowy toczą się w „darknecie”, podczas spotkań, których w zasadzie nie sposób kontrolować, dopóki biorą w nich udział tylko najbardziej zaufane osoby.

Sporym problemem dla policji jest zaangażowanie w manifestacje polityków opozycji. Nie chodzi o sam udział, lecz o to, że widząc swoisty pakt między agresywnymi uczestnikami i parlamentarzystami, których chroni immunitet. Używają go niczym tarcz, zasłaniając nie tylko siebie, ale i awanturników, którzy na ulicy wypełniają ich polityczny plan odsunięcia PiS od władzy. W tej drużynie grają też oczywiście niektóre media, ich rola w nakręcaniu poczucia zagrożenia jest bardzo duża. To, jak manifestacja zostanie pokazana, które ujęcia znajdują się w materiale, a które nie i kto je skomentuje, ma kolosalne znaczenie. Prowadzi to często do absurdalnych sytuacji, w których bohaterami stają się zwykli chuligani.

Warto też rozwiązać pewną uogólnioną opowieść o „fatalnych nastrojach” w policji i „funkcjonariuszach, którzy wstydzą się, że muszą brać udział w pacyfikacji pokojowych demonstracji”. Po pierwsze, te protesty nie zawsze są spokojne, po drugie, działanie policji nawet nie zbliża się do czegoś, co można by nazwać „pacyfikacją”, a po trzecie, najgorsze nastroje panują wśród byłych policjantów, którzy zasłużyli się dla Polski Ludowej i nie mogą wybaczyć obecnej władzy, że pozabierała im esbeckie przywileje. Ci są tak zaślepieni, że aż kipią nienawiścią.

W „Gazecie Wyborczej” przytoczona jest wypowiedź „milicjanta z czasów PRL”, który z trwogą opowiada, jak to obecne działania przewencji są „kalką z komuny”. Przeglądaliśmy też profil na FB doświadczonego policjanta (kiedyś milicjanta), który pracował na wielu szczeblach, zdobywał też doświadczenie na misjach na Bałkanach i w Afganistanie – treść jego wpisów wręcz odrzuca. Jego kolega, wciąż w służbie, zapytał go, dlaczego obraża policjantów, skoro wie, że dobrze wykonują swoją pracę. W odpowiedzi usłyszał kolejny tekst wyzwick na temat rządu Morawieckiego, działań Kaczyńskiego i całego złego PiS. Łatwo w takim momencie o wypaczające uogólnienie, z czego media korzystają. Można napisać, że „policjant ma obecnej sytuacji dosyć”, ale można też dodać, że to były funkcjonariusz i opisać jego sytuację. Wtedy sens zasadniczo się zmienia.

Policjanci zwracają uwagę na dynamikę zmian w manifestacjach Strajku Kobiet. Na początku, gdy zgromadzenia miały charakter autentycznego buntu społecznego, agresji było zdecydowanie mniej

MAŁE MIASTA ZA POLICJĄ

Zachowanie mediów jest o tyle ważne, że one ze swoim przekazem z dużych miast docierają wszędzie. Celem jest zaszczepienie negatywnego stosunku do policji na prowincji, co tam nie jest oczywistością, a wręcz rzadkością. – U nas ludzie wiedzą, że policja im pomaga, znamy się i nie jesteśmy bezkształtną masą z tarczami i w kaskach. W jednym z małych miasteczek funkcjonariusze zabezpieczali manifestację Strajku Kobiet i gdy ktoś krzyknął coś o „psach, które powinny oddać mundur i przeprosić”, to został wyproszony przez samych demonstrantów – opowiada jeden z funkcjonariuszy.

Wracając do zarzutów o agresję funkcjonariuszy, ratunkiem byłoby zainstalo-

wanie każdemu kamerki na mundurze. To narzędzie, które mogłoby rozwiązać wątpliwości, i to w każdą stronę, ten sprzęt nagrywa bowiem nie tylko w momencie włączenia go przez użytkownika, ale też 30 sekund wcześniej. Wiadomo więc, co robili przed chwilą i legitymowany, i stróż prawa, a ma to często kluczowe znaczenie, także w sądzie lub prokuraturze. Na wyposażeniu policji jest 3 tys. takich urządzeń, pandemia przeszkodziła w zakupie kolejnych 4 tys. Złożono ofertę jednej z firm, ale konkurencja odwołała się do KIO (Krajowa Izba Odwoławcza), która na początku pandemii nie pracowała, terminy upłynęły, więc przetarg ostatecznie unieważniono, a pieniądze wróciły do budżetu. Kolejny jest już rozpisany.

Nawet bez tzw. kamer nasobnych policja stara się jak najczęściej i najdokładniej dokumentować swoje poczynania, w szczególności właśnie pracę prewencyjną. W szyku zawsze są mundurowi, których zadaniem jest filmowanie zajęć, używają małych cyfrowych kamer, z których ciągle nagranie zawsze da pełniejszy obraz sytuacji niż wyrwane z kontekstu krótkie filmiki, które robią furorę w internecie. Można wtedy zwerifikować np. takie sytuacje, jak ta, w której miał zostać pobity wicemarszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. Taką wersję przynajmniej sprzedali w mediach politycy Lewicy. Właśnie z nagrań wideo wiemy, że to polityk był agresywny i nie pokazując legitymacji, próbował się przedrzeć przez policyjny kordon.

I to on, zapewne niecelowo, wyrzucił krzywdę policjantowi, który popchnięty, niefortunnie uderzył kolanem w hak samochodowy i zerwał ścięgno.

Opozycja od dłuższego czasu ma jeden cel – obalić rząd PiS. Nie udało się w wyborach, chce więc teraz posłużyć się rękami ulicznych zadymiarzy. Jakikolwiek niepokój na ulicy jest problemem władzy i oni dobrze o tym wiedzą. W tej walce policja obrywa rykoszetem, co wielu przyjmuje z zadowoleniem. Misterna dekonstrukcja autorytetu mundurowych, z którą mamy dzisiaj do czynienia, jest szokująca i zatrważająca. Bo partyjna zapiekłość zasłania kwestię zasadniczą – bezpieczeństwo. Jednych i drugich. Nas. Wszystkich.

Z paliwem Dynamic zima Cię nie zaskoczy.
Ciesz się pewnym rozruchem silnika
i efektywną jazdą w każdych warunkach.

PrzeSKOCZ na zimowe paliwo

Dynamic



LOTOS



Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa

Kto rządzi ulicą

Jeszcze nigdy walka o władzę nad ulicą w Polsce i akcje z zagranicy, żeby Polskę „odzyskać”, nie były tak bezwzględne, skoordynowane i na taką skalę



STANISŁAW JANECKI

Ulica w Polsce stała się tak upragnionym czynnikiem sprawczym polityki, wobec zawodności lub wyczerpania się innych, że chcą nią rządzić wszyscy ci, którzy dążą do przejęcia władzy lub chociaż obalenia tej obecnie wybranej. Nie potrafią zdobyć władzy demokratycznymi metodami, więc wierzą w skuteczność jakiegokolwiek formy rewolucji. Wtedy nie liczy się bowiem powszechne głosowanie ani rozkład sił w całym społeczeństwie, lecz doraźne akcje – najlepiej sprawiające wrażenie rewolucyjnego podpalenia całego kraju i zaangażowania większości grup społecznych.

Po to w grudniu 2015 r. powstał Komitet Obrony Demokracji. Po to kilka

miesięcy później na ulicach pojawili się Obywatele RP. Po to we wrześniu 2016 r. powołano Ogólnopolski Strajk Kobiet. KOD jest już tylko parodią samego siebie, Obywatele RP zaś organizatorami głośnych i często agresywnych, choć słabych liczebnie happeningów i akcji przeszkadzania innym. OSK swoją potęgą napawał się w trakcie i po zorganizowaniu 3 października 2016 r. w 147 miastach „czarnego poniedziałku”. Potwierdzeniem tej potęgi miał być „czarny wtorek” 3 października 2017 r. Ale nie był i ruch zaczął wędznąć. W 2019 r., w trzecią rocznicę, działaczki OSK narzekały w mediach, że nie mają pracy i pieniędzy, walczą o przetrwanie, a także szwankuje im zdrowie – z powodu zmęczenia wcześniejszą aktywnością. I OSK zdawał się zmierzać drogą KOD. Do 22 października 2020 r., kiedy to Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie w sprawie niezgodności z konstytucją przepisów pozwalających na tzw. aborcję eugeniczną. Od tego dnia OSK odzyskał status i siłę sprzed czterech lat, a uliczne protesty przypomi-

nały liczebnie największe akcje KOD, z tym że były znacznie radykalniejsze, mimo iż firmowane przez kobiety. Niektórzy psychologowie twierdzą, że były radykalniejsze właśnie dlatego, że organizowały jej kobiety. Od 22 października zaczął się proces przyłączania się do OSK każdego, kto chciał obalenia obecnego rządu bądź tylko odebrania mu władzy poprzez utratę większości w Sejmie. Od tego momentu rewolucja ma twarz kobiety, choć to przede wszystkim taktyka, którą same działaczki OSK niekoniecznie kontrolują. Tak się dzieje, gdy jakiś ruch staje się depozytariuszem i zakładnikiem tych, którzy szansę przejęcia władzy widzą w jakiejś formie rewolucji. Czy jednak OSK rzeczywiście rządzi ulicą?

WSZYSCY PRZECIW WSZYSTKIM

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że przede wszystkim chcą rządzić ulicą zrewoltowane kobiety. Ale nie tak, żeby wszystkie kobiece organizacje miały w tym udział. Zbyt duża różnorodność

prowodzi bowiem do kilku spektakularnych akcji, jak „czarny poniedziałek” 3 października 2016 r., a potem rewolta zamiera albo zaczyna się walka o władzę i wpływy. Z tym mamy do czynienia obecnie, czyli zaledwie po nieco ponad miesiącu od reanimacji OSK. I to mimo utworzenia Rady Konsultacyjnej, która miała być forum porozumiewania się wszystkich tych sił, które OSK poparły. Od początku rada tym nie jest, a wiele aktywistek, nawet z lokalnych struktur OSK, uważa, że to ciało kompletnie niereprezentatywne i powołane wedle zupełnie nieczytelnych reguł. Że ktoś Radę Konsultacyjną narzucił albo przyniósł w teczce. Kwestionowane jest swego rodzaju prezydium OSK w osobach Marty Lempart, Klementyny Suchanow, Natalii Pancewicz czy Agnieszki Czeredereckiej. Chcą one mieć monopol na kierowanie wszelkimi ulicznymi protestami w Polsce.

Obok OSK, która to organizacja zmierza do tego, żeby być jedynym zarządcą ulicy, rządzić nią chce (a przynajmniej mieć na nią wpływ w czasie rewolucyjnego wzmocnienia) wiele innych organizacji, niekoniecznie z sobą współpracujących i niekoniecznie wprost obecnych na ulicy. Są to m.in. Antifa (federacja różnych samozwańczych antyfaszystów), „wyzwoleńcza” Kampania przeciw Homofobii, jawnie marksistowska Pracownicza Demokracja, otwarcie komunizujące Komunistyczna Partia Polski, Komunistyczna Młodzież Polski, Postępowa Młodzież Polski, „opętane” walką z rasizmem Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”, Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, Stowarzyszenie „Otwarta Rzeczpospolita”, Koalicja Antyfaszystowska „Zmowa Powszechna”, anarchistyczno-genderowy Kolektyw Stop Bzdurom, feministyczne Dziewuchy Dziewuchom, Feministyczna Brygada Rewolucyjna FeBRa, Antyfaszystowska Warszawa, Pracownicza Demokracja Queer Solidarnie, Kolektyw Syrena, Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, Fundacja Przestrzeń Kobiet czy Kongres Kobiet. Niektóre z tych organizacji otwarcie kwestionują dominację OSK.

Chcą rządzić ulicą oddolnie powstające odpowiedniki rad robotniczych

i żołnierskich z czasów rewolucji bolszewickiej, czyli skrzykujące się podczas protestów grupy zamierzające dobrać organizować życie społeczne. Na razie są marginalizowane jako te, którymi nie da się sterować, nie da się podporządkować jakiemuś centralnemu planowi czy strategii. Takie inicjatywy nie mają trwałej struktury, ale przede wszystkim nie mają pieniędzy. Te ma OSK, zbierający pieniądze poprzez trzy konta (krajowe i dwa walutowe) oraz poprzez portal Zrzutka. Rządzić ulicą w Polsce chcą międzynarodowe bojówki (np. spod znaku Antify), które pomagają doraźnie, ale chciałyby mieć w Polsce silną pozycję, co jednak bywa sprzeczne z interesami krajowych bojówek i radykalnych organizacji. Rządzić ulicą chciałyby resztki tych organizacji, które dominowały kilka lat temu (np. KOD), a ich działacze mieli nadzieję odrodzić się w czasie protestów. Ale na takim odrodzeniu i wzmocnieniu nie zależy tym, którzy mają obecnie przewagę, przede wszystkim OSK.

STRĘCZYCIELE REWOLUCJI

Z punktu widzenia politycznej opozycji (parlamentarnej i pozaparlamentarnej) Ogólnopolski Strajk Kobiet jest zbyt anarchistyczny, nieprzewidywalny, radykalny i sterowany przez „sektę kierowniczą”, która polityków częściej obrzuca wyzwiskami, niż chce z nimi współpracować. Wprawdzie zarząd krajowy Platformy Obywatelskiej oficjalnie wsparł Ogólnopolski Strajk Kobiet, ale kompletnie nic z tego nie wynika. Opozycja parlamentarna chciałaby mieć wpływ na ulicę, ale nie ma kontaktów z większością radykalnych formacji i doraźnych inicjatyw, a przez te najbardziej radykalne jest odrzucana jako część establishmentu. Zamiast czy obok opozycyjnych partii rządzić ulicą chcą media wspierające, a często wręcz kreujące opozycję. Większość staje po stronie OSK, ale to tylko rodzi konflikty, gdyż inne organizacje uważają, że to wehikuł do kariery parlamentarnej kilku, kilku-nastu osób, przede wszystkim Marty Lempart i Klementyny Suchanow. Poprzez OSK rządzić ulicą chciałyby „Gazeta Wyborcza”. Chwali się ona akcją Wesprzyj #Wypierdalać, której celem

jest „pomoc finansowa dla Ogólnopolskiego Strajku Kobiet”. W ramach akcji pieniądze z prenumeraty cyfrowej przez około tydzień szły wyłącznie na OSK (zebrano ponad 670 tys. zł). 29 października 2020 r. w „Gazecie Wyborczej” był plakat Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Były grafiki do pobrania i wydrukowania, żeby je „zabrać na protesty, wywiesić w oknach lub udostępnić w mediach społecznościowych”. Ponadto „redakcja serwisu Wyborcza.pl cały czas prowadzi relacje na żywo ze strajków”. Wszystko to oznacza, że media (nie tylko „Gazeta Wyborcza”, choć ta w stopniu niebywałym) przestają być obserwatorami, a stają się kreatorami wydarzeń i uczestnikami rewolucji, tracąc w ten sposób nawet pozory obiektywizmu. Ale to nie dziwi, skoro ta gazeta kreowała partie i koalicje, i ta jej działalność była ważniejsza od informacyjnej czy publicystycznej.

Rządzić ulicą w Polsce chcieliby ludzie w rodzaju George’a Sorosa, którzy starają się mieć wpływ poprzez swoje organizacje, stowarzyszenia i NGO, lecz większość zrewoltowanych oczekuje od nich tylko pieniędzy, a nie chce dzielić się kontrolą nad posiadanym fragmentem ulicy. Rządzić ulicą w Polsce chciałoby tajne służby Rosji, poprzez różne wspierane w zakamuflowany sposób organizacje, fundacje, stowarzyszenia, ale też agenturę bezpośrednią i agenturę wpływu. Ale ponieważ nie mogą działać całkiem otwarcie, ich wpływ jest rozproszony, a cele nie mogą być wprost realizowane. Co jednak nie znaczy, że nie osiągają niektórych z tych celów, czyli wywołania w Polsce chaosu w czasie ostrego uderzenia pandemii, podczas sporów o budżet UE, fundusz odbudowy i tzw. mechanizm praworządności, podczas zmiany władzy w USA. To, że tak wiele sił jest zainteresowanych kontrolą nad ulicą w Polsce, sprawia, że powstaje chaos i rywalizacja, że dominują raczej wydarzenia doraźne, a nie jest realizowany jeden plan rewolucji w Polsce, choć to był cel podstawowy. Mimo rywalizacji i sprzeczności interesów jeszcze nigdy walka o władzę nad ulicą jako czynnikiem mającym współdziałać z akcją prowadzoną w instytucjach UE i poprzez inne działania z zagranicy, żeby Polskę „odzyskać”, nie były tak bezwzględne, skoordynowane i na taką skalę.



Większość protestujących nie ma w zanadru spójnego planu przebudowy społeczeństwa. Pewnie nawet w ogóle o nim nie myśli. Chodzi o zwykłą destrukcję, o zemstę, o drakę lub o wykrzyczenie swoich fobii. Tworzą oni jednak masę, która – odpowiednio stymulowana – ma doprowadzić do przesilenia i uruchomienia projektu radykalnych zmian społecznych



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rewolucja piorunów

Aktivistki warszawskiego Strajku Kobiet zamieściły w internecie grafikę przedstawiającą płonący kościół. To bardzo symboliczna deklaracja intencji. W polskim społeczeństwie, które w swojej większości dość skutecznie opierało się fanatyzmowi rozpalającym na przestrzeni dziejów Europę: wojnom religijnym, heglowskim ukąszeniom, teoriom rasowym czy wreszcie dyktaturze proletariatu, może to budzić uzasadniony niepokój. Bo coraz wyraźniej widać, że nie idzie tu tylko o prawa kobiet (sprowadzone zresztą do kwestii aborcji), lecz o coś znacznie szerszego i poważniejszego. O wielką przebudowę społeczeństwa w duchu postępowej religii.

WOJNA PRZECIW WSZYSTKIEMU

W komentarzu zamieszczonym obok rysunku płonącego kościoła znalazły się słowa: „To żalosny symbol końca tej władzy”. Przy czym nie powinno być

wątpliwości, że nie chodzi tu jedynie – jak myślały osoby zafiksowane na punkcie PiS – o obecne rządy, lecz o całą dotychczasową strukturę społeczną. Władza w tym znaczeniu to wszyscy biali, heteroseksualni mężczyźni, mięsożercy, rodziny – cały ten, oparty na tradycji i doświadczeniu „patriarchalny, hierarchiczny reżim”, na którego straży stoi Kościół. Dlatego na rysunku płonie tak naprawdę nie tylko kościół, lecz całe społeczeństwo. Wykrzykiwane bez końca wulgarne „wypierdalać” jest skierowane do każdego, kto nie rozumie ducha nadchodzących nowych czasów.

Przekonał się o tym, zresztą dość boleśnie, Waldemar Kuczyński – minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego – a dziś ciągle aktywny w mediach społecznościowych oponent PiS. Gdy zamieścił na swoim twitterowym profilu plakat z hasłem „wypierdalać” spotkała go ostra krytyka ze strony aktywistek. Jedna z nich, podpisująca się jako Anka Adamczyk, odpowiedziała mu wulgarnie, że

„wypierdalać” z plakatu jest skierowane także do niego. „Bo nie lubimy, jak jakiś dziad skurwysyn szczuje na nasze koleżanki, albo je obraża, bo nie podoba mu się w radiu ich głos. Wypierdalał skarbie. W podskokach” – usłyszał Kuczyński. I na wszelki wypadek potulnie usunął plakat, podmieniając go na zdjęcie motylków.

Nie należy oczywiście przeceniać rewolucyjnych talentów lewackich radykałów, ale nie należy ich również lekceważyć. Prawdziwych fundamentalistów jest wprawdzie ciągle garstka, za to bardzo krzykliwych i wspieranych przez różne organizacje międzynarodowe oraz – co najważniejsze – zdolnych do uruchomienia całkiem sporych pokładów negatywnej energii drzemącej w społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodych ludzi.

Większość osób wykrzykujących wulgarne hasła podczas manifestacji lub bluzgających w mediach społecznościowych, daje po prostu upust własnym frustracjom i nie ma w zanadru intelektualnie spójnego planu przebudowy społeczeństwa. Pewnie nawet w ogóle o nim nie myśli. Chodzi o zwykłą destrukcję, o zemstę, o drakę lub o wykrzyczenie swoich fobii. U każdego szczególnie motywacje mogą być zresztą różne. Tworzą oni jednak masę, która – odpowiednio stymulowana – ma doprowadzić do przesilenia i uruchomienia projektu radykalnych zmian społecznych.

„DZIADY” WYPUŚCIŁY DEMONA

Protesty aborcyjne uaktywniły antypisowski elektorat i pokazały jego siłę. Wystarczy przejść się ulicami Warszawy lub innego dużego miasta i popatrzeć w okna domów. W bardzo wielu z nich można dostrzec plakaty z czerwoną błyskawicą, które stały się symbolem nie tylko Strajku Kobiet ale również całego antyrządowego tumultu. Antypisowcy policzyli się i zdominowali publiczną przestrzeń. To budzi w szeregach opozycji wielkie nadzieje.

Platforma Obywatelska widzi w protestujących dziś ludziach narzędzie do zmiany władzy, którego dotąd tak bardzo jej brakowało. Sądzi, że uda się jej przejąć kontrolę nad rozemocjonowaną ulicą i użyć krzyczących tłumów jako taranu przeciwko PiS.

Jednak interesy lewackich radykałów i „klasycznej” antypisowskiej opozycji z PO na czele są rozbieżne. Problem polega bowiem na tym, że radykałowie nie zamierzają – w przeciwieństwie do PO – poprzestać na obalaniu PiS. Ich celem jest pójście znacznie dalej. To dlatego wspomniany wcześniej Waldemar Kuczyński został zbesztany przez aktywistkę. Żaden „dziad”, choćby nawet i antypisowski, nie będzie podczepiał się pod „rewolucję”. Bo ta „rewolucja” jest skierowana również przeciwko niemu. „Wojna”, którą proklamowali radykałowie, została wypowiedziana całemu państwu.

Do niektórych po antypisowskiej stronie zaczyna to już zresztą powoli docierać. Tomasz Lis, który równie często co bezskutecznie nawoływał w ostatnich latach do wielkiego buntu przeciw władzy,

Wulgaryzacja to nie tylko przejaw frustracji i agresji, ale również przesuwanie granic. Skoro można zakwestionować normy kulturowe obowiązujące w języku, to można też podważyć inne reguły

w ostatnich dniach nieoczekiwanie wykażal się przytomnością i przypomniał, że istnieją tylko dwie metody zmiany władzy: referendum lub wybory. W protekcyjnym, drwiącym tonie odpowiedziała mu posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska: „Dobra, Stary. Jest jeszcze co najmniej trzeci sposób i nazywa się rewolucja”.

W rozpetanym zamęcie Platforma zaczyna się gubić. Dowodem może tu być „wielki ruch obywatelski” Rafała Trzaskowskiego, który został brutalnie zduszony w zarodku przez radykalne aktywistki Strajku Kobiet oraz nacierającego z drugiej strony i liczącego przy tej okazji na nowe rozdanie Szymona Hołownię.

Wygłada więc na to, że zafiksowane na punkcie zmiany władzy antypisowskie „dziady” bezmyślnie wypuściły na wolność demona, którego nie potrafią już okiełznać.

PRZEKLINAJĄCA RÓŻA

W ostatnich tygodniach nastąpiły w Polsce zmiany, które trudno już będzie – o ile w ogóle to jeszcze możliwe – odwrócić. Najbardziej widocznym dla każdego przejawem tych zmian jest wulgaryzacja, czy wręcz zdziczenie, obyczajów publicznych. Debata, jeśli można ją tak nazwać, została sprowadzona do rynsztoka, z którego wydobywają się jedynie wulgarne bluzgi ze słynnym już „wypierdalać” na pierwszym miejscu. Nawet uchodząca za dystygowaną Róża Thun (Woźniakowska), komentując zamknięcie biura Ordo Iuris w Brukseli, stwierdziła, że właściciel budynku, w którym mieściło się biuro, „wypierdolił” tę organizację na bruk.

Wprowadzenie do publicznego obiegu knajackiego języka jest oczywiście całkowicie świadomym zabiegiem. To przejaw werbalnej agresji, celowo tak chamskiej i skoncentrowanej, żeby zdehumanizować i obezwładnić przeciwnika. Jednocześnie, posługując się elastycznym wytrychem „mowy nienawiści”, uniemożliwia się drugiej stronie jakkolwiek obronę przed tą agresją.

Łatwo zauważyć, że większość bluzgów kierowana jest przeciwko mężczyznom, często też osobom starszym – niekoniecznie tylko politykom. Chodzi o to, aby wyrzucić do końca podstawy naszej kultury, gdzie doświadczenie i wiek wiązały się z autorytetem. Teraz tych autorytetów ma nie być, mają zostać upodlone i unieważnione.

Przypomina to nieco zabiegi chińskich hunwejbiniów rzuconych cynicznie podczas chińskiej rewolucji kulturalnej przeciwko swoim nauczycielom i wykładowcom, aby wyczyścić pole dla jedyne go rozjemcy, którym miał być Mao. I tym razem też miałby na końcu wyłonić się jakiś rozjemca, nowy autorytet, zapewne ktoś spośród grona lewackich radykałów. Oczywiście pod warunkiem, że większość społeczeństwa ulegnie amokowi.

Na razie buntownicze nastroje kłębią się głównie w głowach młodzieży, regu larnie ogłupianej i manipulowanej dzięki internetowi oraz mediom społecznościowym promującym nihilistyczne i często radykalne postawy. Jednak zwalanie całej winy na internet byłoby pójściem na skróty. Frustracja młodych ludzi jest

bowiem faktem. Nakłada się na nią tak wiele przyczyn, że należałoby napisać osobny artykuł na ten temat. W tym miejscu warto wymienić kryzys rodziny, zwykle uwarunkowany ekonomicznie (harujący lub po prostu skupieni na karierze rodzice, niemający już siły lub ochoty na wychowanie dzieci) oraz kryzys edukacji, wcale niezwiązany z tą czy inną reformą lecz o znacznie głębszym, strukturalnym charakterze, bo wynikający z jej umasowienia i pogorszenia tym samym jakości oferty edukacyjnej.

Te i wiele innych przyczyn sprawiają, że wielu młodych ludzi, wychowywanych w kulcie kariery i pieniądza oraz zaganianych, często wbrew swojej woli, do wyścigu szczurów, nie jest w stanie zaspokoić swoich roszczeń i buntuje się przeciwko rzeczywistości, której nie potrafi stawić czoła. Łatwo więc wykorzystać ten bunt, zwłaszcza że lewacka rewolta proponuje młodym wywrócenie zastanego świata do góry nogami. Świata, zdominowanego przez dorosłych i postrzeganego przez dużą część młodzieży – skądinąd zresztą trafnie, choć to banalne odkrycie – za niesprawiedliwy. Powiedzenie temu światu, aby „wypierdalał”, zostało więc chętnie podchwyczone przez młodych. Walka ze wspólnym wrogiem buduje utraconą wspólnotę pokoleniową, nawet jeśli ten wróg został dość cynicznie podrzucony przez ideologicznych fanatyków.

PRZESUWANIE GRANIC

Wulgarna agresja, która w ostatnich tygodniach pojawiła się na ulicach polskich miast, dojrzała jednak od dawna. Półsem transmisyjnym dla wulgarnego ścieku był od lat internet, przeróżne fora dyskusyjne i media społecznościowe, gdzie każdy – chowając się tchórzliwie za pseudonimem – mógł wylać bezkarnie kubek pomysł na swojego oponenta. Teraz to po prostu przeszło ze świata wirtualnego do rzeczywistego. Nie powinny nas zatem zaskakiwać najbardziej nawet chamskie hasła czy plakaty. Podobnie jak nie powinniśmy faryzejsko załamywać rąk nad wychowaniem młodzieży. Oni są do tego języka przyzwyczajeni, nawet jeśli unikali go w obecności cici lub wujka na rodzinnych imieninach. Zwłaszcza że dziś publicznie i bez żenady używają go profesorowie, politycy i wszystkie tzw. elity.



Wulgaryzacji języka publicznego nie należy jednak lekceważyć. Jest ona nie tylko przejawem frustracji i agresji, ale również przesuwaniem dopuszczalnych granic. Bo skoro można zakwestionować normy kulturowe obowiązujące w języku, to można też podważyć inne reguły.

Pamiętam, jak pięć lat temu, zaraz po zwycięstwie PiS w wyborach 2015 r. i powstaniu KOD, „Gazeta Wyborcza” zaczęła zachęcać swoich czytelników do blokowania na Facebooku znajomych, którzy popierają nową władzę. Pamiętam też wulgarnie teksty na jej łamach, jak choćby ten, w którym posiadający tytuł profesorski Ludwik Turko opisywał wyborców PiS jako lumpów sikających w bramach. Atmosferę nienawiści podgrzewały akcje Obywateli RP oraz słynne blokady Wawelu w Krakowie. To było stopniowe przesuwanie granicy kulturowej w stronę zdziczenia.

Dziś ta iście totalitarna praktyka zaznaczania i wytykania palcami każdego, kto ośmiela się mieć odmienne poglądy, nie budzi już większego zdziwienia ani zażenowania. Szczególnie spektakularne i szkodliwe są ataki na uczelniach, gdzie bez ogródek stygmatyzowani są wykładowcy, którzy odstają od rewolucyjnej awangardy. Niedawno celem takiego ataku stał się prof. Jan Majchrowski, sędzia Sądu Najwyższego i wykładowca Wydziału Prawa i Administracji UW. Został on nazwany publicznie przez swojego kolegę z uczelni prof. Wojcie-

cha Sadurskiego „kanalią”, którą powinno się usunąć z uniwersytetu. Oczywiście Sadurskiego nie spotkały za to żadne poważniejsze nieprzyjemności. Zbluzgał przecież kolegę „w słusznej sprawie”.

URBAN SPEŁNIONY

Jednak dopiero Strajk Kobiet ośmielił radykałów do zrobienia dużego kroku naprzód i ujawnienia swoich rzeczywistych intencji. Bluzgi i werbalna agresja to jedynie przygotowanie artyleryjskie przed właściwą ofensywą. Nie da się bowiem wywrócić społeczeństwa do góry nogami bez usunięcia największej przeszkody, jaką jest w Polsce religia katolicka i Kościół.

Ataki na budynki kościelne oraz skoordynowana z tym akcja podważania aury Jana Pawła II są czymś, co jeszcze do niedawna nie mieściło się w ramach cywilizowanego sporu w Polsce. Dziś już się mieści. Posel Lewicy Adrian Zandberg nawołuje przecież do tego, aby placówki publiczne, zwłaszcza szkoły, pozbywały się imienia Jana Pawła II. Są też głosy, aby polski papież zniknął z przestrzeni publicznej: z pomników i nazw ulic. Państwo ma zostać dogłębnie zsekularyzowane, a religia sprowadzona do rangi śmiesznych rytuałów sekty paranoików. Można powiedzieć, że Jerzy Urban, tak ostatnio promowany w „Gazecie Wyborczej”, dopełnił dzieło swojego życia.

Przy czym na Kościele się nie skończy. W następnej kolejności na „śmietnik historii” zostaną wysłani ci wszyscy, którzy reprezentują stare „patriarchalne” społeczeństwo. Nie tylko konserwatyści, ale każdy kto nie podporządkuje się nowym regułom – w tym także „dziady” w rodzaju Waldemara Kuczyńskiego, Tomasza Lisa czy Rafała Trzaskowskiego. Zdaniem radykałów, ich epoka też już dobiega kresu.

W tej nowej epoce nie będzie jednak tak, że ludzie staną się racjonalni, równi i szczęśliwi. Przeciwnie – nawiązując tu do słynnego zdania Gilberta Keitha Chestertona – gdy już zostaną całkiem wyrwani z dotychczasowego świata, staną się pogubieni i będą zdolni uwierzyć we wszystko. Co więc zastąpi starą religię i tradycję? Tęczowe flagi? A może fanatyczne barbarzyństwo?

BGK

BANK GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO



WSPIERAMY POLSKICH PRZEDSIĘBIORCÓW

Już ponad **40** mld złotych

wsparcia w formie kredytów zabezpieczonych gwarancjami BGK.

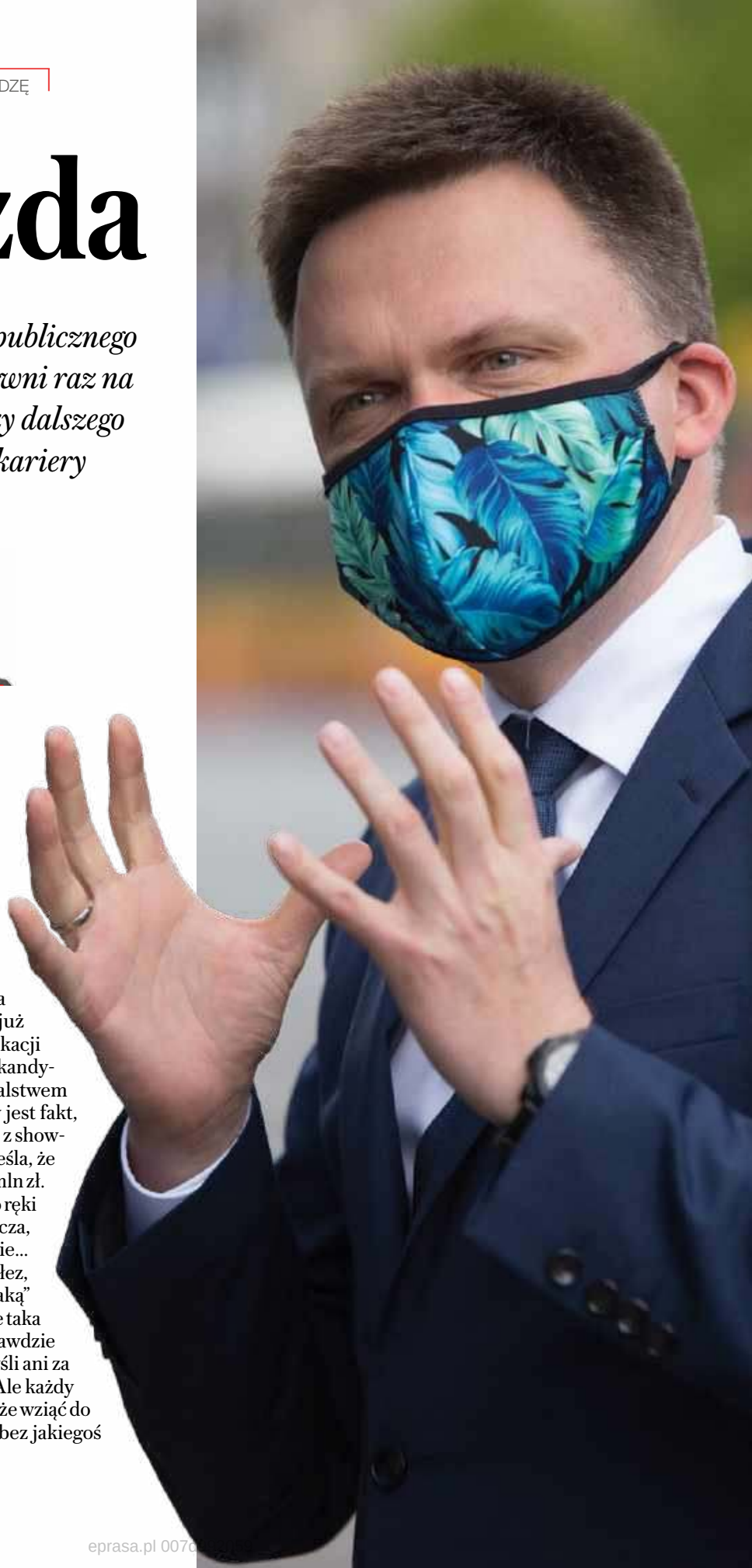
Gwiazda

Ta scena przykleiła się do publicznego wizerunku Szymona Hołowni raz na zawsze, aż do bliższego czy dalszego końca jego politycznej kariery



JAN ROKITA

Jest 2 maja 2020 r. W polityce polskiej panuje zamęt i nie wiadomo nawet, czy za chwilę odbędą się, czy też się nie odbędą wybory prezydenckie. Sondaże dają Hołowni drugie miejsce za urzędującym prezydentem, ale przy ówczesnej skali przewagi Andrzeja Dudy raczej małe szanse na drugą turę. W codziennym „porannym live” na Facebooku, który stał się świetnym i już wypraktykowanym narzędziem komunikacji Hołowni z tysiącami jego zwolenników, kandydat z typowym kampanijnym samochwalstwem uczuciowo opowiada o tym, jak doniosły jest fakt, iż to on właśnie podjął decyzję o przejściu z show-biznesu do polityki. Z satysfakcją podkreśla, że tylko on zebrał w crowdfundingu blisko 4 mln zł. W pewnym momencie Hołownia bierze do ręki tekst konstytucji, ze wzruszeniem oświadcza, iż „czyta ją codziennie”, po czym milknie... i nagle płacze. Łkając i przecierając oczy z łez, zapewnia, że kiedyś i on „zrobi Polskę taką” oraz że „wszystko odda, aby Polska właśnie taka była”. Nikt, kto to ogląda, nie mógłby wprawdzie zgadnąć, co Hołownia w istocie ma na myśli ani za jaką Polskę gotów jest „wszystko oddać”. Ale każdy rozumie, że to jest kandydat, który nie może wziąć do rąk świętego tekstu polskiej konstytucji bez jakiegoś wielkiego uczucia i wzruszenia.



TRZECIA SIŁA WE ŁZACH

We współczesny medialno-polityczny świat, w którym (jak z sarkazmem pisał swego czasu prof. Krzysztof Rutkowski) istotą władzy jest „emocjonalne widowisko”, a marzeniem polityków „osiągnięcie najbardziej eksponowanej pozycji widowiskowej dla siebie i swojej trupy”, Hołownia wszedł w ten sposób jako innowator i odkrywca. Ten, który wypraktykował jeszcze jeden, bardziej radykalny i zarazem „intymny” sposób mobilizowania partyjnych namiętności: płacz, który dotąd tylko raz (przez posłankę Sawicką) został wykorzystany dla polityki. Płaczący mężczyzna odwołuje się oczywiście do wrażliwości młodszych pokoleń – tego, które nie zna już innego modelu męskości niż ów model miękki, uczuciowy, mazgajowaty. To ważne, gdyż jak w soczewce pozwala zobaczyć samą istotę pomysłu Hołowni na wyłansowanie siebie, a w konsekwencji na podjęcie raz jeszcze próby zbudowania w Polsce „trzeciej siły”, na przekór PiS i Platformie. Czyli odważnego zamysłu, który – jak wiadomo – niejednego już wywiódł na polityczne manowce. Na tym politycznym cmentarzysku roi się bowiem od pokonanych śmiałków: Borowskiego, Palikota, Kukiza, Petru, Lubnaue-rowej... I jeśli kierować się li tylko rachunkiem politycznego prawdopodobieństwa, to wcześniej czy później Hołownia powinien do nich nieuchronnie dołączyć.

Jednak tak wcale być nie musi. Hołownia dysponuje dziś nad nimi niebłahymi przewagami. Po roku swej politycznej działalności jest najpopularniejszą (albo jedną z najpopularniejszych, w zależności od sondażu) postacią na polskiej scenie publicznej, a jego partia, choć dopiero in statu nascendi, realnie rywalizuje z Platformą. Jak w październiku pokazało ciekawe jakościowe badanie CBOS, Hołownia jest już dziś zdecydowanym przywódcą dla wyborców najmłodszych (60 proc.), najbogatszych (66 proc.) i niereligijnych (60 proc.). Z niezłą polityczną intuicją przystępuje właśnie do budowy własnych instytucji, rozumiejąc, iż wysokiej intensywności uczuć w skali masowej nie da się utrzymywać bez ustanku. Jeśli nie są to tylko puste przechwałki, to za chwilę obok partii Hołowni powstanie radio Hołowni, szkoła liderów Hołowni, kursy psychologiczne Hołowni (cokolwiek to znaczy, idzie o wykorzystanie rozchwywania ludzi w czasie zarazy).

Oczywiście Hołownia jest gwiazdą Facebooka, Twittera, Instagrama, YouTube’a, a jak można się dowiedzieć z serwisu o2.pl, „fani Hołowni pogrążają się w rozpacz” z powodu tego, że przestał on pracować dla show-biznesu. Przy czym Hołownia przez cały czas na tych wszystkich forach jest „oburzony” czy raczej ostatnio „wkurwiony” – jak mówi „Gazecie Wyborczej”, tłumacząc zarazem, iż nie lubi za bardzo brzydkich słów. To jasne, że gwiazda musi podążać za modą, także w sferze języka.

Kiedy przed laty Edward Miszczak, mający do tego świetną rękę, wybrał Hołownię do prowadzenia programu „Mam talent!”, nie popełnił błędu. Hołownia, jeśli tylko jest umiejętnie podsterowywany przez speców od piaru, ma osobowośćową predylekcję do roli gwiazdy. Jest na tym polu o niebo lepszy od Kukiza, który zyskał sławę po prostu na tym, że umiał śpiewać niezłe piosenki. Hołownia nic nie musi umieć, wystarczy, że

na scenie nie ma żadnych zahamowań i nie odczuwa żadnego wstydu. Niewykluczone, że to jest właśnie najwyższy poziom kwalifikacji współczesnego polityka.

POLITYCZNE PSYCHOLOGIZOWANIE

Oburzenie Hołowni z natury rzeczy dotyczy wszystkiego. Może się równie dobrze oburzyć na „upokarzające kolejki do lekarzy”, jak i na polską reakcję na wybuch portu w Bejrucie. Ale oczywiście to, co nieuchronnie najbardziej musi oburzać każdą gwiazdę, to PiS i Kaczyński. „W samym środku ratowania domu przed rabusiem przyszedł Kaczyński i dodatkowo ten dom podpalił. To jest zbrodnia stanu. Trudno się na to nie wkurwić”. Tak mniej więcej wygląda uczuciowa (a tylko taka ma polityczne znaczenie) Hołowni diagnoza stanu państwa polskiego po protestach feministek. Z charakterystycznym dlań myślowym przechylem dla interpretowania polityki w kategoriach zbiorowej psychologii (przechył zawodowy?) Hołownia zdaje się kalkulować, że kryzys rządowy i wywrotka ekipy Morawieckiego mogą nastąpić najbliższej wiosny, gdyż właśnie wtedy pojawiają się najmocniej „odkładające się w psychologii” skutki zarazy i przewidywanej przezeń na grudzień „największej ilości zgonów” (listopadowy wywiad dla „Wyborczej”).

Pytany przez dziennikarza Polsatu o pogląd na to, czy polską praworządność powinniśmy oceniać my sami w kraju, czy lepiej, by robiła to zagranica, zamiast odpowiedzi demaskuje



Rodzinie, Bliskim i Przyjaciółom

Ś. P.

TOMASZA KUCA

Człowieka dobrego i ciepłego, zawsze śpieszącego z pomocą,

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia

składa

*Iwona Duda,
Wiceprezes Zarządu Alior Banku*

psychopatologiczne „urojenia i majaki” PiS, który cierpi na zbiorowy kompleks „bycia męczennikiem”. To są diagnozy istotne, bo obrazują wyrażenie styl myślenia i działania Hołowni w polityce. Życie polityczne to obszar emocjonalnych zbiorowych zaburzeń, a polityk psycholog jest od tego, by nimi umieć posterować. Zmiana władzy dokona się wtedy, gdy liczba zgonów od zarazy wystarczająco mocno „odłoży się” w zbiorowej psychice Polaków. Hołownia nie kryje tego, że ze skutkami zarazy wiąże nadzieję na władzę. Ale by tak się stało, nie ma co zawracać sobie głowy nieskutecznymi wnioskami sejmowymi o odwołanie z rządu Kaczyńskiego, ale stawiać jeden cel – żądanie szybkich nowych wyborów. Nie całkiem konsekwentnie Hołownia próbuje tworzyć z lewicowych dysydentów jakieś koło sejmowe, ale w gruncie rzeczy lekceważy to wszystko, co teraz dzieje się w polskim parlamencie.

Nie ma więc nic dziwnego w tym, że to właśnie Hołownia i jego partia in statu nascendi są głównym beneficjentem rozruchów i zamieszek feministycznych. Paradoksalnie na przekór temu, że liderka zbuntowanych feministek udzieliła mu publicznie odprawy za pomocą wulgarnych wiązańki, jakiej nie powstydziliby się grypsujący więźni z zakładu w Barczewie (później wyrażała ubolewanie). W końcu dla tych wszystkich, którzy dali się ponieść ludycznej emocji ulicznych rozruchów i wulgarnych happeningów, punktem odniesienia nie jest i być nie może obecny parlament. Skoro prawdziwą ich nadzieję stworzyła dopiero ulica, to właśnie dlatego, że sejmowa opozycja, obojętnie spod jakiego znaku ideologicznego, przestała być dla nich jakąkolwiek nadzieją. Im więcej zatem będzie w Polsce owej „rewolucji”, która ma obalić obecną złą władzę, tym bardziej partia Hołowni będzie wchodzić w rolę jedyne remedium na PiS. I na odwrót, im polityka będzie spokojniejsza, można by rzec „systemowa”, tym większe szanse na zachowanie pozycji przez parlamentarne partie opozycyjne, z PO na czele.

Hołownia jest tego oczywiście świadom. I dlatego właśnie na przekór obraźliwej latce „konserwatysty” i „katola”, przypinanej mu ustawicznie przez lewicowców, zwłaszcza tych dobrze już urządzonych od Czarzastego i Biedronia, próbuje wziąć jak najwięcej z wiejącego antyreligijnego wiatru w swoje żagle. Kiedy nie idzie na inaugurację Dudy, wyjaśnia, że nie może, bo tam „będzie odprawiana przez kardynałów i biskupów msza w intencji ojczyzny”. A kiedy policja pilnuje przed znieważeniem figury Jezusa niosącego krzyż „Sursum Corda” na Krakowskim Przedmieściu, umieszcza na Facebooku takie zdjęcie z komentarzem: „Strzeżenie kamiennego Jezusa przed żywymi ludźmi”. Stawką wielkiej gry, jaką bowiem zaczął Hołownia, nie jest ani żadna religia, ani żaden światopogląd, ani żadna ideologia. Tą stawką jest władza. A żeby ją zdobyć, Hołownia musi ograć bynajmniej nie PiS, ale stare partie opozycyjne

z Platformą na czele. W zamęcie podsycanym przez zarazę musi tak się ustawić, aby wiatr idący od tego zamętu wiał w jego, a nie Trzaskowskiego czy Czarzastego żagle.

PARTIA FANÓW

Bitwę na śmierć i życie Hołownia toczy zatem z centrolewicową parlamentarną opozycją i tylko ona jest jego prawdziwym, strategicznym wrogiem. Jest tutaj w lepszej pozycji, niż swego czasu byli pokonani Palikot, Petru i inni, gdyż sam czas polityczny jest dlań bardziej przyjazny. Niepewność, zadyma, silna ulica, młode pokolenie zakorkowane w domu, ciągle rosnąca liczba zgonów. Wedle sformułowania Hołowni to są wszystkie te „odkładające się w psychologii skutki” zarazy, które osłabiają PiS, z pewnością nie wzmocnią innych partii parlamentarnych. Ale też sam Hołownia ma lepsze od tamtych predyspozycje do takiej batalii. Profesjonalnie odgrywana rola gwiazdy, gotowej obnażać się publicznie ze swoich uczuć aż do intymności, pozwala mu zyskiwać najrozmaitszych „fanów”, poza kryteriami wszelkich ideologii czy politycznych programów.

Na łamach skrajnie lewicowej „Krytyki Politycznej” Jakub Majmurek inteligentnie zrobił listę najróżniejszych wyobrażeń, jakie „fani” Hołowni mają na temat jego politycznego kierunku: od „inkarnacji prawego skrzydła Unii Wolności” aż po „wkurwionego” entuzjastę proaborcyjnych zadym. Gdy idzie o „fanów” gwiazdy, taka na pozór sprzeczna różnorodność jest czymś całkiem zwyczajnym. Rzecz tylko w tym, że w przypadku Hołowni „fani” mają się stać zapleczem partii, a więc działaczami partyjnymi i wyborcami.

Jeszcze przed wyborami Hołownia się przechwalał, że skoro tylko wszedłby do drugiej tury, to „ruszy taka lawina obywatelskiego wsparcia, że wszyscy zapomną o PiS i PO”. Ta „lawina obywateli” to w istocie właśnie „lawina fanów”, którzy mają choć na chwilę kochać swoją gwiazdę. To dla nich jest ten „wstrząsający” seans placzu na Facebooku. W starciu z Platformą czy Lewicą przewaga Hołowni polega na tym, że nie sięga on po jakiś konkretny typ wyborcy czy określony fragment elektoratu. Sięga po potencjalnych „fanów”, czyli w gruncie rzeczy wszystkich, którzy w polityce, tak jak w programie „Mam talent!”, chcieliby mieć swoją ukochaną gwiazdę. Tym fanem może się stać z dnia na dzień najczystszej krwi platformowy „leming” z warszawskiego nowego Ursynowa czy krakowskiego Ruczaju, ale też na polu rewolucyjny „lewak” z jakiegoś gdańskiego czy sosnowieckiego squatu. Dlatego dzisiejszym liderom opozycji nie będzie łatwo pokonać Hołowni w grze o władzę. Łatwiej jest bowiem po prostu wygrywać z wrogimi politykami, niż strącać z firmamentu nieprzyjazne gwiazdy.

Hołownia nic nie musi umieć, wystarczy, że na scenie nie ma żadnych zahamowań i nie odczuwa żadnego wstydu. Niewykluczone, że to jest właśnie najwyższy poziom kwalifikacji współczesnego polityka

#Zielony
Zwrot
TAURONA

Tak widzimy przyszłość – pełną zielonej energii

- zrób Audyt z TAURONEM i popraw efektywność energetyczną w firmie
- postaw na Zarządzanie Energią i zoptymalizuj pracę urządzeń HVAC
- wybierz Redukcję Mocy i zyskaj środki finansowe po redukcji zapotrzebowania

Razem z nami buduj zieloną przyszłość
i włącz się w **#ZielonyZwrotTAURONA**

Jedynym sposobem na zmianę władzy są wybory

Najważniejszym zadaniem rządu jest bezpieczeństwo Polaków.

Liczymy na to, że w styczniu będziemy mogli rozpocząć nieobowiązkowe szczepienia. Będziemy jednak apelować, by z nich skorzystać. A opozycja powinna pamiętać, że do wyborów jeszcze trzy lata

Z Krzysztofem Sobolewskim,
szefem komitetu wykonawczego PiS, rozmawia Edyta Hołdyńska

Lech Kołakowski wystąpił z PiS. Był czas, kiedy zagrożenie utraty większości parlamentarnej miało. Teraz wraca? Trzeba pozyskać posłów z innych ugrupowań?

Krzysztof Sobolewski: Nie udało nam się przekonać pana posła Kołakowskiego. Chyba jednak był zdecydowany wyjść z PiS. Rozumiem, że emocje wzięły górę. Żalujemy, ale nie załamujemy rąk. Jeśli ktoś będzie wyrażał chęć, aby swoje postulaty wpieść w postulaty dobrej zmiany i móc je realizować, to jesteśmy otwarci. By realizować program, trzeba mieć większość. W opozycji to trudne, a wręcz czasem niemożliwe. Jeśli ktoś uzna, że mamy zbieżne postulaty i będzie zgoda z naszej strony, to nie wykluczamy, że takie osoby mogą być włączone w strukturę Zjednoczonej Prawicy, np. w ramach Klubu Parlamentarnego. Jesteśmy otwarci. Jeśli ktoś się do nas uśmiecha, odwzajemniamy uśmiech.

Kto uśmiecha się do PiS już dziś?

To sprawy, które lubią ciszę. Połączenie sił z parlamentarzystami Kukiz'15 i PSL byłoby bardziej zrozumiałe dla elektoratu PiS niż z posłami Koalicji Obywatelskiej. Łatwiej byłoby zbierać postulaty programowe niektórych parlamentarzystów Koalicji Polskiej czy nawet Konfederacji niż postulaty Koalicji Obywatelskiej.

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, byłym ministrem rolnictwa, udało się dojść do porozumienia?

Najważniejszy jest efekt końcowy. Zjednoczona Prawica składa się z kilku organizacji. Kluczowe jest, by znaleźć kompromis w swoich poglądach, sprawach, które wywołują nieporozumienia. Chodzi o ustawę o ochronie zwierząt. Udało się z ministrem Ardanowskim i kilkoma innymi posłami dojść do kompromisu. PiS nie zamyka drzwi do powrotu także dla Lecha Kołakowskiego. Liczymy, że

emocje opadną i będzie można wrócić do rozmów.

Czy uda się utrzymać większość parlamentarną przez kolejne trzy lata?

Mam nadzieję, że nie tylko uda się utrzymać, ale że zostanie jeszcze zwiększona. Nie sądzę, by coś miało się po drodze wydarzyć przez następne trzy lata. Przypominam rozemocjonowanym, tym, którzy stawiają ultimatum, grożą rewolucją, że jedynym sposobem na zmianę władzy są wybory lub referenda. Nic nie stoi na przeszkodzie, by za trzy lata rozemocjonowani stanęli i urzekli swoich wyborców.

Mowa o liderkach Strajku Kobiet? To nie są politycy.

To są już politycy, mają swoje postulaty. Pani Marta Lempart dwukrotnie kandydowała, raz do Sejmu i raz na stanowisko prezydenta Wrocławia. Z nieszczęśliwym wynikiem, jed-



Fot. Andrzej Wiktoria

nak działając politycznie. Włącza się w działania polityczne, chce obalić rząd, przejąć władzę. Mówimy o politykach. My jesteśmy spokojni. Nie uciekamy do piwnicy, słysząc postulaty i ultimatum, że musimy ustąpić. Nie przejmujemy się tym. Robimy swoje. Niektóre z tych działań podlegają ocenie organów ścigania. Liczę, że takowe będą podjęte.

Jaki PiS ma sposób na rozwiązanie sytuacji: ustępstwa, kompromis, bardziej stanowcze działanie? Co przyniesie wzrost nieco stopniałego poparcia?

Jedną czwartą tych wydarzeń oceniamy jako wyrażenie niezadowolenia, ale z sytuacji związanych z pandemią koronawirusa. Oczywiście zapalnikiem strajku był wyrok Trybunału

Konstytucyjnego. Można jednak powiedzieć, że eksplodowały także społeczne emocje związane z tym, że już ósmy miesiąc jesteśmy w stanie walki z pandemią koronawirusa. Związane jest to z różnymi obostrzeniami, nakazami i zakazami mającymi na celu powstrzymanie rozwoju tej epidemii. W protestach brały udział osoby bardzo młode, czasami dzieci, które w tym czasie powinny być w domach, nie chodziły przecież do szkoły. Nadal mamy zdalne nauczanie. Forma protestów się zmieniła. Jest teraz mniej gwałtowna, ale w całości widać zachowania radykalne, agresywne. Protestują osoby związane z organizacjami lewackimi. Atakują dziennikarzy, policjantów, którzy zabezpieczają tak naprawdę nielegalne manifestacje. Bo tego rodzaju protesty są w stanie pandemii zakazane. Gromadzić się można tylko do pięciu osób.

Potrzebna jest mocniejsza reakcja władz? Minister spraw wewnętrznych i administracji mówił w Sejmie, że to, co robił wicemarszałek Włodzimierz Czarzasty, jest atakiem na policję, państwo polskie. Policji obrywa się zaś i z lewej, i z prawej strony.

W niektórych przypadkach możemy mówić o tym, że policja podjęła działania nieadekwatne do sytuacji. Teraz czekamy na ich ostateczne wyjaśnienie. Chodzi mi o postrzeżenie fotoreportera w trakcie Marszu Niepodległości. Natomiast to, co zrobił pan Czarzasty, urąga godności parlamentarzysty. Mówimy o wicemarszałku Sejmu, który zapomniał, czym jest immunitet poselski. Posłowie totalnej opozycji, mając immunitet, idą na manifestacje i nazywają to interwencjami poselskimi i na tych nielegalnych manifestacjach popełniają wykroczenia lub przestępstwa, atakując policję. I tu rola policji jest bardzo niewdzięczna, ponieważ z jednej strony ma ona przeciw sobie agresywny tłum, a z drugiej – osoby, które nie powinny się w tym tłumie znaleźć. Policja zawsze informuje, by osoby, które są chronione immunitetem lub mają legitymacje dziennikarskie, opuściły tłum. Ostrzega, że

później podejmie działania. To jest sytuacja niewdzięczna dla policji. Kiedy posłowie nie opuszczają takich miejsc, dochodzi do sytuacji, jakie spotkały posłankę Biejat czy marszałka Czarzastego. W przypadku marszałka okazuje się, że to on atakował policjanta, co jest skandaliczne. Trwa wyjaśnianie wszystkich incydentów, także z udziałem fotoreporterki „Gazety Wyborczej”.

Powinno dojść do odwołania wice-marszałka Czarzastego?

Po zakończeniu postępowania wyjaśniającego podejmiemy działania. Nie wykluczamy żadnego scenariusza. Dymisja jest raczej niemożliwa, bo nie liczymy na honorowe zachowanie pana Czarzastego, słuchając jego wcześniejszych wypowiedzi. Nie wykluczamy jednak niczego, nawet odwołania go z funkcji.

Będzie reakcja PiS na same protesty czy partia chce przeczekać sytuację?

Nie możemy wchodzić w interakcje z tymi protestami. Nie chcemy. Protesty się toczą niezależnie od nas. Rolą organów ścigania, organów porządkowych jest doprowadzenie do sytuacji, w której będzie przestrzegane prawo. A działania podejmowane przeciwko prawu spotkają się z odpowiednią reakcją.

Co z zapalnikiem protestów, czyli wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego? Orzeczenie i uzasadnienie nie zostały jeszcze opublikowane.

Czekamy na opublikowanie wyroku z uzasadnieniem, bo od owego uzasadnienia zależą dalsze działania. Będziemy musieli je przeanalizować. Czy tam, oprócz przepisów konstytucji, będzie odniesienie do konkretnych działań parlamentu.

A co z ustawą, którą już zaproponował prezydent?

To także jest uzależnione od uzasadnienia wyroku Trybunału Konstytucyjnego.

Obostrzenia spowodowane pandemią budzą gniew wyborców nie

tylko w Polsce, ale też na całym świecie. Jaki jest plan PiS?

Wszystkie ograniczenia są wdrażane wyłącznie z myślą o tym, aby zatrzymać rozwój pandemii koronawirusa. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że strajkujący kierują gniew na rządzących. Spokojna reakcja rządu już trafia na podatny grunt. Na szczęście – można powiedzieć, bo część osób uważała, że to pandemia wydumana. Zauważamy jednak wszyscy, że koronawirus atakuje osoby z naszej rodziny, z grona znajomych, że jest obok nas. Przez osiem miesięcy społeczeństwo zaakceptowało w większości zasadę DDM – dystans, dezynfekcja, maseczka. Trzeba zrozumieć, że lepiej nosić maskę ochronną, niż

Klauzula praworządności jest jak yeti. Nikt jej nie widział, ale wszyscy o niej mówią

zamienić ją na tę tlenową w szpitalu. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, ale zadaniem rządu jest ochrona zdrowia i życia, nie zaś utrudnianie życia Polakom.

Ostatni tydzień pokazuje, że jest światelko w tunelu. Liczba zakażonych spada.

A niedługo mamy otrzymać szczepionkę. Obowiązkową?

Liczymy na to, że w styczniu będziemy mogli rozpocząć nieobowiązkowe szczepienia. Szczepionka będzie dla tych, którzy będą chcieli. Będziemy jednak apelować, by z niej skorzystać. To będzie już etap, kiedy można mówić, że zaczynamy wygrywać walkę z koronawirusem.

Co z zapowiadaniem na jesień kongresem PiS, ale też ofensywą programową?

Mam nadzieję, że statutowy kongres będziemy mogli zorganizować na początku przyszłego roku. Teraz ofen-

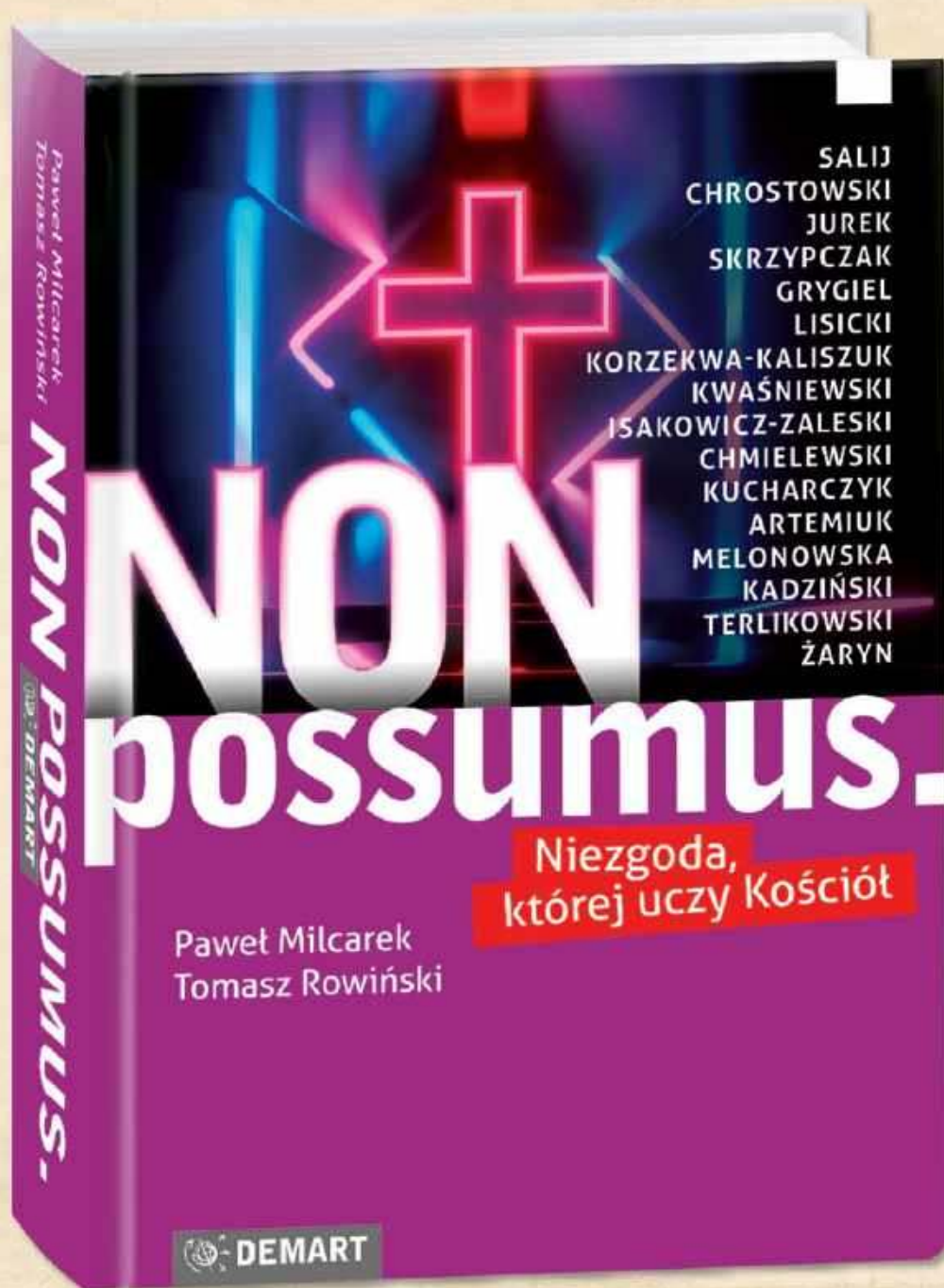
sywa programowa zeszła na dalszy plan. Na pierwszym jest walka z pandemią. Spodziewać się można jednak nacisku na kwestie gospodarcze, co od dawna jest naszym celem. Teraz będzie na to jeszcze większy nacisk. Nasze cele nie są niespodzianką. To dokończenie reformy wymiaru sprawiedliwości, zmiany w środowisku medialnym, dalej kwestie społeczne, ale też związane z ochroną zdrowia. To wszystko po zwycięstwie z pandemią koronawirusa.

Reforma wymiaru sprawiedliwości będzie dokończona pomimo mechanizmu uzależnienia wypłaty funduszy unijnych od przestrzegania zasad praworządności? I zapowiedanego weta rządu?

Polska ogłosiła zamiar użycia weta, Węgry już to zrobiły. Zobaczymy, jakie propozycje przedstawi nam niemiecka prezydencja, czy zobaczymy taki dokument, jaki będzie dla nas do przyjęcia. Z zastrzeżeniem, że nie ma naszej zgody na to, aby wprowadzać go tylnymi drzwiami pod pretekstem pandemii koronawirusa. Jeśli nie dostaniemy takiej propozycji, będziemy musieli czekać na to, aż się zmieni prezydencja. Klauzula praworządności jest jak yeti. Nikt jej nie widział, ale wszyscy o niej mówią.

Jeśli niemiecka prezydencja nie wyeliminuje zapisu o mechanizmie praworządności, będzie weto? Czasu ma niewiele, bo od stycznia prezydencję obejmie Portugalia.

My cały czas głośno mówimy „tak” dla Unii Europejskiej, „nie” dla łamania zasad praworządności. Nie zgadzamy się na łamanie zasad praworządności także wobec nas. Tego będziemy się trzymać. Skutki czas pokaże. Znając historię Unii Europejskiej, to właśnie instytucja weta pomogła wspólnocie przetrwać najtrudniejsze momenty. Chociażby na samym jej początku. Przypomnę, że jeden z ojców założycieli Unii Europejskiej, prezydent Francji de Gaulle, bronił instytucji weta jako tej, która jest równoważnikiem w UE. Jak się okazuje, jego słowa sprzed 50 lat były prorocze.



W **Non possumus** pokazujemy gdzie znajdują się punkty koniecznego oporu wobec chorób jakie rozmożyły się w społecznym ciele kościelnym. Szukamy określenia postaw, których ćwiczenie powinno być jedną z ważnych sprawności każdego katolika, a mianowicie zdrowej niezgody i posłuszeństwa. W czasie kryzysu to zasadnicza kwestia: komu i czemu winniśmy podległość i uległość, a wobec czego i kogo jesteśmy wręcz zobowiązani do sprzeciwu i niezgody. Chodzi o zdolność do wierności katolickim zasadom zarówno wobec presji światowej jak i presji wewnątrzkościelnej. (Od Autorów)

www.demart.com.pl



Eksmisja za przemoc domową

O wchodzącej dziś w życie tzw. ustawie antyprzemocowej, skutecznej ochronie ofiar i działaniach pomocowych podejmowanych przez Fundusz Sprawiedliwości, mówi **Marcin Romanowski**, wiceminister sprawiedliwości, w rozmowie z Bartoszem Życińskim

Nakaz opuszczenia mieszkania będzie egzekwowany – łącznie z możliwością użycia środków przymusu – nawet jeśli sprawca przemocy oświadczy, że nie ma się dokąd wyprowadzić.

Marcin Romanowski: To absolutnie przełomowa ustawa. Polska dołącza do krajów, w których ofiary przemocy domowej mogą liczyć na natychmiastową skuteczną pomoc. Od dzisiaj sprawca przemocy fizycznej, stanowiącej zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników, będzie musiał bezzwłocznie opuścić mieszkanie. Dostanie też zakaz zbliżania się do domostwa. Te sankcje natychmiast wyegzekwuje policja, a sądy w błyskawicznym trybie zajmą się sprawą.

Według policyjnych statystyk zdecydowanie największą grupą zagrożoną przemocą domową w Polsce są kobiety, a następnie dzieci. Notowane są także przypadki męskich ofiar tego zjawiska, ale jest ich ponad sześciokrotnie mniej niż zagrożonych kobiet. Można zatem stwierdzić, że ta ustawa wychodzi naprzeciw postulatowi środowisk, które artykułują potrzebę szczególnej troski państwa o prawa kobiet.

Według statystyk policji rocznie prawie 250 tys. osób w Polsce może być dotkniętych lub zagrożonych przemocą domową. Podobnie jak w innych krajach europejskich jest to więc poważny problem społeczny, który wymaga zdecydowanych działań. Chociaż jednocześnie Polska na tle „postępowych” krajów wyróżnia się znacząco niższym poziomem tego typu przestępczości, co wynika z danych europejskiej Agencji Praw Podstawowych. Niemniej jednak zjawisko to narasta w czasie pandemii. Mimo że lewica stawia się w roli obrońców kobiet, to rząd Zjednoczonej Prawicy zdobył się na tak skuteczne i radykalne rozwiązania, jakie proponowane są obecnie. Nowe przepisy wzorowane są na rozwiązaniach stosowanych z powodzeniem w innych krajach. W Austrii policyjny nakaz opuszczenia mieszkania przez sprawcę przemocy fizycznej obowiązuje już ponad 20 lat i wydawany jest na 14 dni. Podobne rozwiązanie wprowadzono w Czechach. Także w innych krajach europejskich środki służące ochronie ofiar przemocy domowej stosowane są od ponad 10 lat. Obejmują one m.in. nakaz opuszczenia mieszkania przez winnego przemocy oraz zakaz kontaktowania się z ofiarami.

Czy w kierownictwie Ministerstwa Sprawiedliwości nie są zatem państwo zaskoczeni faktem, że w zasadzie w przeddzień wprowadzenia nowych przepisów chroniących jak nigdy polskie kobiety nakręcane są protesty społeczne, których lejtymotywnym jest rzekome ograniczanie praw kobiet w Polsce? Na Gierwonce przedstawicielki podhalańskiego oddziału Ogólnopolskiego Strajku Kobiet wywiesiły nawet banner z hasłem: „Przemoc domowa to nie tradycja”. Jak pan to skomentuje?

Dotychczasowe regulacje antyprzemocowe, autorstwa najpierw lewicy, a potem liberalów z PO, nie działały dobrze. Sądy w sprawach dotyczących przemocy domowej orzekały stanowczo zbyt wolno. Dlatego mogło powstać przekonanie, że kobiety są niedostatecznie chronione. Ministerstwo jednak to zmieniło. Przypomnę, że wprowadziliśmy też surowsze kary za przestępstwa seksualne. Kobieta będąca ofiarą tego przestępstwa nie będzie się już bać, że gwałcieł po wyjściu z więzienia znów znajdzie się w jej otoczeniu. Sąd – na wniosek ofiary – wyda zakaz kontaktowania się z pokrzywdzoną i zbliżania się do niej, gdy sprawca nawet po wielu latach spędzonych w więzieniu wyjdzie na wolność. Żaden rząd wcześ-



niej nie zadbał o kobiety tak jak my. Dlatego ciężko w tym kontekście komentować akty wandalizmu, które nie mają nic wspólnego z manifestowaniem swojego niezadowolenia w ramach demokratycznego państwa.

Z jednej strony rząd Zjednoczonej Prawicy przygotował poprzez resort sprawiedliwości prawo, które w sposób bezprecedensowy chroni kobiety, a z drugiej słyszymy zapowiedzi o możliwym wypowiedzeniu tzw. konwencji stambulskiej, która – zdaniem jej twórców – także ma chronić głównie kobiety przed przemocą. Czy pana zdaniem nie ma tu sprzeczności w postępowaniu polskich władz i czym różni się w praktyce konwencja stambulska od ustawy antyprzemocowej?

Konwencja stambulska w swojej warstwie ideologicznej opiera się na założeniu, że przemoc wobec kobiet jest uwarunkowana społecznie i kulturowo lub jest manifestacją nierównego stosunku sił pomiędzy kobietami a mężczyznami na przestrzeni wieków, co doprowadziło do dominacji mężczyzn nad kobietami i dyskryminacji tych ostatnich. Założenia te zostały skonstruowane wyłącznie na potrzeby propagandy ideologicznej, o czym świadczy ich całkowite oderwanie od rzeczywistych problemów społecznych. Rzeczywistymi źródłami przemocy domowej są patologie społeczne, rozbić rodziny, alkoholizm, narkomania, a czasem obecna powszechnie w mediach seksualizacja i wulgaryzacja obrazu kobiety.

Nowa ustawa odwraca sytuację ofiar względem oprawców, bo to oprawcy będą teraz się martwić o swój byt, głównie o zapewnienie sobie dachu nad głową. Zapewne zna pan głosy tzw. środowisk wolnościowych, które obawiają się, że nowe przepisy mogą być nadużywane przez osoby, które np. zechcą pozbyć się współmałżonka czy też partnera z mieszkania. Czy pan nie żywi takich obaw i co możemy odpowiedzieć osobom, które je formułują?

Policja dostała nowe uprawnienie. Funkcjonariusz podejmujący inter-

wencję związaną z przemocą domową oceni, czy osoba stosująca przemoc fizyczną stwarza zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników. Jeśli będzie takie niebezpieczeństwo, policjant wyda bezwzględny nakaz natychmiastowego opuszczenia mieszkania przez sprawcę przemocy. Będzie mógł on zabrać z mieszkania niezbędne rzeczy. Nakaz ten będzie egzekwowany – łącznie z możliwością użycia środków przymusu – nawet jeśli sprawca oświadczy, że nie ma dokąd się wyprowadzić. Wobec sprawcy przemocy policjant będzie mógł również wydać zakaz zbliżania się do mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia. Policja będzie też zobowiązana do regularnego sprawdzania, czy sprawca przemocy stosuje się do nałożonych sankcji. Jeśli złamie zakaz, policja będzie miała prawo użyć środków przymusu, by wyegzekwować nałożone zobowiązanie. Poza tym sprawca przemocy narazi się na zastosowanie aresztu, ograniczenia wolności lub grzywny. Te same zasady dotyczą egzekwowania nakazu opuszczenia mieszkania. Wydany przez policję nakaz opuszczenia mieszkania i zakaz zbliżania się do mieszkania oraz jego bezpośredniego otoczenia będzie obowiązywać co do zasady dwa tygodnie. Na wniosek osoby dotkniętej przemocą sąd może ten okres przedłużyć. Nowe przepisy przewidują kontrolę sądową nad stosowaniem nowego środka. Sąd może też w uzasadnionych przypadkach uwzględnić zażalenie sprawcy przemocy i uchylić zastosowany środek. Nadal istnieje możliwość złożenia do sądu wniosku o opuszczenie lokalu przez stosującego przemoc, projekt przewiduje również usprawnienie przebiegu postępowania. Szybka procedura będzie możliwa m.in. dzięki temu, że pisma procesowe będzie mogła doręczać policja, a nie jedynie poczta. Policja będzie też zobowiązana do udzielania sądowi wszelkiej pomocy, niezbędnej do szybkiego zakończenia sprawy, np. przy ustaleniu adresu świadka. W pewnych przypadkach sąd będzie mieć trzy dni na rozpatrzenie wniosku ofiary przemocy, natomiast całą sprawę będzie musiał rozpoznać

w ciągu miesiąca od złożenia wniosku. Orzeczenia sądu zobowiązujące sprawcę przemocy do opuszczenia mieszkania oraz zakazu zbliżania się do mieszkania będą wykonywane już od ich ogłoszenia. Ponadto osoby domagające się zastosowania takich środków zostaną zwolnione z kosztów sądowych. Chcemy się też oprzeć na wiedzy, doświadczeniu i wieloletniej praktyce policjantów, dla których samo przeprowadzenie interwencji domowej oraz dokonanie właściwej oceny zastanej sytuacji nie jest niczym nadzwyczajnym. Nie bez znaczenia jest bowiem okoliczność, że do wspomnianych interwencji często dochodzi w rodzinach dobrze znanych policji.

Jednym z pana ministerialnych zadań jest nadzór na Funduszem Sprawiedliwości, który istnieje już od ponad 20 lat, ale dopiero obecne kierownictwo resoru uczyniło z funduszu naprawę szeroko wykorzystywane narzędzie. Czy wejście w życie ustawy antyprzemocowej będzie miało jakiś wpływ na zmianę procedur w ramach pomocy świadczonej przez fundusz? Teoretycznie powinna bowiem się zmniejszyć liczba ofiar przemocy domowej, które będą potrzebowały natychmiastowej pomocy świadczonej przez ośrodki dla osób pokrzywdzonych przestępstwem.

Pamiętajmy, że ośrodki funduszu oferują też pomoc psychologiczną ofiarom przemocy. Ponadto działa w nich pomoc prawna dla osób pokrzywdzonych przestępstwem. Ofiara przemocy domowej otrzymuje w nich jednak nie tylko wsparcie prawne. Fundusz pomaga jej odbudować życie, przekwalifikować się, zdobyć nowe kompetencje. Izolacja sprawcy to pierwszy krok do przerwania spirali przemocy. Ważną rolę w tym systemie odgrywają sądy. Od ich sprawności w stosowaniu przepisów zależy bowiem, czy wpłyną one w dłuższej perspektywie na spadek liczby przestępstw. To, co jest jednak niezaprzeczone, to to, że niezależnie od liczby takich przypadków ofiara otrzymuje od funduszu realną i skuteczną pomoc.

Pełniący obowiązki Polacy

Kiedys tak nazywano szefów podstawowych organizacji partyjnych w PRL, bo zajmowali się spolszczaniem pezetpeerowskich nakazów. Dziś Niemcy i Rosjanie także mają swoich ulubionych Polaków, którzy pomagają w kreowaniu skrajnie negatywnego wizerunku naszego narodu, a ich praca polega na wskazywaniu win – oczywiście wyłącznie po polskiej stronie



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Wyobrażają sobie państwo polskiego historyka, który prosi Niemców, by nie skupiali się na swojej winie za Holokaust, ale szukali dowodów na polskie sprawstwo? Nie trzeba daleko szukać – dr Grzegorz Rossoliński-Liebe uderza się w piersi za cały naród.

POLAK PO NIEMIECKU

41-letni historyk z Zabrze, pracujący dla Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego, kiedyś zajmował się zbrodniami ukraińskimi, ale nic tak nie krzepi zachodniej opinii publicznej, jak Polacy głoszący światu, że to właśnie ich rodacy ponoszą winę za Holokaust. Międzynarodowe kariery zrobili już prof. Jan Tomasz Gross, pnie się za nim prof. Jan Grabowski, a fundusze niemieckie są dobrą motywacją do naśladownictwa. W wywiadzie, który opublikowała niemiecka rozgłośnia Westdeutscher Rundfunk, Rossoliński-Liebe jest pytany o nierzetelność badaczy Holokaustu, ale odpowiada frazesami o „polityczności” tych zarzutów. Do meritum się nie odnosi, a szkoda, bo słowa historyka rozmiągają się z warsztatem naukowym. Badacz twierdzi, że Polacy nawet jak z jednej

strony ratowali Żydów, to z drugiej pomagali w budowie gett i deportacji ludności. Ma na myśli głównie sołtysów i tę część okupacyjnych stanowisk, które zajmowali Polacy.

Prawda jest zgoła inna. – W tej narracji okupant jest ledwie widocznym tłem. Polacy czasów okupacji są tu przedstawiani, jakby mieli swobodę decyzji – posłuchać albo odmówić niemieckiego rozkazu, samodzielnie kształtować polsko-żydowskie relacje. To nieprawda – komentuje dla tygodnika „Sieci” prof. Bogdan Musiał. – To więcej niż manipulacja, to naukowe oszustwo – precyzuje historyk. Tymczasem Rossoliński-Liebe poddanych represjom Polaków potrafi nazywać... kolaborantami. „Kolaboracja czy burmistrzów, czy sołtysów wynikała z tego, że mieli oni określone stanowisko w administracji, dostawali zadania takie, jak zbudować getto czy pomóc w deportacji” – przekonuje polsko-niemiecki (nazwisko Liebe przybrał po zamieszkaniu w Niemczech) historyk. Jednak badacz mija się z prawdą, bo polscy urzędnicy w czasie wojny nie byli ochotnikami. – Polscy sołtysi na ziemiach okupowanych, którzy byli wybrani w wolnej Polsce, zostali przywróceni na swoje stanowiska specjalnym niemieckim rozporządzeniem, nie mieli możliwości odmówić wykonywania funkcji, bo było to karane śmiercią – odpowiada prof. Bogdan Musiał. Jednak badacze Holokaustu, którzy notorycznie

twierdzą, że polscy urzędnicy czasów okupacji dobrowolnie współpracowali z Niemcami, mają dostęp do dokumentów, które pokazują niemiecki przymus. – To sprawa strukturalna, bo wszystkie rozporządzenia dotyczące spraw prawnoustrojowych na ziemiach okupowanych są przetłumaczone na język polski. Prof. Engelking [która nie zna niemieckiego – red.] może do nich sięgać. Oni niemieckiego okupanta wymazują z krajobrazu historycznego, co jest zafalszowaniem rzeczywistości – konkluduje Musiał.

Strukturalny jest też niemiecki antypolonizm, który profesor lokalizuje dużo głębiej niż na fundamencie antypisowskim: – Już kiedy zaczynałem studia, zaobserwowałem, że wnioski o stypendia na badanie polskiego – prawdziwego bądź nie – antysemityzmu albo nacjonalizmu były chętniej przyjmowane. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że te uprzedzenia niemieckie są długowieczne, że cała



probolszewicka polityka wschodnia Niemiec już od lat 20. XX w. była determinowana niechęcią do Polski. Oni to mają w swoim kulturowym DNA – tłumaczy prof. Musiał.

Niemców nie da się bronić stwierdzeniem, że to niziny społeczne opierają się na tak prymitywnych stereotypach, bo prof. Musiał stwierdza, że w latach 80. w RFN opo-

wiadano sobie dowcipy o leniwych Polakach, które Stasi, wschodnioniemiecka bezpieka, opracowywała dla celów politycznych: – Kanclerz RFN Helmut Schmidt potrafił opowiadać francuskiemu prezydentowi François Mitterrandowi takie właśnie prymitywne antypolskie żarty.

Dlaczego więc Niemcy tak chętnie nawiązują współpracę z Polakami? – Tak jak antysemita lubi podpieścić się argumentem, że zna jakiegoś Żyda, tak Niemcy mają swoich Polaków – mówi prof. Musiał, wskazując, że w Niem-

czech nigdy nie przeprowadzono publicznej debaty na temat ich własnych uprzedzeń wobec Polski. Nasi zachodni sąsiedzi są bardziej zainteresowani rozmową o „polskim sprawstwie” – to dlatego Rossoliński-Liebe jest tak ochoczo cytowany w Deutsche Welle czy „Der Tagesspiegel”, choć do popularności Jana Grabowskiego i Barbary Engelking jeszcze mu brakuje.

POLAK PO ROSYJSKU

Współcześni „pełniący obowiązki Polacy” są sformatowani pod potrzeby państwa, które realizuje tendencyjną politykę historyczną wobec Polski. O ile Niemcy potrzebują tych, którzy kają się za Holokaust, o tyle Rosjanie mają inny typ ulubieńców. Im są potrzebni szaleni, awanturnicy Polacy, którzy potwierdzają tezę o narodowej brawurze czy nieobliczalności. Dyżurnym „Polakiem” w rosyjskiej telewizji jest np. dziennikarz Jakub Korejba, który potrafi Rosjan zwyzwiać, być wyrzucenym ze studia, zadawać buńczuczne pytania o katastrofę smoleńską. Kiedyś prorosyjski autor tekstów w polskim „Newsweeku”, dziś występuje jako stereotypowy Polak ku uciesze rosyjskich widzów.

Jednak dużo lepszym „pełniącym obowiązki Polakiem” dla rosyjskiej opinii publicznej jest polityk parlamentarny, który także prezentuje się jako polski wariat – jest nim Janusz Korwin-Mikke. Tu nie chodzi tylko o wypowiedzi prorosyjskie, wspierające np. aneksję Krymu przez Moskwę, wypowiedzi proputinowskie i antyamerykańskie.

Lider Konfederacji w programie zawsze nerwowo klóci się o abstrakcyjne problemy, radując naczelnego propagandystę kanału Rosija 1 – Władimira Solowiowa. W jednej z debat Korwin-Mikke przeproszał naród rosyjski za... Feliksa Dzierżyńskiego, który przecież jest Polakiem, a mordował naszych wschodnich sąsiadów. Widać z tego, że intelektualiści przepraszający za Polaków mają szczególną dostępność do niemieckich i rosyjskich mediów.

Gdy polski parlament w styczniu tego roku sprzeciwił się kłamliwej narracji Putina o II wojnie światowej, założyciel dawnej UPR powiedział przed rosyjską kamerą, że „w Polsce panuje rusofobia. (...) Niektórzy po prostu nie lubią Rosjan, a inni nie lubią Rosjan, bo tak nakazuje im Bruksela albo Waszyngton”. Rosyjskie media ostatnio upomniały się o konto Korwin-Mikkego na Facebooku, które przez portal społecznościowy zostało skasowane.

Dodajmy jeszcze osobistą refleksję – zachwyty nad Januszem Korwin-Mikkem słyszałem nawet od prawosławnej sekty starowierców w separatystycznej republice Naddniestrza w Mołdawii. Podkreślmy – w najbiedniejszym kraju Europy, w jego wschodniej, separatystycznej części, nieuznawanej jako suwerenne państwo, poza głównym nurtem prawosławia, czyli w XVII-wiecznej sekcji, odciętej od dyskusji o współczesnym świecie, nawet półpiśmienni uczestnicy nabożeństw kojarzą wypowiedzi lidera małej polskiej grupy politycznej, jaką jest Konfederacja. Słowem: rosyjska sympatia dla polityka Konfederacji dociera nawet do najbardziej odizolowanych skrawków ruskiego świata i tylko głupiec może to uznać za przypadek.

POLAK PRZEPRASZAJĄCY

O pedagogice wstydu konserwatywne media piszą od lat, koncentrując się zazwyczaj na wpajaniu zażenowania samym Polakom. Jednak ta strategia w niezauważony sposób wyewoluowała poza granice naszego kraju – teraz najlepsze produkty pedagogiki wstydu eksportujemy do Niemiec i Rosji, by pogłębiać wszystkie negatywne stereotypy.

Przez społeczne przyzwolenie i wypromowanie tego wzorca kulturą elit III RP takie postępowanie jest bardzo opłacalne – cytowalność, pozycja w świecie naukowym lub politycznym, wreszcie opieka medialna państw ościennych, to tylko najbardziej widoczne korzyści. Nie ma wątpliwości, że nasi sąsiedzi też metodę kompromitowania Polski będą udoskonalać, a chętnych do „pełnienia obowiązków Polaków” będzie niestety przybywać.





Gdybyśmy mieli mądrą opozycję, a na szczęście jej nie mamy, to ta pierwotna emocja widoczna na protestach rzeczywiście mogłaby zaszkodzić PiS. Był moment, kiedy obawiałam się, że mogłoby się to skończyć trwałą utratą centrum i zepchnąć PiS na pozycje dość skrajne

PiS nie może być drugim ZChN

Jacek Karnowski rozmawia z **Joanną Lichocką**, posłanką Prawa i Sprawiedliwości

Czy to, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach – uliczna rebelia, dość liczne protesty przeciw werdyktowi Trybunału Konstytucyjnego, zamieszanie wokół piątki dla zwierząt, spadek poparcia dla PiS – to coś, co trwale zmienia sytuację obozu rządzącego? Innymi słowy, czy z tych kłopotów można wyjść?

Joanna Lichocka: Dolek oczywiście jest, ale jest mniejszy, niż wielu się spodziewało i niż faktycznie można się było spodziewać. Pierwsza fala tych protestów pokazywała, że obudziła się w ludziach jakaś realna emocja, i to obejmująca grupy społeczne o różnych poglądach politycznych, bardzo różnie głosujące.

Dotknięto czegoś, co wykracza poza podziały polityczne?

Myślę, że tak. To wynikało z w sumie fałszywego przedstawienia w mediach werdyktu Trybunału. Do ludzi dotarł komunikat, że oto wprowadza się całkowity zakaz aborcji, obejmujący również przypadki zagrożenia zdrowia kobiety, a jedynym wyjątkiem jest sytuacja

gwaltu. To rzeczywiście mogło wzbudzić emocje i również sprzeciw. Na to wszystko nałożyła się postpandemiczna frustracja młodego pokolenia, wychowanego przez media społecznościowe, w większości liberalne i lewicowe.

Pierwsza fala protestów wyglądała więc groźnie. Dlaczego jednak to się w pewnym sensie załamało?

Gdybyśmy mieli mądrą opozycję, a na szczęście jej nie mamy, to ta pierwotna emocja rzeczywiście mogłaby zaszkodzić PiS. Był moment, kiedy obawiałam się, że mogłoby się to skończyć trwałą utratą centrum i zepchnąć PiS na pozycję dość skrajną.

W czasie protestów apelowała pani, by „nie oddawać centrum”. Ale co to konkretnie znaczy? Jaką politykę należy prowadzić?

To znaczy nie przechodzić na pozycje radykalne, na pozycje dawnego ZChN, nie pozwolić na sklejenie się z Ordo Iuris, z takimi postaciami jak Kaja Godek czy Marek Jurek. Poglądy przez nie głoszone, proponowane projekty i sposoby działania są podzielane przez polskie społeczeństwo w stopniu marginalnym, czego dowodzą kolejne wybory.

Ale tu w grę wchodzi także obiektywna racja, dotycząca np. konieczności obrony dzieci nienarodzonych.

Tak i w tej sprawie Polacy nie zgadzają się ani na aborcję na życzenie, ani na całkowity zakaz. Po prostu nie są radykalni w żadną stronę. Niezależnie od tego, co sami myślimy o przerywaniu ciąży w każdym przypadku, to musimy uznać, że znaczna część naszego społeczeństwa nie chce daleko idących rozwiązań w tej sprawie. I o ile panuje dość powszechny konsens, że w przypadku dzieci z zespołem Downa dochodziło do nadużywania prawa i że takie przypadki nie powinny być powodem do przerwania ciąży, o tyle w kwestii aborcji dzieci z tzw. wadami letalnymi, nieuchronnie śmiertelnymi, znacząca część Polaków odrzuca nakaz donoszenia takiej ciąży przez kobietę. Stanowisko: „Bez względu na wszystko, z szacunku dla

poczętego życia, musicie zaakceptować, że kobiety muszą w takiej sytuacji rodzić, muszą kilka miesięcy cierpieć, muszą rodzić martwe dzieci i przeżyć tę tragedię do końca”, to jest po prostu coś, czego społeczeństwo nie przyjmuje, nie rozumie. Mówię tak, bo ja też tego nie przyjmuję.

Nie da się Polaków przekonać, że jednak tak być powinno?

PiS wygrywało wybory dlatego, że gwarantowało Polakom, iż nie dopuści do realizacji najbardziej radykalnych pomysłów. Owszem, wspiera wartości rodzinne, opowiada się za szacunkiem dla życia, wzmacnia jego ochronę, wprowadza programy wspierające rodziny w przypadku takich tragedii,

Stanowisko: „Bez względu na wszystko, z szacunku dla poczętego życia, kobiety muszą rodzić martwe dzieci i przeżyć tę tragedię do końca”, to jest po prostu coś, czego społeczeństwo nie przyjmuje. Ja też tego nie przyjmuję

np. program „Za życiem”, ale jest też tamą przeciwko przesadnemu radykalizmowi. A wiemy, że takie różne radykalne pomysły, związane zwłaszcza z wymiarem religijnym, wrzuca się obozowi antykomunistycznemu od początku istnienia III RP. W mojej ocenie, pisałam o tym nieraz, jest to inspirowane przez stare służby PRL czy siły związane z Moskwą – chodzi właśnie o to, by odebrać prawicy wyborców, utracić możliwość wygrywania wyborów.

Czy to jednak jest takie proste? Przecież Konfederacja wyrosła m.in. na rozczarowaniu dużej części wyborców, którzy oczekiwali większej odwagi w realizacji konserwatywnej,

prawicowej agendy. W samym PiS jest sporo posłów, którzy parli do zwiększenia poziomu ochrony dzieci nienarodzonych.

Nie wydaje mi się, by Konfederacja wyrosła na żądaniu całkowitego zakazu aborcji, przeciwnie w ostatnich wyborach pozbyli się Kai Godek ze swych list. Ale trzeba pewną rzecz tu wyjaśnić – wyrok Trybunału nie jest decyzją polityczną PiS. To nie jest tak, jak było za czasów PO, gdy projekty wyroków TK krążyły między politykami tej partii. Sędziowie są niezależni, wybierani na dziewięcioletnią kadencję, mają wysokie pensje i przywileje emerytalne – naprawdę nie muszą nikogo słuchać. Nikt nie może im nakazać podjęcia takiego czy innego rozstrzygnięcia. Nie wiedzieliśmy w PiS, jakiej treści będzie orzeczenie. W TK są różni sędziowie, tacy, którzy opowiadają się za pełną ochroną życia nienarodzonych, i tacy, którzy nawet jeśli światopoglądowo dopuszczają opisane w ustawie wyjątki, to znają się na prawie konstytucyjnym i umieją czytać ustawę zasadniczą. W świetle jej zapisów gwarantujących ochronę każdego życia – niczego innego nie mogli orzec.

Co dalej z tą sprawą? Jak z tego wyjść?

Czekamy na uzasadnienie orzeczenia. Dopiero gdy poznamy ten dokument, będziemy wiedzieli, jakie są możliwości działania. Moim zdaniem stwierdzenie wad letalnych powinno dawać możliwość przerwania ciąży ze względu na dobro kobiety.

Rozumiem, że PiS wolałoby uniknąć rozstrzygnięcia tej sprawy na poziomie ustawy, bo byłaby to sytuacja bardzo trudna dla posłów popierających wyrok TK, musieliby oni zagłosować za zmniejszeniem poziomu ochrony życia dzieci nienarodzonych.

Rozmawiałam z posłem z tej grupy i w odpowiedzi usłyszałam, że rozumie on dramat związany z ciążą, która na pewno zakończy się śmiercią dziecka albo jeszcze w okresie życia płodowego, albo zaraz po urodzeniu. Trybunał nie podważył przesłanki mówiącej o dopuszczalności aborcji

w przypadku zagrożenia życia i zdrowia kobiety, być może to jest odpowiednia ścieżka. Z pewnością opozycja nie pomoże w tej sprawie, więc PiS samo musi się zmierzyć z tą sytuacją. Już zresztą to robimy – rozpoczęły się prace nad rozbudowaniem programu „Za życiem”.

Rozszerzanie przesłanki dotyczącej zagrożenia zdrowia i życia kobiety może jednak doprowadzić do faktycznej aborcji na życzenie, ponieważ skończy się na uznaniu, że każda niechciana ciąża zagraża psychicie kobiety.

Nie, to niemożliwe w świetle orzeczenia TK. Ale z pewnością rozwiązanie musi być sformułowane precyzyjnie, ściśle, tak, by nie prowadziło do nadużyć. Na pewno nikt z nas nie zgodzi się na to, by ustawa pozwalała na aborcję, w przypadku gdy mają urodzić się dzieci, które mogą żyć – to jak wiadomo jest sprzeczne z konstytucją.

Wracam do swojego pierwszego pytania: czy ta agresja i wulgarność, które zobaczyliśmy na ulicach, to, że tak wielu ludzi pod tym się podpisało, oznacza jakąś ważną cezurę w historii Polski? Niektórzy mówią, że to taki nadwiślański maj 1968 r.

Jasne. Dokładnie to samo można było usłyszeć, gdy KOD wyprowadzał ludzi na ulicę. Nie, to jest jednak w sumie niegroźne. Dlaczego? Ponieważ po raz kolejny totalna opozycja prowadzi to w sposób autodestrukcyjny. Można tylko zapytać, jak to jest, że te potężne środowiska postkomuny, dawnej esbecji, Agory i Sorosa, wielkich niemieckich mediów, mają tak dramatycznie marne kadry? Najpierw wylansowali Mateusza Kijowskiego, który miał ich poprowadzić do zwycięstwa. Dziś po KOD nie ma śladu. Teraz postawiono na panią Lempart, czyli na osobę z tego samego środowiska – KOD, PO i lewicy. To nie jest ktoś, kto pojawił się znikąd – jest sporo zdjęć, gdy od lat wraz Borysem Budką i innymi politykami Platformy „walczyli o demokrację” na demonstracjach. I znów mamy coś, co można nazwać samozaoryzowaniem się, czyli postępującą kompromitację kolejnego modelu walki za pomocą ulicy.

Czy to nie jest lekceważenie przeciwnika?

Nie sądzę. Postkomuna próbuje jeszcze radykalizmem podnieść temperaturę konfliktu, ale ludzie po raz kolejny odrzucili ten model uprawiania polityki, przestali przychodzić na te zadymy. Stało się tak nie tylko ze względu na, mówiąc ogólnie, brak powagi postulatów „rewolucjonistów”, lecz również dlatego, że prezentują zwykle prostactwo, zachowania, które charakteryzują motłoch. Rozumiem oczywiście, że agresja i wulgarny język mają uruchamiać prymitywne instynkty, że opozycja dąży do bijatyk na ulicach i potrzebuje krwi. Ale to jest jednocześnie coś, co nigdy nie znajdzie uznania większości Polaków. To pułapka, w którą ciągle wpadają. Myślę, że wynika to z jednej strony z ich wyalienowania – to jakieś obce smoki, można powtórzyć za poetą – a z drugiej, że po prostu pokazują się takimi, jakimi są. Inaczej nie umiej. Najlepszym komentarzem są tu słowa pani Lempart, która stwierdziła, że te wulgaryzmy to po prostu język, jakim mówią w domu.

Może są domy, w których tak się mówi?

Nie wiem, czy w domu politycy PO mówią takim językiem do swoich dzieci, ale wszyscy wiemy, że w restauracji ze znajomymi owszem. To język Radka Sikorskiego, Bartłomieja Sienkiewicza, Sławomira Neumanna, który znamy z nagrań w Sowie & Przyjaciółach czy w biurze w Tczewie. Wulgarność jest dla nich czymś naturalnym. Uderzyło mnie to, gdy zmanipulowano mój ruch ręką w Sejmie za pomocą stop-klatki, nadano mu wulgarnie znaczenie. PO i środowiska z nią związane eksploatowały te stop-klatki na billboardach, na wystawie na Krakowskim Przedmieściu – do imentu. Epatowanie tymi zmanipulowanymi zdjęciami było ich sposobem na kampanię – wulgarność im po prostu nie przeszkadza. Nawet nie zauważyli, że to kolejne przekroczenie granicy obracało się przeciwko nim. Teraz ten obraz chamstwa i wulgarności totalnej opozycji z czasu ujawnienia nagrań z Sowcy i potem z czasu ich tak-

tyki wyborczej niebywale wzmacniają panie Lempart i Suchanow oraz ich medialni kibice. Politycy PO uczestniczący w tych demonstracjach, występujący z ich emblematami, kompletnie tego nie rozumieją. Ale to stąd moim zdaniem w ostatnich sondażach zjazd notowań PO – Polacy odrzucają sposób uprawiania polityki kojarzący się z chamską hołotą.

Może to motłoch, a może dobrze wykształcona, profesjonalnie przygotowana kadrówka rewolucyjna? Widzimy, że to ludzie, którzy świadomie prowokują policję, atakują, a później przedstawiają się jako ofiary.

Tak, to chyba są ludzie szkoleni. Przyznał to kiedyś otwarcie Michał Sz., zwany Margot. Ale podtrzymuję swoją ocenę, że to jest w zasadzie kolejne wcielenie KOD. Widać to zwłaszcza na poziomie lokalnym, poza wielkimi miastami, np. w Kaliszu czy w Sieradzu – to, że obecne protesty organizują ci sami ludzie. Teraz założyli inne stroje, wciągnęli inne sztandary, ale nie więcej. Dodali do tego antyklearykalny radykalizm, w istocie wzięty wprost z propagandy komunistycznej z wczesnych lat 50. lub z tygodnika „Nie” Urbana. Wygląda z tych haseł, że tworzą je ludzie mocno zanurzeni w tradycję komunistyczną.

To bardzo możliwe. Radość tych ludzi z tego, że część młodzieży ruszyła na kościoły, jest jednak faktem, który ma pewne podstawy. Mamy problem z młodzieżą?

I tak, i nie. Wydaje się, że faktycznie do jakiegoś stopnia doszło do międzypokoleniowego zerwania kodu kulturowego. Nakłada się na to wiele przyczyn – nieszczęsna reforma edukacji AWS z wprowadzeniem gimnazjów i obniżeniem wymagań edukacyjnych na poziomie wykształcenia ogólnego przez rządy PO-PSL, które spowodowały, że część naszego kulturowego dziedzictwa, literatury czy znajomości historii jest obecnym 20-latkom nieznana. I pojawienie się mediów społecznościowych, które kreują własne autorytety spośród celebrytów, autorów kanałów o modzie czy gwiazd muzyki. To zresztą problem

nie tylko Polski, podobnie dzieje się np. USA. Dlatego tak łatwo wielu młodych ludzi zareagowało na nawoływanie w sieci do manifestacji i podzielało hasła prezentowane przez ich autorytety. Ale teraz to już minęło – nie ma ich już na tych zadymach, motorem żadnej „rewolucji” totalnych nie chcą być. Myślę, że poczuli się użyci przez polityków. Z pewnością trzeba znaleźć z nimi język komunikacji, PiS to zresztą dobrze umiało, wygrywaliśmy wybory przecież także dzięki głosom młodych. Trzeba też – i to robi minister Przemysław Czarnek – postawić problem wychowania kolejnych pokoleń w centrum naszego myślenia. I nie zapominać o tej części młodego pokolenia, które wychowało się np. na kulcie Żołnierzy Wyklętych.

Jak ocenia pani działania policji w czasie ostatnich gorących tygodni? Czy rzeczywiście są powody do krytyki?

W pewnym momencie rzeczywiście był problem z niewystarczającą skuteczną reakcją policji na próby demolowania kościołów i zakłócenia mszy. Trzeba było wystąpienia Jarosława Kaczyńskiego wzywającego zwykłych ludzi do obrony, by to się skończyło.

Może to, że policja nie reagowała mocno, sprawiło, że plan konfrontacji się nie powiódł?

Rozumiem tę argumentację – że przeciw młodym dziewczynom, których wiele na początku tych protestów się zaangażowało – nie należy stosować radykalnych działań. Tyle że potem mieliśmy do czynienia z przejawami zwykłego chuligaństwa i po przekroczeniu tej granicy policja powinna reagować. I dobrze, że to czyni.

Należała pani do osób, które mocno broniły piątki dla zwierząt. Dziś się wydaje, że ta ustawa znalazła się w stanie zawieszenia, trwają konsultacje nad jej nową wersją. Czy opór przeciwko tym propozycjom zaskoczył panią?

Tak, to mnie zaskoczyło. Rozumiem, że można rozmawiać o konkretnych

propozycjach, ale nie rozumiem, jak można odrzucać ten projekt całościowo. Niestety zdołano nastawić przeciw temu projektowi dużą część mieszkańców wsi, a także wielu moich kolegów z ław poselskich. Wykreowano tak potężną presję, że jak słyhać w kuluarach, także znaczna część polityków opozycji nie chce głosować za zakazem uboju rytualnego czy zakazem hodowli norek. Mnie to jednak zdumiewa.

Czy jednak opór przeciwko piątce dla zwierząt nie wynikał także z tego, że wieś poczuła się zaskoczona nowym językiem PiS w tej sferze? To podmyło poczucie bezpieczeństwa, przekonanie, że wieś wie, czego się

Wykreowano tak potężną presję, że – jak słyhać w kuluarach – także znaczna część polityków opozycji nie chce głosować za zakazem uboju rytualnego czy zakazem hodowli norek. Mnie to jednak zdumiewa

spodziewać po partii rządzącej. Trudno, by rolnicy dobrze przyjęli propozycję, by aktywiści społeczni kontrolowali im gospodarstwa.

Trzeba się uderzyć w piersi: na pewno zabrakło skuteczności w prezentowaniu prawdziwych intencji i zapisów tej ustawy. Narrację w tej sprawie przejęli jej przeciwnicy, to oni ją opisali społeczeństwu, nie bez udziału części wiarygodnych dla naszych wyborców mediów. Straszono, karykaturalnie wyolbrzymionymi skutkami gospodarczymi dla rolnictwa. Pomijano wielki dorobek rządu PiS na rzecz pomocy dla rolnictwa, liczne programy społeczne, dopłaty do hodowli bydła, świń w warunkach dobrostanu. Jednak poparcie dla likwidacji hodowli norek jest dość szerokie.

To sprawa dla mnie bardzo ważna. Byłam posłem z Wielkopolski, a tam jest ponad 250 takich ferm. Prawie na każdym spotkaniu, także na dyżurach poselskich, słyszałam apele, by coś z tym zrobić, ponieważ w takim sąsiedztwie nie da się żyć. Nie da się żyć, bo śmierdzi, muchy, robactwo, zatrucie wód gruntowych. Te hodowle to poważny problem społeczny. Ludzie mają prawo do normalnego życia w swoim miejscu zamieszkania, tymczasem kompletnie się je lekceważy. Łatwo popierać ten biznes, jak się mieszka w Śródmieściu w Warszawie jak znany publicysta, gorliwy obrońca tych hodowli, trudniej we wsi, gdy otacza nas smród. Co więcej, te hodowle mogły tak masowo powstawać, ponieważ w czasie rządów PO-PSL w rozporządzeniu w sprawie roślin i zwierząt obcych nie wpisano – na skutek lobbingu hodowców norek i zablokowania tego przez ówczesnego ministra rolnictwa – na listę norki amerykańskiej. Mimo że jest to gatunek inwazyjny dla naszego ekosystemu. W ten sposób norka traktowana jest jako normalne zwierzę domowe, tak jak świnia czy krowa. A przecież takie przemysłowe hodowle norek nie są czymś, co mieści się w naszej tradycji produkcji rolniczej, ich uciążliwość dla środowiska i ludzi jest poważna.

Piątka dla zwierząt niemal nie doprowadziła do utraty większości przez PiS, na szczęście udało się ten proces zatrzymać. Pytanie brzmi jednak, czy ten atakowany z każdej strony obóz Zjednoczonej Prawicy będzie w stanie po pierwsze, przetrwać, a po drugie, podjąć działania reformatorskie?

Zjednoczona Prawica to jedność w różnorodności. To obóz, który gromadzi ludzi od centrum po prawą flankę i który właśnie dlatego może wygrywać. I jestem przekonana, że tak będzie nadal. Mamy atut, którego nie ma druga strona, czyli przywództwo Jarosława Kaczyńskiego. Do reform oczywiście wrócimy, ale najpierw rząd skoncentrowany jest na walce z pandemią.



Awantura o awatara?



WANDA ZWINOGRODZKA

Rozparł się wygodnie i ludzie czytelników iluzją oburzającego skandalu, który miał jakoby polegać na bezmyślnej rozrzutności operatorów Funduszu (Instytutu Teatralnego oraz Instytutu Muzyki i Tańca), gotowych przeznaczyć gigantyczne kwoty na fanaberie majątnych celebrytów, kosztem zbiedniałych instytucji kultury oraz artystycznego „prekariatu” żyjącego z umów śmieciowych.

Rzeczywistość jest inna. I warto ją precyzyjnie rozpoznać, tym bardziej że lista beneficjentów FWK wzniciła debatę

W ubiegłym tygodniu rozpętała się burza wokół Funduszu Wsparcia Kultury. Zaczęła się w mediach społecznościowych, w których z natury rzeczy łatwiej o emocjonalne sądy niż o rzetelne informacje, i w rezultacie upowszechniono obraz, który jest raczej awatarem niż wiarygodnym portretem FWK. Następnie ów awatar przeniknął do mediów tradycyjnych, w tym niestety również do „Sieci”

o modelach wsparcia kultury, gwałtownie zubożalej skutkiem już prawie rocznego przestoju. Szkoda, że dopiero teraz, a nie w sierpniu, gdy ogłoszono powołanie FWK, co wówczas ani internautów, ani mediów specjalnie nie zainteresowało. Wszelako, nawet jeśli spóźniona, taka debata pozostaje bardzo potrzebna. Aby doprowadziła do rozsądnych wniosków na przyszłość, powinna się jednak toczyć w oparciu o fakty, a nie o fałszywe wyobrażenia.

CHYBIONE ZARZUTY

Tymczasem pochopnych zarzutów i bałamutnych informacji w odniesieniu do FWK pojawiło się tak wiele, że nie sposób ich wszystkich sprostować. Ograniczę się zatem do kilku przykładów, których powtórzenia nie ustrzegł się nawet Konrad Kołodziejski w skądinąd rzeczowym i wyważonym – w porównaniu z innymi głosami – tekście pt. „Awantura o dotację”.

Czytamy tam, że na liście beneficjentów „znalazły się firmy, których zaliczenie w poczet instytucji kultury mogło budzić uzasadnione wątpliwości”. Jednakowoż fundusz z założenia wspierać miał nie tylko artystyczne instytucje kultury, lecz również działające w tym obszarze organizacje pozarządowe i prywatne przedsiębiorstwa, aby objąć pomocą jak najszerszą rzeszę aktywnych i poszkodowanych pandemią podmiotów. Przywoływane w mediach społecznościowych przykłady firm niemających jakoby z kulturą nic wspólnego, zostały pozytywnie zweryfikowane w trakcie powtórnego sprawdzenia wniosków, które minister zarządził pod naciskiem opinii publicznej.

Okazało się, że rozemocjonowani internauci błędnie zidentyfikowali te jednostki gospodarcze. Najczęściej dlatego, że prowadzą one działalność na kilku różnych polach i niekoniecznie eksponują akurat aktywność kulturalną w nazwie na macierzystych stronach i w wykazach internetowych. Tak było np. w przypadku firmy budowlanej Dach Complex, której właściciel Michał Bartosiak jest jazzmanem i wykorzystuje swoje przedsiębiorstwo także do organizowania wydarzeń artystycznych w rodzimym Gostyninie. Inny przykład to Hossa.biz, która koncentruje się na zarządzaniu nieruchomościami, ale w jednej z nich, w Gdańsku-Wrzeszczu, od 2015 r. prowadzi klub Stary Maneż, gdzie zrealizowano już około 500 produkcji koncertowych i kulturalnych. Tę listę można ciągnąć dalej, ale wypada wyjaśnić i inne nieporozumienia.

„Niektórzy z kolei wnioskowali o indywidualne wsparcie” – pisze Konrad Kołodziejski, co jakoby wskazywało, że „dość wysokie kwoty przyznanych im dotacji [...] trafia wyłącznie na ich prywatne konta”. W rzeczywistości środki FWK z definicji nie mogą trafić na żadne osobiste konta, wyłącznie na konta firmy, owszem, niekiedy jednoosobowej lub działającej pod nazwiskiem znanego artysty, jednak otrzymać owe środki można jedynie pod warunkiem przeznaczenia na tzw. koszty kwalifikowalne, czyli związane bezpośrednio z organizacją wydarzeń artystycznych, w tym na wynagrodzenia współpracowników. Właściciel nie może z tych pieniędzy wypłacić sobie honorarium, za to musi je post factum precyzyjnie

rozliczyć, pod rygorem zwrotu dotacji. Jak niesprawiedliwie osądzono takich beneficjentów FWK, wyjaśniali bracia Golec w opublikowanym oświadczeniu: „Golec Fabryka to nie tylko Paweł i Łukasz, ale przede wszystkim firma zajmująca się działalnością wydawniczą, fonograficzną i organizacją koncertów oraz wydarzeń artystycznych [...] W projektach muzycznych, które realizujemy, zawsze łączymy siły ze sztabem kilkudziesięciu osób, które są najwyższej klasy ekspertami i profesjonalistami – to grono znakomitych muzyków, aranżerów, grafików, techników, inżynierów dźwięku, montażyistów, realizatorów wizji i informatyków. [...] Ci ludzie zostali pozbawieni możliwości wykonywania swojej pracy. Dotacja ta miała zagwarantować im zatrudnienie”.

AKTYWIZACJA GOSPODARKI

Warto dodać, że FWK w pierwszym, oprotestowanym podejściu do podziału środków postanowił sfinansować 2064 wnioski, czyli wszystkie, które przeszły selekcję poprawności formalnej. Po ich analizie operatorzy szacowali, że skutkiem realizacji zgłoszonych projektów zatrudnienie otrzyma ponad 100 tys. osób. W tym kontekście wyliczenia wskazujące, że niewiele ponad 8 proc. beneficjentów „zgarnęło niemal połowę całej przyznanej przez ministerstwo pomocy” jest prawdziwe, niemniej jednak tworzy wypaczony obraz sytuacji, ponieważ w tych 8 proc. mieściły się

REKLAMA

RADIO
Warszawa
106,2 FM

DOBRE SŁOWO
NA FALI

SŁUCHAJ NAS
ONLINE

www.radiowarszawa.com.pl

40/1020/F

najpoważniejsze instytucje kultury i fundacje, z których każda organizuje po wielokroć więcej wydarzeń i zatrudnia nieporównanie więcej osób niż kilka czy kilkanaście małych firm łącznie, zatem może spożytkować odpowiednio wyższą dotację. Samorządowym instytucjom kultury przeważnie proponowano finansowanie w takiej wysokości, o jaką wnioskowały, co oddała zarzuty, jakoby poskąpiono im środków. Publiczne wsparcie z zasady nie może przekraczać kwoty, o jaką dany podmiot wystąpił. W przypadku instytucji kultury przeciętnie było to 657 tys. zł, ponadtrzykrotnie więcej niż w sektorze przedsiębiorstw prywatnych, gdzie niekiedy oferowano ledwie czwartą część wnioskowanej dotacji.

Te obserwacje prowadzą ku zarzutom bardziej fundamentalnym, bo dotyczącym celów powołania FWK i przyjętych reguł podziału środków. Fundusz pomyślany został jako część tarczy antykryzysowej służącej aktywizacji osłabionej pandemią gospodarki i utrzymaniu miejsc pracy. Dlatego aplikować do niego mogli organizatorzy wydarzeń kulturalnych, a nie poszczególni artyści, bo to ci pierwsi zdolni są napędzić koniunkturę gasnącej branży i w konsekwencji – redystrybuować pozyskane subwencje pomiędzy współpracowników.

FWK natomiast nie był definiowany jako fundusz socjalny ani też jako instrument sprawowania mecenatu państwowego, którego zadaniem jest wspieranie najwartościowszych inicjatyw artystycznych w oparciu o ekspercką ocenę ich walorów i znaczenia. To nieporozumienie w odniesieniu do właściwych intencji całej operacji często bywało przyczyną dezawuowania jej rezultatów.

Pomoc socjalna, adresowana do artystów w trudnej sytuacji, świadczona jest z innej puli środków – ministerialny fundusz zapomóg zwiększono w tym roku z planowanych 500 tys. zł do 45 mln zł, a więc prawie stukrotnie. Z kolei mecenat państwowy realizowany jest za pośrednictwem programów ministra, w których rozdysponowano już 390 mln zł i właśnie otwarto kolejny nabór. W takiej formule uruchomiono także wiosną specjalny program „Kultura w sieci”, z którego wypłacono 80 mln zł.

SPÓR O KRYTERIA

Skoro priorytetowym zadaniem FWK było zdynamizowanie branży artystycznej, kryteria kwalifikacji wniosków dobrano adekwatnie do celu. Było ich sporo i wszystkie zostały ogłoszone publicznie, co umknęło komentatorom, którzy w pośpiechu poniechali lektury regulaminu. Całą uwagę skupili na osławionym „bezdusznym” algorytmie, który wyznaczał górny pułap dotacji osiągalnej dla danego

podmiotu, jednakowoż był korygowany przez inne wskaźniki obrazujące np. strukturę finansową jednostki, jej zdolność organizacyjną, zasób pracowniczy, a nawet wpływ na społeczność lokalną. Nie rozważano natomiast jakości artystycznej projektów, ponieważ chodziło o ich wymiar ekonomiczny, a nie estetyczny. Nie była też oceniana kondycja majątkowa wnioskodawców, bo operatorzy funduszu nie mieli po temu narzędzi, dotacje zaś miały uruchomić potencjał organizacyjny i gospodarczy, a nie zaspokajać potrzeby konsumpcyjne.

Te założenia można oczywiście deprecjonować, sugerując inne jako właściwsze. Np. podział 400 mln powierzonych FWK pomiędzy samych artystów. Liczbę muzyków,

tancerzy i ludzi teatru szacuje się na ok. 26,5 tys., każdy zatem dostałby ok. 15 tys. To bez wątpienia poważny zasiłek na ciężkie czasy, ale po kilku miesiącach przecież się wyczerpie. I co dalej, zważywszy na to, że tymczasem bez państwowego wsparcia upadną teatry, filharmonie, kluby muzyczne itd., a ich majątek zostanie zlicytowany za długi? Czy rzeczywiście chcemy wyjść z pandemii w świat, w którym aktorzy i muzycy grają na ulicach, próbując mozołnie, od podstaw budować nowe placówki artystyczne? Bez personelu pomocniczego, bo technicy sceniczni, w FWK objęci pomocą, bez niej odpłynęliby do innych branż?

Wolno też uznać, że wsparcie państwowe przysługuje tylko wybranym wedle jakiegoś mniej lub bardziej arbitralnego klucza, np. twórcom szczególnie ambitnym bądź przedsięwzięciom, które nie przynoszą zysku, jak to proponuje Konrad Kołodziejski. Jest wszakże tajemnicą poliszynela, że artyści występujący np. w filharmoniach i prestiżowych teatrach z reguły dorabiają na wolnym rynku do chudych pensji, oferowanych przez te nobliewe instytucje. Życie kulturalne to skomplikowany zestaw naczyń połączonych i destrukcja jednego z nich nieuchronnie rujnuje pozostałe.

Każde rozwiązanie ma zalety i wady, recepty pozornie oczywiste bywają najbardziej zwodnicze. Potrzebujemy rzetelnej debaty, która pozwoli wszechstronnie rozważyć modele wspierania kultury. Gniewne awantury dają wprawdzie upust nagromadzonej emocjom, ale zamiast prowadzić do konstruktywnych wniosków, pogłębiają chaos, wzajemne animozje i pretensje, jak to się zdarzyło z powodu utarczek wokół FWK. Strzały oddane w stronę ministra rykoszetem poraniły środowiska artystyczne, i to zarówno te wspierające rząd, jak i sympatyzujące z opozycją. W ostatecznym rachunku właśnie kultura w takich potyczkach traci najwięcej.

Autorka jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Pamięć zamknięta w tablicach

Marszałek Józef Piłsudski powiedział kiedyś: „Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości”

Słowa te, mimo że wypowiedziane przed wieloma laty, są nadal aktualne. Pielęgnowanie pamięci o przeszłości i jej bohaterach jest obowiązkiem całego narodu i warunkiem jego przetrwania.

Pamięć społeczna jest elementem kształtującym narody i ich poczucie wspólnoty. Inicjatywy służące pielęgnowaniu pamięci historycznej umożliwiają utrzymanie relacji współczesnego społeczeństwa z przeszłością. Każda społeczność, aby mogła trwać, musi taką relację pielęgnować.

Warszawa jest niezwykle ważnym miejscem na mapie historycznej nie tylko Polski, lecz także Europy. Ulice tego miasta były świadkami najtragiczniejszych wydarzeń z historii naszego kraju. Do dzisiaj w Warszawie możemy odnaleźć miejsca upamiętniające tamte czasy. Wiele z nich na stałe wrosło w pejzaż stolicy, a ludzie z czasem przestali zwracać na nie uwagę. Tak też jest w przypadku tablic Tchorka. Kamienne tablice na planie krzyża maltańskiego z napisem „Miejsce uświęcone krwią Polaków poległych za wolność ojczyzny” znajdują się w całej Warszawie i służą upamiętnieniu miejsc walki i męczeństwa na terenie stolicy w czasie II wojny światowej. Ich nazwa pochodzi od ich autora – warszawskiego artysty – Karola Tchorka. W latach 40. i 50. powstało w Warszawie ponad 400 takich miejsc pamięci. Niestety do dzisiaj zachowało się ich tylko ok. 160.

Współcześnie wtopiły się one w obraz Warszawy i są traktowane jako nieodłączny element pamięci i informacji historycznej. Stanowią one jedyną w swoim rodzaju serię pomników pamięci historycznej Warszawy.

Fundacja PGE za pomocą projektu „Tablice Pamięci” objęła opieką tablice Tchorka. Celem tego projektu jest przywrócenie tym pomnikom należnej im rangi, jak również przybliżenie wojennej historii Warszawy młodemu pokole-

niu Polaków oraz odwiedzającym stolicę turystom. Patronat nad nim objął wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński oraz, już w trakcie trwania projektu, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak.

W ramach projektu „Tablice Pamięci” przy każdej tablicy Karola Tchorka umieszczona zostaje tablica z informacją w języku polskim i angielskim wraz z kodem QR. Dzięki znajdującemu się na tablicach kodowi można ściągnąć na telefon

specjalną aplikację mobilną, za pomocą której można zlokalizować istniejące tablice, a także poznać historię każdego z miejsc upamiętniających niemieckie zbrodnie. PGE zamierza w przyszłości dodawać do aplikacji wirtualne tablice, których już nie ma w przestrzeni miejskiej. Powstała także specjalna strona internetowa www.tablicepamieci.pl, gdzie można znaleźć wszystkie informacje o projekcie, które są na bieżąco aktualizowane.

Poza inwentaryzacją tablic Tchorka oraz zamieszczaniem dodatkowych, poszerzonych informacji w języku polskim i angielskim o zbrodniach dokonanych w miejscach ich umieszczenia w ramach projektu „Tablice Pamięci” realizowane są również działania edukacyjne. Na stronie internetowej poświęconej projektowi dostępna jest wirtualna wystawa „Tablice Pamięci”, przedstawiająca dramat Warszawy w czasach niemieckiej okupacji. W lutym br. w hali głównej Dworca Central-

nego im. Stanisława Moniuszki w Warszawie stanęła wystawa upamiętniająca ofiary ludności stolicy podczas niemieckiej okupacji. Natomiast w zeszłym roku w ramach projektu „Tablice Pamięci” oraz w hołdzie ofiarom cywilnym II wojny światowej został zrealizowany koncert „Miasto Pamięci”. Pod taką samą nazwą powstał także projekt edukacyjny skierowany do szkół z województwa mazowieckiego. Specjalnie przygotowane materiały dydaktyczne trafiły do ok. 3 tys. uczniów uczęszczających do 60 mazowieckich szkół.





Pokolenie COVID-19

U młodych ludzi pojawia się poczucie, że coś tam trzeba zaliczyć, ale i tak nie ma to sensu, bo w ten sposób nie da się niczego nauczyć. Gdy pytam dzieci, co robią po zalogowaniu, skoro nie uczestniczą w szkolnych zajęciach, słyszę, że albo śpią, albo leżą w łóżku, albo nic nie robią. To jest objaw depresyjności

Z dr Sabiną Zalewską, psycholog rodziny, pedagogiem, terapeutką i psychoedukatorką, rozmawia Dorota Łosiewicz

Jakie mogą być skutki zdalnej edukacji, pozbawienia dzieci i młodzieży relacji, kontaktów? Czy nie grozi nam pandemia depresji?

Sabina Zalewska: Grozi. Już po pierwszym lockdownie pojawiła się znacząca liczba dzieci z podniesionym poziomem lęku, z depresyjnością. Teraz będzie podobnie. Zbliżone wyniki przynoszą badania np. z Wielkiej Brytanii. Odnotowano tam podniesiony poziom zaburzeń depresyjnych i wiele innych.

Jakie zaburzenia obserwuje pani w swojej pracy?

Mamy zaburzenia depresyjne, objawy depresyjności, które mogą się przerozdzić w depresję. Obserwujemy podniesiony poziom lęku o siebie, o bliskich, lęk przed wychodzeniem z domu. Dzieci

racjonalizują sobie rzeczywistość, próbują poradzić sobie z lękiem, łapiąc się na przykład teorii spiskowych, i mówią, że wirus i pandemia nie są prawdziwe, to spisek itp. Częściowo to pewnie wpływ rodziców, częściowo jednak próba zracjonalizowania strachu. Z drugiej strony pojawia się bezsilność i zniechęcenie wynikające z braku wpływu na rzeczywistość. To skutkuje częstym odłączaniem się młodych ludzi ze zdalnej nauki. Niektóre dzieci w ogóle nie zgłaszają się na lekcje, inne odłączają się zaraz po zgłoszeniu. Podobnie dzieje się na studiach. Wykładowcy obserwują, że studenci po zalogowaniu znikają i często zapominają wrócić, by się wylogować. Zauważają, że nikt nie reaguje na prośby o wylogowanie po zajęciach. U młodych ludzi pojawia się takie poczucie, że coś

tam trzeba zaliczyć, ale i tak nie ma to sensu, bo w ten sposób nie da się niczego nauczyć. Gdy pytam dzieci, co robią po zalogowaniu, skoro nie uczestniczą w zajęciach, słyszę, że albo śpią, albo leżą w łóżku, albo nic nie robią. To też jest objaw depresyjności. Część dzieciaków nie wpuszcza do pokoju światła, siedzą przy opuszczonych roletach czy zaciągniętych zasłonach, zamykają drzwi, żeby odciąć się od świata. To wzmacnia poczucie zawieszenia.

Dodatkowo młodzi ludzie pozbawieni są ruchu, świeżego powietrza, to może prowadzić do otyłości.

Nie tylko. Kolejnym problemem, jaki obserwujemy, to zaburzenia łaknienia w skrajnych kierunkach. Niektórzy, bojąc się o utratę figury z powodu braku

ruchu, w ogóle rezygnują z jedzenia. Inni zjadają stres związany z tym, co się dzieje, i nie przestają jeść. Badania z Wielkiej Brytanii pokazują, że szczególnie zaburzony obraz samych siebie mają młode dziewczęta. To wynik tego, że z braku lepszych zajęć, cały czas oglądają na Instagramie czy w innych mediach społecznościowych zdjęcia koleżanek, rówieśniczek, celebrytów itp. Przeważnie te zdjęcia są wyidealizowane, wszyscy czują się świetnie, są zadowoleni, a osoba oglądająca już tak świetnie się nie czuje. Spada więc samoocena. Najgorsze i najbardziej zgubne, bo prowadzące wprost do depresji, jest u młodych ludzi silne odczuwanie bezsensu świata i istnienia. Częściej niż zwykle pojawiają się egzystencjalne pytania, a przychodząca odpowiedź na nie jest głównie negatywna. Nic nie ma sensu, nie warto nic robić, nie wato żyć. To zniechęca do wszystkiego, szczególnie do działania twórczego. Taka postawa ciągnie za sobą myśli samobójcze, które pojawiają się u coraz młodszych dzieci. Wcześniej takie myśli pojawiały się u dzieci dojrzewających, teraz obserwujemy je nawet u dzieci wczesnoszkolnych.

Pytanie więc, kiedy rodzice powinni się zacząć martwić i szukać pomocy?

Objawy depresyjności są niezwykle miękkie i często trudno uchwytne. Pomocy należy więc zacząć szukać wówczas, gdy dostrzegamy, że dziecko zachowuje się nienaturalnie. Nie bagatelizujemy naszych podejrzeń. Pojawia się coś takiego jak depresja maskowana, która jest dość rzadka i trudna do wykrycia. Mamy z nią do czynienia, gdy osoba cierpiąca na depresję zakłada maskę osoby szczęśliwej. Czyli widzimy zadowolone ze wszystkiego i uśmiechnięte dziecko. Podejrzliwość należy włączyć, gdy wcześniej takie nie było. Terapeuci, którzy opisują to zjawisko, mówią, że zdiagnozować zaburzenia można wówczas po syndromach somatycznych, czyli gdy dziecko boli brzuch czy głowa lub nie może spać, lub boli je serce. Zdiagnozowanie tego zaburzenia jest dość trudne.

Co jest dla dzieci i młodzieży najtrudniejsze w tej pandemicznej sytuacji?

Brak relacji społecznych. I tu taka ciekawa obserwacja. Często przed pandemią mówiliśmy o tym, że dzieciom tych bezpośrednich kontaktów brakuje, bo one przeniosły się głównie do sieci i mediów społecznościowych. Tymczasem gdy dzieci zostały pozbawione relacji, okazało się, że ta przestrzeń relacji interpersonalnych nie była wcale tak mała, jak nam się wcześniej wydawało. Nawet jeśli grono kontaktów było dość wąskie, to jednak było miejsce na rozmowy, bliskość, wsparcie (nawet fizyczne, typu poklepanie po plecach). Teraz takiej możliwości nie ma. I dzieci oraz młodzież bardzo źle to znoszą. Co więcej – często okazuje się, że nie udaje się zastąpić bezpośredniego kontaktu komunikatorem. I tak ludzie, którzy świetnie dogadywali się w realu, nie umieją się porozumieć przez komunikator. Pisanie generuje konflikty, niedomówienia, nie widzimy emocji rozmówcy, interpretujemy po swojemu i wychodzi głuchy telefon. Długoletnie przyjaźnie potrafią się wyłożyć i zostać zerwane na takiej komunikacji.

Jak pani ocenia poziom zdalnej edukacji? Bardzo się obniżył?

Bardzo. Najbardziej przejmują się tym dzieci, które są w klasach granicznych, przed egzaminami, i ich rodzice oczywiście. Chodzi o klasy ósme i maturalne. Dzieci martwią się, że testy pójdą im gorzej, że nie zdołają się dostać do wymarzonych szkół. A nie oszukujemy się – zdalnie nie da się nauczyć tak jak w klasie, kiedy się widzi uczniów. Tym bardziej że, jak mówiłam, niektórzy się wyłączają, niektórzy w ogóle się nie włączają. Ze zdalną edukacją jest trochę tak jak w znanym memie, który porównuje naukę na odległość do seansu spirytystycznego: „Halo, jest tam ktoś?”. Nauczyciele nie mogą dyscyplinować uczniów, nie mogą im wytłumaczyć, jeśli ktoś czegoś nie rozumie. A już zupełnie przeraża mnie to, że często rodzice biorą za dzieci udział w zdalnym nauczaniu. Piszą za nie sprawdziany, kartkówki lub wysyłają rozwiązania (czy jak w przypadku prac plastycznych – zrobione) przez siebie zadania, prace. W klasach 1–3 to nagminne, ale to zjawi-

sko pojawia się także w szkołach średnich. To bardzo krótkowzroczne działanie. Dziecko nie nabędzie konkretnych umiejętności czy kompetencji.

Z drugiej strony, szukając pozytywów, część dzieci jest spokojniejsza, bo np. nauczyciele nie zwracają im uwagi, bo nie ma ryzyka blamażu pod tablicą, bo rodzice nie znajdują uwag w Librusie. Pojawiły się takie teorie, że w pierwszym lockdownie spadła liczba samobójstw związanych ze stresem szkolnym.

Mogę się zgodzić, że jeżeli patrzymy pod kątem szkolnego stresu, to na pewno część dzieci może być spokojniejsza. Nie muszą się wypowiadać publicznie, a jeśli to robią, to z własnego pokoju. Lepiej mogą się czuć dzieci z nadpobudliwością, zaburzeniami pracy w grupie itp. Dzieci, które były zaburzone przed lockdownem, w lockdownie poczuły się lepiej, bo poziom stresu podniósł się wszystkim, więc one poczuły się mniej inne. A to te zaburzone dzieci były najczęstszymi „klientami” oddziałów psychiatrycznych. Jednak grupa dzieci, u których pojawiły się zaburzenia lękowe, a wcześniej ich nie było, jest nieporównywalnie większa. Mamy prawdziwy wysyp zaburzeń, których wcześniej nie było. Jednak idąc tropem pozytywów, w wielu domach relacje między członkami rodziny poprawiły się, ludzie, którzy z sobą nie rozmawiali, zaczęli, odkryli się na nowo. Pojawiła się większa troska i tęsknota za dalszymi członkami rodziny, są postanowienia spotkań.

Jak na młodzież przekłada się napięcie rodziców? Wszyscy teraz są bardziej podminowani, martwią się o pracę, przyszłość, zdrowie.

Najlepszym przykładem na to, że młodzież też cierpi i też musi rozładować jakoś napięcie, które przenoszą na nich rodzice, był tzw. strajk kobiet, do którego przyłączyło się mnóstwo młodych ludzi. I to wcale nie dlatego, że wszyscy byli zwolennikami głośzonych tam idei, tylko chodziło o wyrzucenie z siebie lęku, sprzeciwu wobec tego, co dzieje się wokół. Dla mnie znamieny był filmik, który krążył po sieci, na którym młoda dziewczyna chciała opuścić



protest i iść do domu. I ona miała pretensję do policji, że nie może się do tego domu dostać, bo nie chodzą tramwaje. Widać, że część młodych ludzi nie myślała nad skutkami protestu. Po prostu musieli jakoś dać wyraz swojemu niezłaceniu. To odzwierciedlało także napiętą sytuację w domach części tych osób, które musiały wykrzyczeć z siebie złość. Rodzice nie zawsze umieją sami rozładować swoje napięcie, a co dopiero mówić o dzieciach.

Jak mądrzy rodzice mogą pomóc dzieciom w rozładowaniu ich frustracji? Mówimy oczywiście o względnie normalnych rodzinach, bo w tych patologicznych dochodzi z pewnością do wielkich dramatów.

Najlepiej zapakować rodzinę w samochód i wywieźć ją gdzieś do lasu, nad rzekę. Kontakt z przyrodą wszystkim świetnie zrobi. Nawet jeśli jest zimno. Skandynawowie mówią, że nie ma złej pogody, są tylko nieodpowiednio ubrani ludzie. Starajmy się śmiać, zadbajmy o humor w domu. Grajmy w zabawne gry, w poważniejsze gry planszowe. U innych świetnie działa wspólne gotowanie. Zwłaszcza teraz, gdy mamy okres przedświąteczny, możemy wspólnie piec pierniczki, które później porzadzamy. Takie kuchenne obcowanie pozwala podejmować także trudniejsze tematy, sprzyja rozładowaniu napięcia, pozwala być razem.

Czy dzisiejszym młodym ludziom nie brakuje nieco dzielności? Ich rówieśnicy w 1939 r. musieli się mierzyć z nieporównywalnie większym zagrożeniem.

Nauki społeczne mówią o pokoleniu płatków śniegu czy pokoleniu all inclusive, czyli młodzieży delikatnej, przewrażliwionej, której wszystko się należy. Jednak nawet jeśli tak jest, to nie ich wina, że zastali taką, a nie inną rzeczywistość. Takie, a nie inne wyzwania. Dziś przeszkoki pokoleniowe skracają się do 10 lat. To już nie jest tak, że mama to jedno pokolenie, a córka drugie. Teraz nawet rodzeństwo ze znaczną różnicą wieku może należeć do różnych pokoleń. Dorosłym ciężko jest zrozumieć,



dr Sabina Zalewska

Dzieci, które były zaburzone przed lockdownem, w lockdownie poczuły się lepiej, bo poziom stresu podniósł się wszystkim, więc one poczuły się mniej inne

że dzieci żyją w innym świecie, niż oni żyli, więc mają inną perspektywę i wymagania.

Czy możemy już mówić o pokoleniu COVID-19?

Obecna sytuacja jeszcze trwa, a poważnie tego typu diagnozy stawiamy post factum. To, że skutki w psychice będą ogromne, jest pewne. Tak wynika z wszelkich badań: polskich i zagranicznych. Czy one będą tak duże, by mówić o całym pokoleniu? To się dopiero okaże.

Wszystko jest teraz zdalne. Terapia w dużej mierze także. Taka zdalna terapia spełnia swoją funkcję?

Dobrze, że w ogóle jest. Można kogoś wysłuchać. Jednak nic nie zastąpi kontaktu osobistego terapii. Terapeuta wiele rzeczy odczytuje z mowy ciała, której przez monitor do końca nie wi-

dać. W terapii zdalnej widać twarz, ale już nóg czy rąk nie. Nie można okazać bezpośredniego wsparcia. Ale nie wszystkie gabinety zrezygnowały z bezpośrednich wizyt. W niektórych jeśli klient tylko ma potrzebę bezpośredniego spotkania, może do niego dojechać.

Czy Ministerstwo Zdrowia powinno po ustaniu pandemii podjąć jakieś kroki nastawione na profilaktykę zdrowia dzieci i młodzieży? Z polską psychiatrią dziecięcą nigdy nie było dobrze.

Konieczne będzie rozwijanie i rozbudowywanie sieci środowiskowych centrów pomocy psychologicznej na kształt tego, które działała w warszawskich Bielanach. Tak, by dzieci i młodzież mogli uzyskać pomoc, nim znajdą się poważnym kryzysie, jak to było dotychczas. Ważna jest profilaktyka zdrowia psychicznego, pomoc na etapie zaburzeń, trudności. Wówczas można zapobiegać wystąpieniu poważnego kryzysu. A młodzież po zakończeniu pandemii będzie potrzebowała solidnej pomocy i powinna mieć do niej ułatwiony dostęp. Brytyjczycy już po pierwszym lockdownie wzięli się za profilaktykę zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Wiedzieli, że będzie druga fala i trzeba o niej myśleć. My nic nie zrobiliśmy po pierwszym lockdownie, po drugim to będzie bezwzględnie konieczne.

Pandemia to nie powód, by rezygnować z inwestycji

Mimo trudnej sytuacji rynkowej związanej z pandemią koronawirusa dla Grupy LOTOS kluczowe jest zapewnienie bezpieczeństwa pracowników i klientów, uniknięcie przestojów oraz kontynuowanie inwestycji. Dzięki temu gdańska rafineria należy do najbardziej zaawansowanych technologicznie zakładów w Europie, a jej strategia jest realizowana zgodnie z założeniami

LOTOS to koncern, który zajmuje się poszukiwaniem, wydobywaniem i przerobem ropy naftowej oraz obrotem produktami ropopochodnymi. Działalność spółki ma strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa energetycznego kraju. Aby osiągać jak najefektywniejszy przerób surowca, a jednocześnie spełnić wymagania Unii Europejskiej dotyczące ograniczenia emisyjności, gdański zakład stale inwestuje w rozwój technologiczny.

Najbardziej zaawansowana obecnie inwestycja LOTOSU to Węzeł Odzysku Wodoru (WOW), którego celem jest zwiększenie produkcji wodoru, LPG oraz benzyny surowej. WOW jest w trakcie rozruchu technologicznego – na początku listopada br. rozpoczęto przyjmowanie gazu wsadowego do instalacji. Uruchomienie tej instalacji pozwoli zwiększyć produkcję, obniżyć koszt produkcji wodoru i uzyskać znaczną ilość LPG i surowej benzyny. Dodatkowym efektem będzie zmniejszenie emisji CO₂ do atmosfery.

Na terenie gdańskiej rafinerii prowadzone są też prace związane z modernizacją instalacji destylacji ropy oraz instalacji hydrokrakingu. Celem jest zwiększenie zdolności przerobowych i elastyczności instalacji poprzez umożliwienie przerobu szerszego spektrum ropy. Na końcowym etapie są negocjacje z wykonawcą odpowiedzialnym za projekt wymiany pieców technologicznych na jednej z instalacji rafinerii, która pełni kluczową funkcję w procesie utylizacji siarki usuwanej z produktów naftowych. W planach jest także budowa Hydrokrakingowego Bloku Olejowego (HBO), który zwiększy konkurencyjność LOTOSU w obszarze produkcji i sprzedaży baz olejowych. Projekt czeka obecnie na podjęcie finalnej decyzji inwestycyjnej.

Ponadto wspólnie z PKN Orlen i Energa LOTOS rozpoczyna analizy dotyczące budowy elektrowni gazowo-parowej w Gdańsku. Tego typu elektrownie postrzegane są jako bardzo potrzebne obecnie przejściowe źródła energii, dwukrotnie mniej emisyjne i bardziej elastyczne niż bloki węglowe. Gdański koncern wspólnie ze spółką Remontowa LNG Systems planuje także budowę terminalu LNG małej skali w Gdańsku. W sumie obiekt ma być w stanie magazynować nawet do 3000 m sześć. LNG. Trwa także budowa



pilotażowej stacji dokującej LNG, która powstanie na stacji paliw LOTOS w Gdańsku-Osowej, zlokalizowanej przy trójmiejskiej obwodnicy.

W mijającym 2020 r. udało się m.in. sfinalizować budowę czwartego nalewaka bramowego. W ciągu doby nowy nalewak będzie mógł obsłużyć 120 cystern, czyli wlać do nich 6 tys. ton paliw. To dodatkowe 2,2 mln ton oleju napędowego lub benzyny rocznie. Na potrzeby tej inwestycji powstała też instalacja odzysku oparów lotnych, w której zastosowano najnowsze technologie pozwalające na oczyszczenie w 99,9 proc. oparów wydostających się do powietrza podczas napełniania cystern. LOTOS zakończył także projekt budowy systemu ciągłego monitoringu emisji zanieczyszczeń CEMS (ang. Continuous Emission Monitoring System), którego zadaniem jest bieżące monitorowanie wpływu pracy rafinerii na środowisko naturalne.

Grupa LOTOS, jako koncern odpowiedzialny społecznie, włącza się także w akcje pomocowe dotyczące pandemii koronawirusa. Jako jedna z dziewięciu spółek skarbu państwa została wyznaczona do zorganizowania szpitala tymczasowego dla chorych na COVID-19. Obiekt powstaje w gdańskich halach wystawienniczych AmberExpo.



Nadzieja na normalność

Wiele krajów europejskich chce rozpocząć szczepienia przeciwko koronawirusowi jeszcze w grudniu tego roku. Nie oznacza to jednak, że obowiązujące w związku z pandemią COVID-19 restrykcje znikną. Do tego jest jeszcze daleka droga

Jestem pewna, że życie, które znaliśmy, powróci. Rodziny znowu będą świętować, kluby, teatry i stadiony piłkarskie znowu będą pełne. Co to będzie za radość! Oto entuzjastyczne i pełne optymizmu słowa Angeli Merkel, wypowiedziane pod koniec września podczas debaty nad budżetem na rok 2021 w Bundestagu. Ten koszmar, którym jest pandemia COVID-19, kiedyś się skończy, przekonuje niemiecka kanclerz, i wszystko wróci do normy. Ale droga do tego jest nadal daleka. Większość krajów Europy szykuje się obecnie do masowych szczepień przeciwko koronawirusowi.

Fot. Shutterstock

Niemcy planują rozpoczęcie programu szczepień już w grudniu. W ciągu zale-



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

dwie kilku tygodni w całym kraju mają powstać centra szczepień. Minister zdrowia Jens Spahn oświadczył w rozmowie z „Redaktionsnetzwerk Deutschland”, że jest optymistyczny, iż co najmniej jedna z kilku opracowanych obecnie szczepionek zostanie jeszcze w tym roku dopuszczona do użytku w Europie. Berlin

zabiega w Unii Europejskiej o przydział ok. 100 mln szczepionek BNT162b2 niemieckiego BioNTech i amerykańskiego Pfizera. Skuteczność tej szczepionki ma przekraczać 90 proc. Obie firmy oświadczyły, że do końca roku mogą wyprodukować ok. 40–50 mln, a w przyszłym – 1,3 mld dawek. Obecny ich podział, wynegocjowany przez Komisję Europejską, zakłada uwzględnienie liczby ludności państwa. Niemcom przypadnie zatem ok. 19 proc, czyli ok. 57 mln zamówionych przez KE dawek. Brakujące szczepionki chcą oni pozyskać na rynku i prowadzą w tej sprawie bilateralne negocjacje z konsorcjum BioNTech-Pfizer. Berlin liczy także na zdywersyfikowanie dostaw poprzez składanie zamówień u kolej-



nych producentów zarówno z RFN, jak i m.in. z USA, Wielkiej Brytanii i Francji. Berlin zawarł także „szczepionkowy sojusz” z Włochami, Holandią i Francją, aby zabezpieczyć 300 mln dawek szczepionki BioNTech. Kolejne 5 mln dawek ma pochodzić od rodzimego koncernu IDT Biologika, który otrzymał od rządu federalnego 113 mln euro na rozwój szczepionki.

LOGISTYKA I KORONASCEPTYCY

Jeśli masowe szczepienia nie ruszą w Niemczech w grudniu, to najpóźniej w I kwartale 2021 r. Berlin przewiduje dwie fazy szczepień. W całym kraju powstanie 60 punktów dostaw szczepionek, m.in. w obiektach Bundeswehry, które będą zaopatrywane przez rząd federalny. Za dalsze przechowywanie szczepionek oraz ich dystrybucję będą odpowiadały kraje związkowe. Nadrenia-Palatynat planuje uruchomienie 36 punktów szczepień, w Nadrenii Północnej-Westfalii ma ich powstać 53 (co będzie kosztowało, jak wyliczyły władze landu, ok. 100 mln euro), w Hesji – 30, w Turyngii – 29, Saksonia i Szlezwik-Holsztyn planują w każdym okręgu co najmniej jeden taki punkt.

W Berlinie za budowę sześciu punktów szczepień będzie odpowiadał Albrecht Broemme, były szef federalnej Agencji Pomocy Technicznej (THW), który na wiosnę w błyskawicznym czasie stworzył w halach Berlińskich Targów szpital polowy. Broemme dostał miesiąc na stworzenie wszystkich sześciu punktów szczepień w stolicy, ale obecnie projekt nie wyszedł jeszcze z fazy planowania. Jak podkreślił Broemme w rozmowie z „Rundfunk Berlin Brandenburg”, punkty powstaną w istniejących halach, choćby na terenie dawnych lotnisk Tempelhof i Tegel. Nie mogą to być namioty ani budowle z kontenerów, bo to trwałoby „zbyt długo”, ponadto kluczowe w przypadku takich obiektów są „odpowiednie systemy wentylacyjne”. Największym problemem będzie jednak jego zdaniem znalezienie personelu. Do każdego takiego punktu potrzeba 200 osób obsługi. To w sumie ponad tysiąc osób. Broemme

liczy na wolontariuszy. Były pielęgniarki, a nawet były stewardesy są mile widziane. W pierwszej fazie ludzie będą szczepieni w tych punktach, później, gdy zostaną pokonane bariery logistyczne (niektóre szczepionki trzeba przechowywać w temperaturze -70°C), nastąpi druga faza, czyli szczepienie w sposób zdecentralizowany, np. w przychodniach. Obawy Broemme budzą także koronasceptycy, dlatego przekonuje, że „trzeba będzie zainwestować w ochronę centrów”. To oznacza dodatkowy personel. Nie wspominając o konieczności zachowania higieny, by nie stały się one hot spotami infekcji koronawirusem. Obawy Broemme nie są nieuzasadnione. Ruchy antyszczepionkowy i antykoronawirusowy są silne w Niemczech i choć szczepienia mają być dobrowolne, należy się spodziewać protestów.

ODPORNOŚĆ STADNA JUŻ W POŁOWIE 2021 R.?

Według niemieckiego ministerstwa zdrowia co najmniej 55–65 proc. ludności musi się zaszczepić, by osiągnięta została tzw. odporność stadna. Szef resortu Jens Spahn liczy, że nastąpi to do połowy przyszłego roku. Ekspertci jednak ostrzegają, że infekcji dróg oddechowych nie da się całkowicie zapobiec szczepionką. „Możliwe, że zaszczepieni będą rozsiewać mniejszą ilość wirusa, to zahamuje pandemię, ale może jej nie zatrzymać całkowicie” – ostrzega wirusolog z uniwersytetu w Moguncji Bodo Plachter.

W Trewirze, gdzie przygotowania do masowych szczepień idą już pełną parą, punkt szczepień powstanie w hali targowej. Przebieg procedury ma regulować tzw. droga szczepień – rejestracja, konsultacja z lekarzem, szczepienie, odpoczynek. Cała procedura potrwa nie więcej niż 15 min. Władze miasta liczą, że uda im się zaszczepić w ten sposób do 5 tys. osób dziennie. Wyliczenia ministra zdrowia, biorąc pod uwagę ogrom przedsięwzięcia, mogą się okazać więc nader optymistyczne. Niektórzy eksperci mówią o osiągnięciu odporności stadnej w Niemczech dopiero za trzy-cztery

lata. Szczepione w pierwszej kolejności będą osoby starsze, obciążone chorobami przewlekłymi oraz personel medyczny, w drugiej policjanci, nauczyciele, strażnicy oraz... uchodźcy. Mobilne zespoły mają zaszczepić tych, którzy nie mogą o własnych siłach dotrzeć do punktów.

Wyzwaniem jest przede wszystkim właściwe przechowywanie szczepionek oraz ich transport, monitorowanie zaszczepionych, także pod kątem ewentualnych działań ubocznych. W tej ostatniej kwestii rząd federalny zamierza stosować ten sam protokół jak w przypadku szczepień przeciwko grypie w sezonie 2018/2019. Problem w tym, że część Niemców, jeśli wierzyć badaniom, nie zamierza się zaszczepić, a ich liczba stale rośnie. Jak wynika z sondażu instytutu Kantar opublikowanego w minioną środę, tylko 35 proc. Niemców „zdecydowanie” zamierza się zaszczepić. W czerwcu było to jeszcze 39 proc. Kolejne 32 proc. „raczej” podda się szczepieniom. 27 proc. odpowiedziało, że zdecydowanie nie podda się szczepieniom lub „raczej nie”. Jednocześnie aż 70 proc. odpowiedziało w badaniu, że uważa szczepionki na koronawirusa za „bezpieczne”.

Oczywiście działania Berlina są podyktowane nie tylko troską o zdrowie obywateli, lecz także nadzieją na wzmocnienie własnego sektora biotechnologicznego. Setki milionów euro zostały wpompowane w rodzime koncerny biofarmaceutyczne, by szczepionka powstała właśnie w Niemczech, a nie w USA czy Chinach, co skróci łańcuchy dostaw.

PROPAGANDA SZCZEPIEŃ

Także Francja szykuje się do masowych szczepień. Francuskie laboratorium Delpharm zamierza jako podwykonawca BioNTech wyprodukować, zaczynając od kwietnia 2021 r., kilkadziesiąt milionów dawek szczepionki BNT162b2 w swojej fabryce w Normandii. Francja ma także uczestniczyć w dystrybucji szczepionki na całym świecie, m.in. za pomocą linii lotniczych Air France-KLM. Główna Komisja Zdrowia (Haute Autorité de Santé) ogłosiła, że w pierwszej kolejności będą



szczepione osoby starsze, z chorobami przewlekłymi oraz personel medyczny, jednak to tylko wstępna rekomendacja, bo jak pisze dziennik „Le Figaro”, dokładny przebieg szczepień będzie zależał od skuteczności i działania szczepionek: czy ograniczają ryzyko przenoszenia wirusa, czy łagodzą tylko objawy lub czy są skuteczne w przypadku osób starszych i przewlekle chorych? Przede wszystkim, na jak długo dają odporność: kilka miesięcy czy kilka lat? Komisja zdrowia w najbliższych dniach wyda rekomendację co do kolejności oraz przebiegu szczepień.

Już wiadomo jednak, że Francja, w przeciwieństwie do Niemiec, nie postawi na ogromne centra szczepień w halach, bo to – jak pisze „Le Figaro” – okazało się w 2009 r., przy okazji epidemii grypy H1N1, „wielkim fiaskiem”. Epidemia była o wiele słabsza, niż przewidywano, wiele osób odmówiło szczepień, miliony zostały więc wyrzucone w błoto. Szczepić będą lekarze pierwszego kontaktu, szpitale i przychodnie. To lekarze mają przekonywać Francuzów do szczepień, które, tak jak w Niemczech, mają być dobrowolne. To może i dobrze, bo według sondażu Kantar z listopada do poddania się szczepieniom przeciwko koronawirusowi „zdecydowanie gotowych” jest zaledwie 21 proc. Francuzów. 15 proc. „kategorycznie odmawia” jakichkolwiek szczepień. Reszta podchodzi do nich sceptycznie, ale jest gotowa dać się przekonać.

Sięganie po lekarzy rodzinnych i szpitale ma jednak przede wszystkim uprosić procedurę szczepień i obniżyć jej koszt. Francuski rząd zamierza zainwestować w kampanię szczepień 1,5 mld euro, co zapewni szczepienia dla 35 mln osób. Jak na razie Paryż zabezpieczył sobie 90 mln dawek szczepionki u kilku dostawców. Pierwsza faza szczepień miałaby ruszyć w styczniu, lutym lub marcu przyszłego roku i trwać kilka miesięcy. Dotyczyłaby najbardziej wrażliwej populacji, czyli personelu medycznego oraz osób starszych i schorowanych. Kolejny etap zostałby uruchomiony latem lub we wrześniu, wtedy zostałaby zaszczepiona reszta dorosłej ludności. Jak podkreślają francuscy eksperci,

równie ważna jak logistyka szczepień będzie „propaganda” szczepień, bo choć szczepionka jeszcze nie pojawiła się nad Sekwaną, to sprzeciw wobec niej się już formuje i jest związany z głęboką nieufnością wobec władz.

DUDNIENIE KOPYT KAWALERII

Wielka Brytania szykuje się według dziennika „The Guardian” do „największego programu masowych szczepień od dekad”. To brytyjska ochrona zdrowia (NHS) będzie za niego bezpośrednio odpowiedzialna. Londyn jak dotąd zabezpieczył sobie dostawę 40 mln dawek szczepionki Pfizera, 30 mln dawek od laboratoriów Janssen, 60 mln dawek szczepionki Novavaksu i 5 mln dawek

W wielu europejskich krajach została już uruchomiona produkcja kontenerów chłodzących, strzykawk oraz innych sprzętów medycznych potrzebnych do transportu i podawania szczepionek

szczepionki Moderny. Ponadto opracowana przez naukowców z Uniwersytetu Oksfordzkiego oraz koncernu Astra Zeneca szczepionka przeciw koronawirusowi SARS-CoV-2 okazała się bezpieczna, a jej skuteczność wynosi 70 proc. Tak wynika z opublikowanego właśnie raportu z badań klinicznych. Dzięki wykazaniu bezpieczeństwa preparatu Astra Zeneca chce go już teraz zarejestrować, aby jak najszybciej uruchomić produkcję. Pierwsze 4 mln dawek miałyby trafić do zastosowania w Wielkiej Brytanii jeszcze w tym roku, a w przyszłym miałyby zostać wyprodukowanych już ponad 3 mld dawek dla wszystkich chętnych odbiorców. W odróżnieniu od szczepionek Pfizer/BioNTech i Moderny, które oparte są na nowej technologii mRNA – preparat Astra Ze-

neca jest tzw. szczepionką wektorową, a więc wykorzystującą martwe komórki niegroźnego dla ludzi adenowirusa pochodzącego od szympanso.

Brytyjski minister zdrowia Matt Hancock zapowiedział, że pierwsze dawki szczepionki Pfizera mogą zostać zastosowane jeszcze w grudniu tego roku. W tym celu Londyn zamierza stworzyć ogromne punkty masowych szczepień w halach, centrach sportowych, stadionach oraz szpitalach. Takich punktów ma być co najmniej tysiąc. Priorytet szczepień zostanie ułożony według wieku, najpierw ci powyżej 80 lat, potem ci powyżej 70 lat itd., pracownicy domów opieki oraz szpitale, a następnie reszta ludności. Plany nie zostały jednak wciąż doprecyzowane. Dziennik „The Daily Telegraph” donosi, że rząd nakazał NHS, by była gotowa na rozpoczęcie programu szczepień 1 grudnia.

Inne kraje Europy także nie próżnują. Hiszpania chce rozpocząć swój program szczepień w styczniu przyszłego roku i zakończyć go w ciągu kilku miesięcy. Planowanych jest 13 tys. punktów szczepień. „Znaczna część ludności zostanie zaszczepiona już w pierwszym kwartale 2021 r.” – zapewniał premier Hiszpanii Pedro Sánchez podczas wideoszczytu G20.

Komisja Europejska negocjuje obecnie z sześcioma producentami szczepionek, od których zamierza nabyć co najmniej 1,2 mld dawek, w tym 160 mln od amerykańskiego koncernu Moderna, który w 2021 r. chce wyprodukować ich 500 mln szt., we współpracy ze szwajcarską Lonżą. W wielu europejskich krajach została już uruchomiona produkcja kontenerów chłodzących, strzykawk oraz innych sprzętów medycznych potrzebnych do transportu i podawania szczepionek. Zdaniem ekspertów wirus wskutek tego „bezprecedensowego wysiłku” wprawdzie nie zniknie całkowicie, ale stanie się mniej groźny dla społeczeństwa. Według brytyjskiego premiera Borisa Johnsona nie oznacza to jednak, że wraz ze szczepieniami restrykcje znikną. „Będą trwały jeszcze miesiącami. Słyszymy dudnienie kopyt kawalerii przejeżdżającej przez szczyt wzgórza, ale jeszcze jej tu nie ma” – dodał.

Witraże wrócą na dworzec Gdańsk Główny

Nawiązujące do historycznych stylizowane na secesję witraże już niebawem powrócą na olbrzymie półrozety w elewacji frontowej i peronowej dworca Gdańsk Główny, a także w sześć miejsc znajdujących po bokach holu głównego

Modernizacja dworca Gdańsk Główny rozpoczęła się we wrześniu 2019 r. Jest to największa inwestycja Programu Inwestycji Dworcowych na lata 2016–2023, w ramach którego w całej Polsce zostanie zmodernizowanych lub wybudowanych od podstaw prawie 200 dworców kolejowych. Przebudowa Gdańska Głównego to jednak nie tylko najdroższa inwestycja w programie (jej koszt szacuje się na ok. 100 mln zł brutto), lecz także jedna z bardziej wymagających, ponieważ jej celem jest modernizacja neorenesansowego budynku z przełomu XIX i XX w., wzniesionego według projektu Alexandra Rüdella i Paula Thoemera, połączona z pełnym przystosowaniem obiektu do obsługi osób o ograniczonej mobilności.

Przy przebudowie dworca, z uwagi na jego historyczny charakter, wiele prowadzonych prac jest odtworzeniowych. Nie inaczej jest z witrażami, które po powstaniu dworca na przełomie XIX i XX w. były nieodłącznym elementem zdobiącym jego elewację. Oryginalne witraże zostały prawdopodobnie zniszczone w wyniku działań wojennych podczas II wojny światowej. Na fotografiach z 1945 r. widać jedynie ich fragmenty, a w półroziecie elewacji frontowej umieszczono grafikę przedstawiającą okręt z godłem Polski na żaglu. W późniejszym czasie odtworzono szklenia, ale już bez bogato zdobionych witraży. Dzięki obecnie prowadzonej kompleksowej przebudowie dworca zdecydowano się na ich rekonstrukcję. Nie chodzi tu jednak tylko o witraże znajdujące się na elewacji frontowej i od strony peronów, lecz również te, które znajdują się wzdłuż dłuższych ścian holu doświetlających go z boku.

Inspiracją do odtworzenia witraży były te historyczne. Jednak ich rekonstrukcja w pierwotnej formie nie będzie



możliwa, gdyż do dziś nie zachowały się oryginalne projekty z czasów budowy dworca. W związku z tym architekci musieli się posilić źródłami ikonograficznymi z okresu do 1945 r. Fotografie były analizowane również przy użyciu technik komputerowych. Dodatkowo projekt konsultowano z historykami sztuki oraz specjalistami zajmującymi się na co dzień witrażami. Ciekawym rozwiązaniem przyjętym przez ekspertów było umieszczenie w okrągłych polach największych półrozet holu motywów występujących w przestrzeni Gdańska, a przy wykonaniu detalu oparcie się na flamandzkich wzornikach Cornelisa Florisa de Vriendta oraz innych autorów, do których nawiązowali projektanci budynków użyteczności publicznej na przełomie XIX i XX w. W nową symbolikę witraża od frontu budynku wpleciono takie motywy jak herb Gdańska, głowy lwów oraz głowy króla, a także głowy uosabiające cztery pory roku, co w zamysłu artysty ma ukazywać dawne, silne

i potężne miasto Gdańsk, będące perłą w koronie polskich miast, które pozostaje otwarte dla przyjezdnych o każdej porze roku. Drugi z witraży, umieszczony w elewacji od strony peronów, odnosi się poprzez swoją symbolikę do kolei. Dzięki umiejscowieniu w jednym z pól głowy królowej, kolej postrzegana jest jako królowa transportu, która łączy, zbliża, ochrania i daje bezpieczeństwo. Projekt pozostałych witraży bocznych oparto na geometrycznych wzorach z motywami kwietnymi, które umieszczono w okrągłych polach. Witraże, które zostaną wkomponowane w elewację gdańskiego dworca, zostaną wykonane w specjalistycznym warsztacie zgodnie ze sztuką. Do ich stworzenia będzie wykorzystane tzw. szkło katedralne – bezbarwne oraz barwione na kolory takie jak: jasna, średnia i ciemna słomka, jasna i ciemna zieleń oraz czerwień. Na pewno wzbogaci to wygląd pochodzącego z przełomu XIX i XX w. budynku, którego 120. rocznicę otwarcia obchodziliśmy w tym roku.

Podwójne standardy w sprawie pedofilii

Dlaczego proces francuskiego lekarza, największego pedofila w historii tego kraju, nie interesuje krajowych „obrońców dzieci”?

W maju 2017 r. w miejscowości Jonzac we Francji sześciolatnia dziewczynka wyjawiała matce, że ich sąsiad, doktor medycyny Joël Le Scouarnec, rozebrał się przed nią i zaczął ją dotykać. Następnie opisała gwałt, którego na niej dokonał. Rodzice zgłosili sprawę na policję i lekarz został aresztowany. W połowie marca 2020 r. odbył się proces (na pewno nie ostatni) chirurga z departamentu Charente-Maritime, podczas którego oskarżony odpowiadał za gwałty i wykorzystywanie seksualne czterech nieletnich, w tym wspomnianej sześciolatniej córeczki sąsiadów. To jej zeznania doprowadziły do aresztowania 70-letniego mężczyzny oraz do odkrycia gigantycznej skali nadużyć, których miał się dopuścić. Śledczy uważają, że ofiarami lekarza mogło paść nawet 350 dziewczynek.

MAKABRYCZNE ODKRYCIA

Dr Le Scouarnec pracował w szpitalach w kilku miastach: Loches, Vannes, Lorient i Jonzac. Chirurg, który był specjalistą od zapalenia wyrostka robaczkowego, dokonywał gwałtów w salach operacyjnych lub pooperacyjnych. Dlatego organizował swą pracę w ten sposób, by być sam na sam z małymi pacjentkami. Dzięki wykonywaniu zawodu lekarza udało mu się zbliżyć do setek dziewcząt, z których 184 już złożyło skargę. Jak potwierdził adwokat z La Rochelle: „181 z nich było nieletnich w czasie wydarzeń”.

W czasie rewizji w mieszkaniu pedofila znaleziono wiele małych zeszytów, w których chirurg starannie odnoto-

wywał nadużycia i gwałty dokonywane na młodych dziewczynkach, opisując najbardziej intymne i drastyczne szczegóły. Był to rodzaj odrażającego pamiętnika, w którym lekarz sam definiował siebie w następujący sposób: „Jestem wielkim zboczeńcem, ekshibicjonistą, voyeurystą, sadystą, masochistą, fetyszystą, pedofilem i cieszę się z tego”. Swych nadużyć wobec nieletnich dopuszczał się bezkarnie ponad 30 lat – od roku 1985 do 2017.

Podczas przesłuchania lekarz wyjaśnił, że zaczął pojawiać się w nim pociąg do młodych dziewcząt w połowie lat 80., gdy rozpadło się jego małżeństwo. Przedmiotem pierwszych „eksperymentów” pedofila była jego własna wnuczka, która miała zaledwie trzy lata. Oskarżony sam opowiedział o tym sędziemu: „Przychodziła do mnie i siadała mi na kolanach, a ja przekazałem jej całą swoją seksualność”.

To nie wszystko. W domu doktora oprócz wspomnianych zeszytów znaleziono gumowe lalki (o wysokości nie większej niż metr, jak małe dziewczynki), „zabawki” do gier seksualnych, peruki, gazety i zdjęcia porno, a w komputerze ponad 300 tys. plików zdjęć i filmów z pornografią dziecięcą. „Służyło to zaspokojeniu mojej wyobraźni bez konieczności uciekania się do prawdziwych dziewczynek”, powiedział lekarz. Wyznał również bez żadnych ogródek: „Mój popęd seksualny jest skierowany głównie do dziewcząt w wieku 9-10 lat, w tym wieku łatwiej jest je uwieść. W wieku 12 lat zaczyna się czas dojrzewania, a praktykowanie seksu może być związane z większą przemocą”.

Z pierwszego raportu psychiatrycznego wynika, że Le Scouarnecowi „całkowicie brakuje empatii i sprawia mu przyjemność dominowanie siłą nad ofiarami”.

KOMPROMITACJA PAŃSTWA

Sprawa jest tym bardziej skandaliczna, że tendencje pedofilskie chirurga z Jonzac odkryto już dawno. W 2004 r. amerykańskie FBI przekazało władzom francuskim listę podejrzanych pedofilów korzystających z witryn z pornografią dziecięcą. Wśród nich był również Joël Le Scouarnec. W 2005 r. sąd w Vannes skazał go za posiadanie materiałów pedopornograficznych na cztery miesiące z zawieszeniem. W 2008 r. doktor przeprowadził się do Jonzac i bez większych problemów wznowił pracę jako lekarz, chociaż nie ukrywał wyroku za posiadanie pornografii dziecięcej. W tamtejszym szpitalu pracował do roku 2017, kiedy przeszedł na emeryturę.

Historia Le Scouarneca świadczy nie tylko o tym, do jakich okropności zdolny jest człowiek, również lekarz, w którego rękach znajduje się zdrowie i życie pacjentów. Pokazuje też nieefektywność i inercję francuskiej maszyny administracyjnej oraz sądowej, która ponosi olbrzymią odpowiedzialność za to, że największy w historii tego kraju pedofil mógł bezkarnie działać przez ponad 30 lat.

30 listopada 2020 r. zdeprawowany chirurg stanął przed sądem w Saints w departamencie Charente-Maritime. Jego proces rozpoczął się co prawda już w marcu, ale został przerwany w drugim dniu trwania z powodu epidemii COVID-19. Opóźnienie wynikało też z faktu, że dwa stowarzyszenia strony cywilnej zwróciły się o odroczenie postępowania przed sądem, powołując się na trudności związane z obecnością w wyznaczonych dniach procesu.

SELEKTYWNI „OBROŃCY DZIECI”

Szczegółowe informacje o tej sprawie znaleźć można jedynie w lokalnej pra-

Joel Le Scouarnec
podczas procesu
w sądzie w Saintes,
13 marca 2020 r.



sie francuskiej. Czy ktoś w Europie, a zwłaszcza w Polsce, śledzi historię jednego z największych, wykrytych do dziś pedofilów? Gdzie są ci wszyscy dziennikarze, politycy, filmowcy, którzy angażują się w demaskowanie nadużyć księży na nieletnich? Dlaczego ci selektywni „obrońcy dzieci” nie piszą artykułów o doktorze Le Scouarnecu ani nie demaskują pedofilów w służbie zdrowia? Dlaczego nie krytykują francuskiej administracji i wymiaru sprawiedliwości, które pozwoliły na to, by przez 30 lat zdeprawowany i cyniczny lekarz mógł działać bezkarnie, wykorzystując seksualnie swe bezbronne ofiary, a mogło ich być nawet 350? Dlaczego nie zbierają pieniędzy, by zrobić film demaskujący największego pedofila w historii Francji?

Gdyby Le Scouarnec był księdzem katolickim, a skrzywdziłby zaledwie jedno dziecko, wtedy na pewno by nie milczeli. Gdyby o domniemane ukry-

wanie nadużyć można było oskarżyć biskupa, a nie przedstawicieli władz czy policji, wówczas z pewnością pierwsi wyrażaliby moralne oburzenie. W takiej sytuacji – możemy być pewni – przed budynkiem sądu stałby tłum dziennikarzy i ekip telewizyjnych oraz demonstranci z transparentami domagający się ukarania winnych.

Milczenie mediów francuskich i światowych w sprawie procesu największego pedofila w historii Francji kontrastuje z olbrzymim rozgłosem, który dziennikarze nadali informacji o procesie byłego przedstawiciela Watykanu we Francji abp. Luigi Ventury. Nuncjuszowi apostolskiemu zarzuca się „molestowanie seksualne” pięciu dorosłych mężczyzn w latach 2018–2019, gdy sprawował swe dyplomatyczne funkcje nad Sekwaną. Dostojnik odrzuca te oskarżenia jako fałszywe.

Wszystko zaczęło się od doniesienia mera Paryża, który powiadomił

sąd, jakoby nuncjusz trzykrotnie „dotykał pośladków” jednego z miejskich urzędników z wydziału ds. stosunków międzynarodowych. Później czterech innych mężczyzn zgłosiło podobne zarzuty. Wiadomo, że jednemu z tych oskarżeń stanowczo zaprzecza dziennikarz, który towarzyszył cały czas watykańskiemu dyplomacie w trakcie przyjęcia w Paryżu, jakie urządziło 11 grudnia 2018 r. Stowarzyszenie Przyjaźni Francusko-Włoskiej. To właśnie podczas tej imprezy miało dojść do rzekomego molestowania, jednak wspomniany dziennikarz dementuje te zarzuty, nazywając je oszczerstwem. Ponieważ bohaterem doniesienia jest ksiądz katolicki, na dodatek dostojnik watykański, media głównego nurtu dbają już o to, by sprawa została odpowiednio nagłośniona. Prawdziwa pedofilia ich nie interesuje.

Włodzimierz Rędzioch

Nie płacz po mnie, Argentyno



Nie żyje Diego Armando Maradona. Najlepszy piłkarz w historii

Mamo, zrobiłem to, czy ty to widziałaś? Kocham cię, to dla ciebie, dla was wszystkich... – szlochał do słuchawki wrzucony 26-letni Diego Maradona zaraz po tym, jak w 1986 r. w spektakularnym stylu poprowadził Argentynę po mistrzostwo świata w Meksyku.

Dla chłopaka wychowanego w slamsach pod Buenos Aires było oczywiste, że pierwszą osobą, z jaką dzieli się największe radości i smutki, bez względu na upływający czas, jest matka. Choć przez lata błędził i oprócz momentów chwały miewał upadki, także obyczajowe, kiedy zaprzeczał wszelkim wartościom wyniesionym z ubogiego, ale tradycyjnego katolickiego domu, wciąż próbował do nich wracać. I odzierając jego zewnętrznego, znanego większości wizerunek, kapryśny bóg futbolu był w głębi dobrym, wrażliwym człowiekiem.

Kilka lat temu jakimś cudem brytyjski reżyser Asif Kapadia namówił byłą żonę Diego Claudio, aby ta pozwoliła zdigitalizować całe archiwum starych taśm wideo i nagrań audio z dawnych czasów, które odnalazła, ale nie chciała ich upubliczniać. Ostatecznie zgodziła



CEZARY KOWALSKI

się także je przekazać i powstał fantastyczny dokument ukazujący drugą twarz najlepszego zawodnika w historii piłki nożnej. Jest tak dobry i wstrząsający, że wbija w fotel. Ukazuje całą gamę sprzeczności targających przez lata królem futbolu. Upraszczając, autor dzieli bohatera na pół: dobrego i złego. Kim innym jest Diego, kim innym Maradona. Może jest to zbyt lopatologiczne ujęcie tematu, ale w sumie oddaje prawdę.

W ostatnim ujęciu współczesny Diego, schorowany, z trudem stawiający kolejne kroki, próbuje kopać piłkę z przyjaciółmi na jakimś argentyńskim orliku. Jest karykaturą dawnego siebie. Trudno nie uronić łzy. Brutalnie, ale jednak celnie, jeden z recenzentów napisał, że jedyne, czego jeszcze bohater tego filmu nie zrobił, to nie umarł... Było to w ubiegłym roku.

NIE POSŁUCHAŁ MATKI

– Widziałam Dieguito, synu, proszę cię, teraz odpoczywaj – odpowiedziała podczas tej telefonicznej rozmowy z synem po finale w 1986 r. Dalma Franco de Maradona, znana w Argentynie jako Doña Tota.

Diego jednak nie posłuchał matki, wszystko można powiedzieć o jego życiu, ale nie to, że się oszczędzał i odpoczywał.

Napisano o nim kilkadziesiąt książek i nakręcono jeszcze więcej filmów. W Argentynie, ale nie tylko, internetowe strony sportowe mają zakładki najważniejszych działów: wydarzenia, kluby, reprezentacja... Maradona. Bez żadnej przesady, żyło z niego, z tego, co powiedział, co zrobił, gdzie pojechał, czego się napił, co wciągnął, tysiące ludzi.

Mnóstwo dawnych wielkich piłkarzy nie budzi takich namietności. Argentynczyk jakimś cudem, mimo że od dawna nie grał już w piłkę, wciąż nie schodził z medialnego świecznika. W tym sensie absolutnie się nie postarzał. To był po prostu fenomen nie do końca zdefiniowany. Miał w sobie jakąś

magię, coś ulotnego. I nie chodzi jedynie o geniusz czysto piłkarski.

Wojował na tak wielu frontach, że sam się w tym zatracił. Można się tylko zastanawiać, ile mógłby jeszcze osiągnąć w trakcie kariery piłkarskiej i po jej zakończeniu, gdyby nie narkotyki. W filmie Kusturicy sprzed dekady Diego oskarża... narkotyki za wszystko, co przegrał. „Nie pamiętam, jak doraślały moje córki. Przecież ten czas” – mówi.

Wtedy wydawało się, że wychodzi na prostą, przeszedł kurację odwykową, schudł, zaczął lepiej się prowadzić, był w doskonałej formie intelektualnej. Dziesięć lat później mimo ciągłej aktywności bardzo mocno podupadł na zdrowiu. W dniu 60. urodzin udzielił, jak się później okazało, ostatniego wywiadu magazynowi „France Football”.

Na pytanie, jaki prezent chciałby dostać z tej okazji, odpowiedział, że jeszcze raz chciałby strzelić gola Anglii ręką. Tym razem prawą...

Cały Diego. Wydarzenie z 1986 r., które przede wszystkim w Anglii zostało uznane za największe oszustwo w historii piłki nożnej, traktowane było przez samego Maradonę, ale także większość Argentyńczyków, jako szczyt sprytu, szelmstwa, pewnego dozwolonego triku na froncie walki z wrogiem. Pamiętamy, że tamten mecz to była forma rewanżu za wojnę o Falklandy.

Z wrodzonym sobie humorem Diego przyznał wtedy, że to nie była jego ręka, tylko Boga, i bawił się całą tą ogólnoswiatową eksplozją złości przez kolejne dekady.

Później uznawał, że wiele zła, które na niego spada, to efekt tamtego zdarzenia, okradł przecież FIFA, a FIFA to mafia i wiadomo, jakimi metodami się posługuje. Przylapanie go na dopingu na mundialu w 1994 r. czy wielokrotne dyskwalifikacje były jego zdaniem efektem zemsty. Tak jak fakt, że po 2010 r., kiedy prowadził jako selekcjoner Argentynę na mistrzostwach w RPA (przegrał w ćwierćfinale z Niemcami 0:4), nie mógł znaleźć pracy w ojczyźnie. Federacją AFA zarządzał przecież słynny Julio Grondona, jeden z najbardziej przez lata wpływowych, ale jak się później okazało, równie mocno skorumpowanych działaczy FIFA.

Miał sporo racji, ale jednak przesadzał. Grondona zatrudnił go przecież awaryjnie podczas eliminacji mundialu 2010, aby ratował drużynę i zapewnił jej awans (sytuacja Argentyny w grupie południowoamerykańskiej była wówczas bardzo zła). W nowej roli na dzień dobry Maradona, mając Messiego w składzie, przegrał z Boliwią w La Paz 1:5 i posypały się na niego takie gromy jak nigdy wcześniej. Ostatecznie udało się w ostatnim meczu wygrać z odwiecznym rywalem, Urugwajem, w Montevideo i Diego znów utonął w uściskach narodu.

Podczas oficjalnej konferencji prasowej po awansie przeprosił elegancko wszystkie będące w sali panie i powiedział, że tym razem pytań nie będzie, jedynie krótkie oświadczenie: „Teraz to wszyscy, którzy mnie krytykowali, mogą mi...”. I tu cytat nienadający się do druku.

Kiedy autokar Argentyńczyków opuszczał stadion Centenario otoczony dziesiątkami kamer telewizyjnych, Diego stał przy przedniej szybie, aby dobrze go było widać i wykonywał obsceniczne gesty. Efekt? Dyskwalifikacja nałożona przez FIFA. Znów po latach go dopadli. Selekcjoner został wezwany do siedziby światowej federacji piłkarskiej w Szwajcarii, gdzie miał złożyć wyjaśnienia i prosić o złagodzenie kary. Podobno nakłaniany do tego, aby pokajał się i przyznał, że targaly nim pomeczowe emocje, nie chciał się zgodzić. „Dlaczego pan to zrobił?” – padło pytanie oficjeli. „Bo miałem ochotę, aby mi...”. I tu znów miał powtórzyć słowa nienadające się do druku. Ostatecznie jednak FIFA się ugięła i Diego usiadł na ławce rezerwowych w RPA.

KRÓLEWSKI TRON

Później tułał się po całym świecie, opływając w luksusy, podejmując pracę w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Meksyku, a nawet przez moment na Białorusi. U schyłku swojego życia wrócił do ojczyzny i został trenerem walczącej przed spadkiem, najstarszej argentyńskiej drużyny Gimnasia La Plata. Znów doświadczył uwielbienia, traktowany przez fanów wszystkich

drużyn jak piłkarski bóg. Podczas meczu z Newells Old Boys działacze klubu, w którym kiedyś grał, przygotowali mu zamiast fotela okazały królewski tron. W którym zresztą chętnie zasiadł. Diego przemawiał do tłumów podczas treningów (na pierwszy w Gimnasii przyszło 30 tys. ludzi), pozdrawiał kibiców także drużyn przeciwnych, często wzruszony, płakał.

– Musiałbyś być Argentyńczykiem, żeby to zrozumieć – powiedział nam Juan Raman Rocha, były reprezentant kraju, który grał z Maradoną, a kilka lat temu usiłował ratować przed degradacją Ruch Chorzów. – Kocham go jak każdy Argentyńczyk. Ten jeden facet spowodował, że cały nasz naród płakał ze szczęścia, że wszyscy staliśmy się dumnymi Argentyńczykami. Jemu się po prostu wybacza jego grzechy. Nawet jak coś głupiego palnie, z czym się absolutnie nie zgadzasz, to machasz na to ręką. To był mój dobry kolega, graliśmy razem w kadrze, ale też mój bohater. Poza tym był lepszym człowiekiem, niż się o nim pisze i mówi. Mało kto wie, że w moim rodzinnym regionie pobrał szkoły dla najbardziej potrzebujących i opłacał nauczycieli. Wielki człowiek – przekonywał.

„Kopali mnie na boisku, atakowali na wszystkie sposoby w całym moim życiu. Atakowali moją rodzinę, braci, siostry, nawet mojego wnuka. Nic nie dostałem w prezencie, na wszystko solidnie zapracowałem. Ale nie mam zamiaru się żalić. Jak patrzę na to, co dzieje się na świecie obecnie, na te wszystkie wojny, jak dzieci umierają, to myślę, że miałem jednak szczęście” – powiedział w wywiadzie dla „FF”.

Na początku listopada przeszedł operację mózgu (pod szpitalem koczowało kilka tysięcy kibiców, modląc się o jego zdrowie). Wydawało się, że szczęście znów jest po jego stronie. Niestety przed atakiem serca nie udało mu się już obronić.

Po jego śmierci w minioną środę prezydent Argentyny ogłosił trzydniową żałobę narodową. Aż trzy dni żałoby po śmierci piłkarza? A kto więcej zrobił dla Argentyny? Po kim mocniej zapłakać może ten piękny kraj?

Autor jest komentatorem Polsat Sport

W ciągu dwóch tygodni legły w gruzach dwa filary, na których przez ostatnie ćwierćwiecze opierali swą obecność w Karabachu, a nawet poczucie bezpieczeństwa narodowego. Te święta Ormianie spędzą w ponurych nastrojach

Naród w strefie zgniotu



GRZEGORZ GÓRNY

W 1993 r. przebywałem jako korespondent w Karabachu, gdy Ormianie rozpoczęli ofensywę, dzięki której zdobyli Kelbadżar. Rok później spędziłem prawie dwa miesiące w Armenii, prowadząc długie rozmowy z tamtejszymi politykami. Choć w kraju panowała bieda spowodowana wojną, zapaścią ekonomiczną, blokadą przez sąsiadów, odcięciem od dostaw prądu i kryzysem uchodźczym, to jednak w rozmowach z Ormianami dało się wyczuć optymizm. Mówili, że do nieszczęść w swojej historii zdążyli się już przyzwyczaić. Tym razem jednak wszelkie niedogodności rekompensowała im świadomość odniesionego zwycięstwa w wojnie o Górski Karabach.

W przyszłość patrzyli z nadzieją. Opierali ją na dwóch filarach. Pierwszym filarem była duma ze swej sprawdzonej w bojach i najbitniejszej armii na Zakau-

kaziu. A także najlepiej uzbrojonej. Podczas ofensywy zimowej 1993–1994 siły zbrojne Republiki Górskiego Karabachu dysponowały nowoczesnymi systemami przeciwpancernymi Szturm-S, których nigdy nie było na wyposażeniu ani armii azerskiej, ani armeńskiej, a które na wystawie zbrojeniowej w Dubaju w 1993 r. Rosja prezentowała jako swoją nowinkę.

Z tym wiązał się drugi filar ormiańskiego bezpieczeństwa, czyli strategiczny sojusz z Rosją. Politycy w Erywanu porównywali go do aliansu między Izraelem a USA. Przyporównywali się do państwa żydowskiego wciśniętego – tak jak oni – między wrogich muzułmańskich sąsiadów. Ich zdaniem Izrael zawdzięczał swą niepodległość dwóm czynnikom: silnej armii i wsparciu Ameryki. Podobnie jest z Armenią, mówili. Tak jak Waszyngton nie da zginąć Izraelowi, tak samo Moskwa nie pozwoli skrzywdzić Armenii.

DIABELSKA ALTERNATYWA

Tych kalkulacji nie sposób było zrozumieć bez znajomości historii. Ta zaś uczy, że są kraje, które leżą na linii ścierania się interesów wielkich mocarstw. W języku współczesnej geopolityki nazywa się to strefą zgniotu. Takie narody często do-

świadczają rozbiórów ze strony potężniejszych sąsiadów. Wiedzą coś o tym nie tylko Polacy, lecz także Ormianie, przez wieki wciśnięci między strefy wpływów wielkich potęg: niegdyś Persji, Bizancjum i kalifatu arabskiego, a później Turcji i Rosji. Dlatego przez większą część swoich dziejów Armenia znajdowała się pod okupacją, niepodległość zaś odzyskiwała jedynie na krótki czas, kiedy wykrwawione wojnami mocarstwa ościenne wylizywały się z ran i gotowały do nowych podbojów.

W 1639 r. nastąpił trwający niemal dwa wieki rozbiór Armenii przez dwie muzułmańskie potęgi: wschodnią część kraju zajęła Persja, a zachodnią Turcja. Od tamtej pory Ormianie swe nadzieje na wolność zaczęli wiązać z kimś, kto będzie walczył z obu zaborcami. Sojusznika takiego znaleźli w Rosjanach, którzy w 1828 r. po wojnach z Persją zdobyli całą Armenię wschodnią. Petersburg nie obdarzył Ormian niepodległością, jednak pod jego panowaniem cieszyli się oni znacznie większym zakresem swobód niż pod rządami osmańskimi. Prawosławna Rosja w odróżnieniu od zaborców islamskich była im też bliższa religijnie i kulturowo.

Wiek XIX stanowił nieustanną rywalizację między Rosją a Turcją. W tej konfrontacji narody zniewolone przez



Osmanów, takie jak np. Bułgarzy czy Serbowie, orientowały się na Petersburg. Nie inaczej było z Ormianami. Ci ostatni często traktowani byli instrumentalnie przez Rosję i Zachód, które wykorzystywały kwestię armeńską jako okazję do penetrowania Bliskiego Wschodu i osłabiania Stambułu.

Doświadczeniem, które najbardziej naznaczyło dzieje narodu, było ludobójstwo dokonane w 1915 r. na ludności ormiańskiej na rozkaz rządu młodotureckiego. Zginęło wówczas ok. 1,5 mln ludzi. Pamięć o tym wydarzeniu do dziś determinuje politykę Erywanu.

Gdy zakończyła się I wojna światowa, Ormianie, wykorzystując osłabienie Rosji i Turcji, proklamowali niepodległość. Zdołali ją utrzymać zaledwie przez trzy lata, tocząc w tym czasie dwie wojny z Turkami i dławiąc komunistyczną rewoltę. W lipcu 1921 r. nie zdołali się już odeprzeć inwazji Armii Czerwonej. Armenia stała się częścią Związku Sowieckiego.

Większość Ormian uważała to jednak za lepsze rozwiązanie niż pozostawanie w składzie Turcji. Jak wyraził się jeden z polityków w Erywaniu, stawka na Moskwę nie była sprawą miłości, lecz życia i śmierci: „Mamy do wyboru albo dzikusów, którzy chcą nas zabić, albo półdzikusów, którzy chcą nami tylko rządzić”.

PUŁAPKA STALINA

Dzisiejszy konflikt jest pułapką zastawioną na Ormian i Azerów przez samego Stalina. W 1921 r. na skutek jego osobistej interwencji – jako ówczesnego komisarza ludowego ds. narodowościowych – region Górskiego Karabachu, zamieszkiwany w 94 proc. przez ludność ormiańską, został włączony w skład Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Był to sposób utrzymywania przez Moskwę kontroli nad Zakaukaziem za pomocą zasady „dziel i rządź”.

W lipcu 1988 r., gdy ZSRS chylił się ku upadkowi, lokalne władze Karabachu podjęły decyzję o odłączeniu się od Azerbejdżanu. Wywołało to konflikt między Erywaniem a Baku, którego etapami były zamieszki uliczne, pogromy, rzezie, wypędzenia, a w końcu wojna. Kreml odgrywał w tym starciu rolę arbitra, faworyzując raz jedną, raz drugą stronę. Gdy jednak Azerowie ogłosili, że zamierzają wybudować nowy rurociąg znad Morza Kaspijskiego nad Morze Czarne, który miał biec przez Turcję i omijać Rosję, Moskwa ostatecznie wsparła Armenię.

Wyposażeni w rosyjską broń Ormianie opanowali cały Karabach. Region był jednak otoczony górami, z których Azerowie prowadzili ostrzał. By zagwarantować bezpieczeństwo swojej enklawy, Ormianie zajęli więc znaczną część terytorium Azerbejdżanu, zmuszając do ucieczki około miliona mieszkańców.

Rokowania międzynarodowe toczone w ramach tzw. grupy mińskiej OBWE (z udziałem Rosji, USA i Francji) doprowadziły w 2007 r. do tzw. porozumienia madryckiego. Ormianie mieli zwrócić Azerom otulinę Karabachu, którą okupowali od 1994 r. Nie uczynili tego jednak. Obawiali się, że władze w Baku wykorzystają zwrócone im ziemie do ponownego ostrzału ich enklawy. Tak wyglądała sytuacja, gdy miesiąc temu wybuchła wojna.

JATKA, NIE WOJNA

Dziś po zwycięskiej armii z lat 90. zostało tylko wspomnienie. Bohaterowie tamtej wojny porobili polityczne kariery, a przywódcy Karabachu zostawali nawet prezydentami i premierami Armenii. Do wojska trafiło nowe pokolenie, nie pamiętające

tamtych wydarzeń. W Azerbejdżanie też dorastała nowa generacja, w której pielęgnowana była pamięć o wypędzeniach i poczucie krzywdy.

W tym czasie znacząco zmieniły się proporcje militarne po obu stronach. Wynikało to m.in. z tego, że budżet wojskowy Azerbejdżanu jest większy niż cały budżet państwa armeńskiego. Ormianie wiedzieli o tym, ale za swój atut uważali ukształtowanie terenu. Obsadzili bowiem góry, podczas gdy Azerowie operowali na nizinach. W takiej sytuacji łatwiej jest się bronić, niż pod ostrzałem wspinać po zboczach i zdobywać górskie szczyty.

Ormianie nie wzięli jednak pod uwagę nowej broni, która pojawiła się na wyposażeniu armii Azerbejdżanu. Chodzi o izraelskie i tureckie drony, które potrafiły niemal bezszelestnie podlatywać blisko kryjówek w górach i strzelać do ormiańskich żołnierzy jak do kaczek.

Z Armenii dochodzą wieści, że to nie była wojna, ale jatka. Wybite zostały niemal całe wcielone do armii roczniki poborowych urodzonych w latach 2000–2002. Mówi się wręcz o zabitym pokoleniu i wyrwie demograficznej. To byli ideowi chłopcy, którzy przed wyruszeniem na front modlili się w kościołach, a walkę z wrogiem uważali za swój obowiązek.

Dziś premier Nikol Paszynian jest w swym kraju powszechnie krytykowany za zawarcie upokarzającego pokoju, ale tak naprawdę nie miał wyjścia – straty w ludziach były zbyt duże, a przewaga nieprzyjaciela – miażdżąca.

Największym rozczarowaniem dla Ormian jest jednak postawa Rosji, która nie kiwnęła palcem, by wspomóc swojego głównego (a de facto jedynego) sojusznika na Zakaukaziu. Moskwa zadeklarowała, że wkroczy do akcji, gdy zaatakowane zostanie terytorium państwa armeńskiego, a do tego nie doszło. Wszyscy w Erywaniu mają jednak poczucie zdrady przez sojusznika. Przebieg wojny to także wyraźny sygnał dla innych krajów w przestrzeni postsowieckiej, że alians z Rosją nie gwarantuje wcale pomocy.

Te święta Ormianie spędzać będą w ponurych nastrojach. W ciągu dwóch tygodni legły w gruzach dwa filary, na których przez ostatnie ćwierćwiecze opierali swą obecność w Karabachu, a nawet poczucie bezpieczeństwa: prężna armia i sojusz z Rosją.

Już po amerykańskich wyborach prezydenckich w internecie pojawiły się informacje, że Joe Biden, który jak wszystko na to wskazuje, obejmie urząd 46. prezydenta Stanów Zjednoczonych, ma polskie korzenie, ba, przy odrobinie dobrej woli może być wręcz uznany za potomka Mieszka I. Czy pochodzenie i sympatie Bidena, zwanego ponoć przez współpracowników Bideńskim, wzmocnią nasze relacje z USA

Jak wygrać prezydenturę Joego Bidena



MAREK BUDZISZ

Genealogicy amatorzy twierdzą, że jego więzi rodzinne sięgają do XIV-wiecznej polskiej księżniczki Małgorzaty z Cieszyna, która będąc damą dworu Anny Czeszki, żony Ryszarda II, króla Anglii, trafiła na wyspę i tam wyszła za mąż za sir Simona Felbriggę. Z tego związku narodzić się zaś miała Helena Felbrigg, prapraprababka Joego Bidena. Małgorzata z Cieszyna była córką Przemysława I Noszaka, Piasta, potomka w prostej linii Mieszka I. Innymi słowy, gdyby te rewelacje się potwierdziły, co wątpliwe, to głową światowego mocarstwa od stycznia będzie prezydent, w którego żyłach płynie krew piastowska.

Ta opowieść, być może w większym stopniu niżli o historycznym dziedzictwie, mówi nam o sile mitu Polaka katolika, który objąłby w ten sposób nawet Stany Zjednoczone. Joe Biden, drugi w historii USA prezydent katolik, którego

Fot. Alex Gakos / Shutterstock

czterokrotnie na prywatnej audyencji podejmował papież Jan Paweł II, nie może przecież nie mieć związków z Polską. Bo to, że Biden, który zaczął swą polityczną karierę w 1974 r., wygrywając wybory do Senatu ze stanu Delaware, Polskę zna, wielokrotnie był w naszym kraju i żywi do naszej ojczyzny niemało sympatii, nie jest żadną tajemnicą. Stephen Mull, były amerykański ambasador w Warszawie, powiedział w rozmowie z PAP, że Biden mówił mu, iż jego współpracownicy właśnie z powodu sympatii do Polski mówią o nim Joe Bideński.

ZIMNA CHEMIA

Trudno jednak zakładać, aby Joe Biden, jeden z najbardziej doświadczonych amerykańskich polityków i jeden z najlepiej przygotowanych prezydentów w zakresie polityki zagranicznej, co zgodnie podkreślają wszyscy, niezależnie od politycznej orientacji, komentatorzy, budując strategię swego gabinetu, kierował się osobistymi sympatiami. Choć są one oczywiście ważne. Już to zauważyli rosyjscy komentatorzy. Dmitrij Trenin z moskiewskiego Centrum Carnegie, kreśląc pierwsze prognozy na temat tego, jak będzie wyglądała polityka nowej administracji amerykańskiej wobec Rosji, przypomniał spotkanie Bidena i Putina z 2011 r. Po rozmowach obecny amerykański prezydent elekt, wówczas wiceprezydent w administracji Obamy, miał powiedzieć: „Spojrzałem Putinowi głęboko w oczy, ale nie dostrzegłem tam duszy”, na co rosyjski prezydent z reflekssem odparł: „To w takim razie dobrze się rozumiemy”.

Trenin jest zdania, że między Putinem a Bidenem „nie będzie chemii”, osobiste relacje pozostaną napięte, a może nawet chłodne. Do podobnego wniosku dojść można, słuchając długiego wywiadu, jakiego Antony Blinken, który w administracji Bidena kierował będzie Departamentem Stanu, udzielił w 2017 r. programowi „Frontline”. Mówił wówczas o kryzysie na Ukrainie i próbach administracji Obamy-Bidena znalezienia kompromisowego rozwiązania kryzysowej sytuacji w Kijowie w 2014 r., tak aby nie doszło do eskalacji konfliktu. Wielokrotnie też w swych wypowiedziach podkreślał, że Władimir Putin okłamywał

Baracka Obamę, a z politykiem posługującym się nieprawdą, wiarolomnym nie można budować relacji wymagających wzajemnego zaufania. To, zdaniem wielu analityków, oznacza, że żadnego resetu na linii Waszyngton–Moskwa nie będzie, a relacje w najlepszym przypadku pozostaną chłodne, a może nawet lodowate.

LIBERALNA NUTA

W polityce strategicznej sympatie, choć istotne, nie dominują. Liczy się rachunek sił i środków. Winni o tym pamiętać ci z polskich obserwatorów, którzy są zdania, że Biden „zdyscyplinuje” rząd Zjednoczonej Prawicy w Warszawie, a może nawet doprowadzi do jego upadku. Przypominają oni te wystąpienia prezydenta elekta, w których mówił on, że „prawa mniejszości LGBT to też prawa człowieka”, lub zestawiał Węgry i Polskę z Białorusią, mówiąc o państwach mających „kłopoty” z praworządnością. Z pewnością nowa administracja amerykańska będzie przykładała większą wagę od poprzedniej do liberalnego kanonu w sprawach publicznych, w tym do kwestii trudno definiwalnej praworządności. Ale właśnie z tego powodu, że jest to obszar dyskusyjny i podatny na odmienne interpretacje, nie oczekujemy, aby Waszyngton wdawał się w szczegóły. Zapewne wystarczy w tym wypadku zgodna opinia zachodnich sojuszników Polski, w tym Niemiec, o których Antony Blinken, już po nominacji, mówił, że „są najważniejszym europejskim sojusznikiem Stanów Zjednoczonych”. Z pewnością Warszawa może się spodziewać większej presji ze strony Waszyngtonu, aby nasza polityka wewnętrzna odpowiadała liberalnym wzorcom, co nie oznacza, że nasze relacje ze Stanami Zjednoczonymi zostaną z tego powodu wystawione na szwank.

ŁAGODNIEJ Z NIEMCAMI

O ich sile decydują bowiem kwestie znacznie poważniejsze, a Joe Biden nie skrywa, że jednym z głównych celów jego administracji będzie odbudowa siły więzów atlantyckich, rozumianych w Waszyngtonie przede wszystkim jako poprawa relacji z Berlinem. W marcowo-kwietniowym numerze periodyku

„The Foreign Affairs” Joe Biden, wówczas występujący w charakterze rywala urzędującego prezydenta, opublikował artykuł będący jego programowym credo w sprawach międzynarodowych, pod wielce wymownym tytułem: „Dlaczego Ameryka musi znów przewodzić?”. Zapowiedział w nim nie tylko odbudowę przywództwa amerykańskiego w świecie, odnowienie więzi sojuszniczych zniszczonych, w jego opinii, chaotyczną i egoistyczną polityką Trumpa, lecz również ofensywę demokratyczną. Jednym z jej punktów miałyby być zorganizowanie, już na początku przyszłego roku, „szczytu na rzecz demokracji”, międzynarodowego kongresu, będącego zapowiedzią odwrócenia obserwowanego w ostatnich latach w skali świata niebezpiecznego trendu umacniania się reżimów będących na bakier z demokracją.

Biden pisał również wówczas o dążeniu do uczynienia z NATO aliansu nie tylko funkcjonalnego i sprawnego z politycznego punktu widzenia, lecz również promującego wartości wolnego świata. Czytając te zapowiedzi, należy przypuszczać, że pewna korekta politycznego kursu Warszawy może się okazać niezbędna, tym bardziej że w grze będzie przyszły kształt NATO i wschodniej polityki Sojuszu.

Zarówno Joe Biden, który był owacyjnie przyjmowany na ubiegłorocznym Münich Security Forum, jak i Antony Blinken uchodzą, zdaniem specjalistów, za polityków, którzy w pierwszym rządzie postawią na poprawę relacji z Niemcami, państwem dominującym w Unii Europejskiej i przez lata najlepszym europejskim sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Nie wynika to z sympatii czy z filoniemieckości, ale z pragmatycznego i trzeźwego rachunku sił i środków. Bez kooperacji z Berlinem nie uda się wzmocnić Paktu, nie da się zbudować antychińskiego sojuszu ani wzmocnić wschodniej flanki NATO, tym bardziej jeśli Stany Zjednoczone, a pragmatycznie nastrojona ekipa Bidena nie skrywa takich aspiracji, mają się skoncentrować na strategicznej rywalizacji z Chinami w Azji.

Niemieckie elity już przygotowują się na reset ze Stanami Zjednoczonymi, którego kształt wzbudza tam zresztą ożywioną dyskusję. Z grubsza rzecz biorąc, chadecy opowiadają się za pogłębieniem więzów

atlantyckich i lepszą współpracą z USA w ramach NATO, o czym wprost mówi w swoich wystąpieniach Annegret Kramp-Karrenbauer, deklarując nie tylko wzrost wydatków wojskowych, lecz również większe zaangażowanie się Berlina, także finansowe, we wzmacnianie wschodniej flanki NATO, czego jednym z przykładów jest choćby zmodernizowanie za niemieckie pieniądze poligonu na Litwie.

Jest też wizja konkurencyjna, za którą opowiada się część niemieckiego establishmentu powiązanego z socjaldemokratami, ale też Francuzi. Polega ona na promowaniu geostrategicznej samodzielności Europy, budowaniu własnych sił zbrojnych, nieoglądaniu się na Stany Zjednoczone, ale też zabieganiu o bliższe więzi z Moskwą.

Jako głos polemiczny w wewnętrzniemieckiej dyskusji na ten temat (wobec stanowiska Kramp-Karrenbauer i niemieckich chadeków) odczytać należy wspólny artykuł szefów niemieckiego i francuskiego MSZ, opublikowany na łamach „The Washington Post”. Heiko Maas i Jean-Yves Le Drian piszą w nim, że prezydentura Joego Bidena winna oznaczać zawarcie europejsko-amerykańskiego New Deal, oraz formułują postulaty, które winny zapalić czerwone światło w Warszawie. „Mamy nadzieję, że Stanom Zjednoczonym i Rosji uda się przedłużyć umowę New START po lutym 2021 r.” – deklarują ministrowie dwóch najważniejszych państw UE i dodają: „Jesteśmy gotowi do rozmowy z Moskwą w kwestiach istotnych dla bezpieczeństwa europejskiego i oczekujemy konstruktywnej odpowiedzi. Unia Europejska musi się do tego przygotować”.

Obserwując ostatnie wystąpienia polityków europejskich, można nawet mówić o powstaniu ponadnarodowego obozu na rzecz uniezależnienia się od Stanów Zjednoczonych, w którego skład, obok Francji, wchodzi politycy głównie o orientacji socjaldemokratycznej z Niemiec oraz tacy przedstawiciele europejskiej lewicy jak Josep Borrell czy Charles Michel.

Wydaje się jednak, że nowej amerykańskiej administracji, która najprawdopodobniej wstrzyma mocno krytykowaną decyzję Donalda Trumpa o wycofaniu części kontyngentu wojskowego z Nie-



Fot. Vanilia Avestas / Shutterstock

Polityka nowej amerykańskiej administracji na rzecz poprawy relacji atlantyckich nie musi oznaczać ustępstw wobec Niemiec w tak kontrowersyjnych kwestiach jak choćby dokończenie budowy gazociągu Nord Stream 2

mieć, znacznie bliżej do stanowiska niemieckich chadeków niżli socjaldemokratów. Polityka nowej administracji na rzecz poprawy relacji atlantyckich nie musi oznaczać ustępstw wobec Niemiec w takich kontrowersyjnych kwestiach, jak choćby dokończenie budowy gazociągu Nord Stream 2. Mimo wysiłków lobbystów niemieckich firm zaangażowanych w projekt oraz stanowiska rządu federalnego, który uważa, że amerykańskie eksterytorialne sankcje są niezgodne z międzynarodowym prawem, projekt przyszłorocznego budżetu Pentagonu, w którym znalazły się zaostrzające zapisy, ma szansę zostać uchwalony do końca tego roku, a polityka presji wobec Rosji cieszy się w Kongresie poparciem zarówno demokratów, jak i republikanów.

ROSYJSKIE OBawy, POLSKIE NADZIEJE

Rosyjscy komentatorzy zwracają uwagę, że wbrew narracji tamtejszych me-

diów, jakoby Joe Biden był z racji wieku politykiem tracącym kontakt z rzeczywistością i w obliczu nawarstwiających się problemów wewnętrznych, w tym radykalizującego się lewego skrzydła jego obozu politycznego, takim, który nie będzie mógł wiele energii poświęcić sprawom międzynarodowym, w rzeczywistości jest akurat zupełnie odwrotnie. Zdaniem Dmitrija Trenina mamy do czynienia z najlepiej przygotowaną ekipą w ostatnich dziesięcioleciach do radzenia sobie z trudnymi wyzwaniami polityki zagranicznej. Zespołem, który łączy doświadczenie Bidena z dynamizmem znacznie młodszych

jego współpracowników, mających zająć kluczowe funkcje, takich jak Blinken czy Jake Sullivan. Jest to zespół będący w stanie grać twardo, z wyobraźnią, niebojący się posunąć, do których nie byłoby zdolni ich poprzednicy. W tym sensie, jak dowodzi Trenin, utożsamianie polityki Bidena z dorobkiem Obamy może być błędem. Jego zdaniem Waszyngton może nawet pójść na zawarcie taktycznego „zawieszenia broni” z Pekinem po to, aby po wzmocnieniu NATO i odbudowaniu więzi sojuszniczej zwiększyć presję na Rosję.

Jeśliby z polskiej perspektywy prezydentura Joego Bidena oznaczała wojskowe wzmocnienie NATO na Wschodzie, a w polityce wobec Moskwy zwycięstwo skrzydła europejskich polityków, którzy podobnie jak Warszawa i państwa bałtyckie uważają, że Rosja najlepiej rozumie dialog z pozycji siły, to niezależnie od nieuchronnych napięć i sporów na innych polach byłoby to dla naszego kraju korzystne.

K

ULTIMATY

W czasie, w którym większość artystów dostała od losu mata, Anya Taylor-Joy wypracowała sobie spektakularne wejście czy raczej serialowo-szachowe otwarcie – „Gambit królowej”. Jest w nim kluczową figurą

Mistrzowskie otwarcie



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Jej zagranie było (i jest) iście królewskie. Nie przebiły go nawet kreacje monarszego hitu „The Crown”, w którym obsada mierzy się z legendami brytyjskiego dworu. W „Gambicie królowej” Anya Taylor-Joy – jako genialna Beth Harmon, panująca nad światem szachownic, ale z trudem radząca sobie w realnym świecie – tworzy własny mit.

NIEŁATWE FIGURY

Nic dziwnego, że od dnia premiery na Netflixie rośnie grupa widzów zachwyconych serialem, przede wszystkim jednak fenomenalną kreacją 24-letniej aktorki. Równie przekonującej zarówno w roli nastolatki, dla której szachy (odkryte w sierocińcu, w którym znalazła się jako dziecko po tragicznej śmierci matki) stały się wentylem bezpieczeństwa, jak i wchodzącej w życie młodej kobiety.

Tu jej bohaterka – partia po partii – buduje pozycję mistrzyni, równocześnie oddając kolejne zwycięstwa w walce z uzależnieniem od środków uspokajających, którymi faszeringowano ją w sierocińcu. Nie ma też mocy, by zerwać z alkoholem odkrytym wraz z wejściem na świat szachowej rywalizacji.

Na potrzeby serialu aktorka przeszła ekspresową naukę poruszania się po białych i czarnych polach. W jednym z wywiadów zdradziła: – Miałam pomysł, że nauczę się fantastycznie grać w szachy i to będzie moja supermoc już na zawsze, ale rzeczywistość wyglądała tak, że (...) właściwych sekwencji uczyłam się pięć minut przed (ujęciem), bo nie byłabym w stanie rozegrać 350 gier z pamięci.

NA WŁASNYCH WARUNKACH

Postać Beth Harmon sprawiła, że grająca ją Anya Josephine Marie Taylor-Joy – bynajmniej nie ekranowa debutantka – stała się topowym nazwiskiem.



Fot. Phil Bray/Netflix

Oryginalna uroda, w której kluczową rolę grają szeroko rozstawione, wyraziste oczy, nie pozwala pomylić jej z innymi aktorkami. Jednocześnie Anya łączy w sobie cechy uwielbianych przez widzów, gwiazd: Reese Witherspoon, Amy Adams czy Emmy Stone. Dzięki takim rolom jak w „Gambicie królowej” ma szansę powtórzyć ich sukces. Ale na własnych warunkach.

Jej plastyczna twarz – burząca kanony klasycznej urody – to efekt mieszanki krwi. Ze strony matki – afrykańsko-hispańsko-angielskiej i ojca – szkocko-argentyńskiej.

I choć właśnie niebanalny wygląd zwrócił na nią uwagę łowcy modelingowych talentów, sama Anya, nawet po rolach w „Emmie” czy „Gambicie”, nie do końca akceptuje swoją fizyczność. W rozmowie z „The Sun” stwierdziła: – Nigdy nie uważałam się i nadal nie uważam za atrakcyjną. Moim zdaniem wyglądam raczej dziwnie.

OD JOLIE DO CHARLIZE

Urodziła się w Miami (w 1996 r., jako najmłodsza z sześciorga rodzeństwa), ale dzieciństwo podzieliła między dwa kraje – Argentynę i Anglię. Nim skończyła sześć lat, mówiła tylko po hiszpańsku. Rodzinna przeprowadzka do Londynu przyniosła jej (także) językową rewolucję.

W szolbiznesie znalazła się po tym, jak przedstawiciel agencji modowej wyłowił ją z tłumy w centrum handlowym. Zaczęła brać udział w sesjach zdjęcio-

wych i kampaniach reklamowych. Jako 14-latką przeznaczyła zarobione pieniądze na przeprowadzkę do Nowego Jorku. Dwa lata później definitywnie porzuciła szkołę dla aktorstwa.

Nie udało się jej stanąć u boku Angeliny Jolie w filmie „Czarownica” (2014; Aurorę zagrała tu Elle Fanning), jednak już w kolejnym roku, za tytułową postać w „Czarownicy: Bajce ludowej z Nowej Anglii” (2015) została doceniona na festiwalu Sundance.

Proponowano jej główne role w... thrillerach (m.in. „Morgan” Luke’a Scotta czy „Split” M. Nighta Shyamalana, 2016). Producenci dostrzegli też jej potencjał w produkcjach kostiumowych. Na planie „Składowskiej” (oryg. „Radioactive”, 2019) Marjane Satrapi zagrała postać Ireny Curie, ale wcieliła się też m.in. w młodzieńczą miłość byłego prezydenta Baracka Obamy („Barry”, 2016).

Wyrzucając światowy lockdown, w lutym tego roku pojawiła się na dużym ekranie jako tytułowa „Emma”. Przed kolejną falą pandemii w sierpniu do kin trafił horror „Nowi mutanci”, przede wszystkim jednak pod koniec października zaczęła podbijać małe ekrany jako główna postać miniseriale według powieści Waltera Tevisa. I nie zamierza na tym poprzestać.

Jednym z kolejnych filmowych rozdań, do których szykuje się w tym, wyjątkowo dla niej hojnym „czasie w koronie”, jest prequel widowiska „Mad Max: Na drodze gniewu”. W części zatytułowanej „Furiosa” zagra młodą wersję postaci stworzonej przez Charlize Theron. ▲

RMF_{FM}

Numer 1

wśród opiniotwórczych
stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Najważniejsze słowa padają o **8:02** w RMF FM



**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**

2 615 000
słuchaczy

**Poranna
Rozmowa
RMF**

1 201 000
słuchaczy
Gość Radia Zet



421 000
słuchaczy
**Salon Polityczny
Trójki**



281 000
słuchaczy
**Gość Poranka
(Tok FM 7:45)**



Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat

Może ostatni raz dostałem czas

Papuga jest martwa, nie żyje, odwalila kitę, odeszła na spotkanie ze swoim stwórcą, spoczywa w pokoju, wacha kwiatki od spodu, strzeliła w kalendarz i śpiewa teraz w anielskim chórze, opuściło ją życie i nic z tym nie zrobicie.

Za nami pierwsza niedziela adwentu. Stary rok umarł i nie żyje. Wyciągnął kopyta, odszedł na wieczną wachtę, kipnął, gryzie ziemię, przeniósł się do wieczności. Dla katolików zaczął się nowy rok. Cztery świece. Czas oczekiwania.

Jak Aborygeni żyjemy w kolistym czasie. Adwent, Boże Narodzenie, Wielki Post, Niedziela Zmartwychwstania – historia zbawienia. Wydarzenia z życia i śmierci rabiego Joshui z Nazaretu.

A papuga jest martwa, nie ma już czasu na nic. My mamy jeszcze czas. Kolejny poranek. Kolejny rok. To najwartościowsza waluta, jaką dysponujesz.

I poganie mają swoją cykliczność. Bezwładną, statyczną. Kręcą się w kółko. Młyńskie koło karmy, kolejne pętle cierpienia bez odkupienia. Fatum. Bez-nadzieja.

Nasza cykliczność ma strzałkę czasu. Skoro Wszechświat miał wielkie bum, będzie miał i koniec. Czekamy na wielki finał, na ostateczne przyjęcie. Nasza cykliczność nie jest jak pętla, ale jak rozciągnięta sprężyna. Zataczamy koła od adwentu do adwentu, ale jednocześnie przybliżamy się do kresu czasu. Kiedy na ziemi zakręluje wieczność. Nieprzemijalność. Bezczas.

To mój 59. adwent. 25. przeżywany świadomie. Czy moja sprężyna będzie miała 60 czy 80 obrotów, jaka to różnica? Może dziś ostatni raz dostałem czas. Tylu ludzi już się rano nie obudzi.

Przychodzili do Jezusa po zdrowie, słuchali Go przy okazji. Większość puściła Jego słowa mimo uszu. Wszyscy już umarli. I bogaci, i rządzący wszystkimi

wokół, i ci na świeczniku, i ci syci wrażeń aż po paraliż synaps, wszyscy już nie żyją. Jakbym czytał o sobie, jestem swoim największym wrogiem. Co jakiś czas się budzę. Znowu powtarzam stare błędy. Którędy?! I jak? Życie to fura, komóra, armatura? Nic z tego, kolego, nie tędy droga, moja droga. Szczęście jest w sercu Boga. Inaczej sąd, odpłata. Pięć lat ognia jak dla brata.

Jesteśmy faryzeuszami. Słyszelibyśmy dziś od Jezusa dokładnie to co oni. Optymalizujesz podatki, a to w swej istocie zwykła kradzież. Akceptujesz antykoncepcję – bo ileż można mieć dzieci, masz w sobie przyzwolenie na życie syna na kocią łapę – przecież musi się wyszumić, twoja córka żyje z dziewczyną, nie mów: „Co ja mogę na to poradzić”, tylko zacznij radykalnie pościć i rzuć się w modlitwę.

Nieprzebaczenie krzywdzicielowi, szukanie źdźbła u bliźniego z belką we własnym oku, by się poczuć lepiej, chowanie urazy, żywienie chorych emocji, dzielenie włosa na czworo, żeby wyszło na nasze, zachłystywanie się modlitwą na pokaz, klęczenie pod figurą, żeby ukryć diabła za skórą – Bóg nienawidzi tego wszystkiego, jest Mu to obrzydliwe.

To, co z twojego wnętrza wychodzi, zadowolici może tylko świnię. Życie rozpada ci się w palcach, jak suchy liść, jak próchno fundamenty twego domu. Jest przyczyna i skutek. Bóg mówi i przez nieszczęścia, inaczej nic nie słyszysz.

Tuliłaś się i zawsze dostawałaś po twarzy. Każdy cię zawiódł, każdy zdradził, na koniec traktował jak szmatę. Z grzechu w grzech idziesz, przyzwalaś sobie na przestępstwa, za chwilę będziesz zdolny do zbrodni. W niepokoju i smutku żyjesz od lat. I nic nie chcesz rozumieć. Tracisz jedna po drugiej ważne dla ciebie relacje. Odszedł facet, za chwilę zaczną odchodzić córki. Kłoda



ROBERT TEKIELI

drewna wyciągnięta z ogniska, jeszcze czas jakiś się żarzy. Potem ciemniej, w mroku się pogrzeża.

Bóg mówi: odciąłem cię od prądu, zabrałem ikrę i marzenia. Widzisz tylko ciemność. Komfort, komfort cierpienia, komfort grzechu. Beznadzieja. Ślepotą i beznadzieją. Sam wiele lat kręciłem się w kółko. Doskonale to rozumiem.

Władza, bezpieczeństwo, powodzenie, sukces, podziw. Serce człowieka ciągnie go do nieważnych rzeczy. Sam latami tkwiłem w syfie i Bóg mnie z bagna wyciągnął. Z kloaki jestem, mam prawo mówić to, co mówię.

Jezus nie brzydzi się kimś, kto nienawidzi, kto żyje źle krzywdzicielowi, kto pije i niszczy wszystkich wokół, ćpa, ucieka w cyberświat, puszcza się, zdradza, kradnie, oszukuje, bo jest słaby, bo szuka przytulenia i bezpieczeństwa. Jezus wziął na siebie te wszystkie nasze słabości, by trędowatego uzdrowić, odcierniał jego cierpienie.

Po nocach wyjesz albo masz już serce jak skała. Trzeba być twardym, nie „miętkim”. Nie ma nic za darmo. Bogu w ten sposób mówisz, że kłamie. Bo wszystko dobro w twoim życiu pochodzi od Niego.

Bóg ma swoje pomysły. Gdyby wiara była wiedzą, skąd wzięłoby się zaufanie? Bez zaufania nie ma relacji. A relacja to miłość. Zawsze dzięki pomocy Słowa możesz wszystko zacząć od nowa. Właśnie rozpoczął się adwent. Może ostatni raz dostałeś czas.

Dwa tygodnie temu na platformie HBO GO odbyła się premiera drugiego sezonu serialu „*Mroczne materie*”. Produkcja HBO i BBC oparta jest na trylogii brytyjskiego pisarza Philipa Pullmana o tym samym tytule. Jest ona uważana z niezrozumiałych dla mnie względów za współczesne arcydzieło gatunku porównywane z „*Władcą pierścieni*”.

Antychrześcijański wydźwięk skierowanych do dzieci powieści Pullmana spotykał się od lat z mocną krytyką. Potężną kampanię sprzeciwu wywołał też kilkanaście lat temu film „*Złoty kompas*”, również oparty na wspomnianej trylogii. A miał on w stosunku do serialu „*Mroczne materie*” mocno złagodzone antykatolickie przesłanie, natomiast ten ostatni jest wierny powieściom Pullmana i wprost atakuje Kościół.



✗ Niewarte

Serial opowiada o ratującej wszechświat 12-letniej dziewczynce. Lyra Belacqua jest synonimem Nowej Ewy. Wyrusza w podróż, by poznać swoje przeznaczenie. Wojna pomiędzy światami, w której uczestniczy, ma doprowadzić do upadku Królestwa Niebieskiego i utworzenia Republiki. Mówiąc wprost, Lyra ma uwolnić walczące światy od wiary, od ucisku, jakim jest posłuszeństwo wobec Kościoła (nazwanego Magisterium). Ojciec bohaterki, lord Asriel, już wcześniej rzucił mu wyzwanie i czczonemu przez niego Autorytetowi, który w miarę rozwoju akcji okazuje się oszustem i kłamcą. Natomiast pozytywnymi bohaterami są w serialu „urocze pod każdym względem dajmony”.

Serial pokazuje, że Boga nie ma, a Kościół to największe zło. Biskupi to bogaci mordercy, księża zajmują się polityką, uciskają zwykłych ludzi. Dobre są natomiast czarownice, a magia jest działaniem pozytywnym. Serial manipuluje symbolami biblijnymi, odwracając ich znaczenie, i oswaja z rzeczywistym duchowym złem. „*Mroczne materie*” są jedną z najchętniej obecnie oglądanych propozycji HBO GO.

fantasy, przygodowy, USA / Wielka Brytania, premiera 2. serii 17 listopada 2020



✓ Warte

Na HBO GO mogę polecić za to „*Śniadanie u Tiffany'ego*” z legendarną Audrey Hepburn. Tajemnica kobiecości: wdziek dziecka i gorycz doświadczonych kobiety. Idealniedojrzałych chłopaki: dziewczyna na telefon. Jednak Audrey Hepburn unieważnia wszystkie te oczywiste zarzuty. A do

tego oscarowa ścieżka muzyczna z niesamowitą „*Moon River*”...
reż. Blake Edwards, melodramat, USA, premiera 5 października 1961

Baśniowa kraina pogrążona w chaosie, czyli animowany serial „*Ever After High*” produkcji Netflix. Dzieci najbardziej znanych bajkowych postaci chodzą do szkoły.

Royalsi to potomkowie dobrych bajkowych bohaterów, a Rebelsi złych. Jedni akceptują swoje baśniowe przeznaczenie, drudzy chcieliby napisać je od nowa. Zabawny pomysł wyjściowy, jednak realizacja netflixowa. W bajce dla małych dzieci dobrem często nazywane jest tu zło i na odwrót. Bajkowe czarne charaktery kojarzone z najgorszym złem są to istoty dobre, po prostu pokrzywdzone przez autorów baśni czy niesprawiedliwy los. Zło nie jest potępiane. Czy ktoś wybierze dobrą, czy złą ścieżkę, to nie jest tak istotne, najważniejsze, że miał wybór. Córki Królowej Śnieżki pocałunkiem nie budzi księża, tylko jego siostra... Firma Mattel sprzedaje lalki z postaciami tej bajki.



✗ Niewarte

Netflix pokazuje też film Woody'ego Allena z 2019 r. „*W deszczowy dzień w Nowym Jorku*”. Film słodki, uroczy, bardzo przyjemny i klimatyczny.

Opowiada o parze zakochanych młodych studentów, którzy przyjeżdżają na weekend do Nowego Jorku. Nie jestem fanem Allena. Trudno mi traktować serio opowieści o relacjach męsko-damskich faceta, który poślubił swą adoptowaną 18 lat wcześniej córkę. Zauważę więc tylko, że bohaterka tej romantycznej nad wyraz komedii mówi do mężczyzny, którego właśnie przypadkiem poznała, że lepsza od niego jest tylko pigułka „dzień po”. No i na koniec zadam zagadkę. Co zbliżyło głównego bohatera filmu Allena do matki, dystygnowanej, bogatej damy, z którą chłopak był wiecznie pokłócony? Jej zwierzenie, że była kiedyś dziwką. Pasuje jak ulał do moralnego uniwersum Netflix.

reż. Woody Allen, komedia, USA, premiera 26 lipca 2019



✗ Niewarte

Robert Tekieli
Polskie Radio



Braterstwo broni



Nie tylko nominowany do Oscara „Twój Vincent” Doroty Kobieli i Hugh Welchmana dowiódł, że w animacji Polacy są w światowej czołówce. Nasi rodacy od lat pracują przy najlepszych animacjach i wytyczają nowe ścieżki w tym filmowym gatunku. Serial „The Liberator” jest tego najlepszym dowodem.

Miał to być tradycyjny serial o 157 Pułku Piechoty, który wyzwalał Europę z niemieckiego uścisku. Budżet opowieści opartej na książce Alexa Kershawa wyniósłby grubo ponad 100 mln dol., więc zdecydowano się na przedstawienie historii dzielnych amerykańskich żołnierzy za pomocą animacji. I to jakiej! Za nowatorską i rewolucyjną technologią Trioscope Enhanced Hybrid Animation, która polega na połączeniu CGI z grą aktorów, odpowiada mieszkający od lat w Kalifornii Polak Grzegorz Jonkajtys. Technika zastosowana przez twórców „The Liberator” z jednej strony daje poczucie obcowania ze światem animacji, ale z drugiej zapewnia realizm pozwalający przenieść się na fronty II wojny światowej w Italii, Francji, Belgii i w końcu w Niemczech.

Nie daje nam „The Liberator” wiele więcej niż klasyczne już seriale wojenne, jak np. „Kompania braci” czy „Pacyfik” od producenckiego duetu Spielberg/

Hanks. Serial Netflixa nie odkrywa też kart mocniej niż „Szeregowiec Ryan”, dzięki któremu moda na kino wojenne została w latach 90. XX w. przywrócona. Ten serial daje nam za to coś, co zostało w ostatnich latach przykryte przez transgresyjne i rewizjonistyczne kino wojenne w duchu „Bękartów wojny”.

„The Liberator” przywraca klasyczną opowieść o cnocie męstwa i poświęcenia dla brata na polu bitwy. Czteroodcinkowy serial opowiada o człowieku, który już dawno powinien „dostać” swój film. Felix Sparks (Bradley James) to postać ikoniczna i pasująca do klasycznych hollywoodzkich wojennych filmów z lat 50. Przystojny, prawy i odważny – mógłby go zagrać Gregory Peck albo Burt Lancaster. Przejął złożony z wyrzutków pluton rodem z „Parszywej dwunastki”, którego nie opuścił do końca wojny, mimo że odniesione rany pozwalały mu na powrót do USA. W słynnej bitwie w Anzio wykazał się książkowym wręcz heroizmem. Po wojnie ukończył prawo i już w 1952 r. został sędzią Sądu Najwyższego Kolorado. Wrócił do armii na krótko podczas kryzysu kubańskiego w 1962 r.

„The Liberator” jest brawurowo zrobiony batalistycznie, ale ma też w sobie amerykańskiego ducha multikulturalizmu w jego najlepszym wydaniu. Sparks

był dowódcą 45th Infantry Division z Oklahoma City. „Oklahomianie” byli złożeni z Indian, Meksykanów, czarnoskórych, ale też Teksańczyków. Choć na południu USA stosowano w tym czasie haniebną segregację rasową powodującą, że czarni i biali żołnierze nie mogli się razem napić piwa, to na placu boju byli braćmi. Jest ten serial politycznie poprawny, ale w tym pozytywnym sensie. Pielęguje egalitaryzm klasowy i rasowy, który przecież leżał u podstaw Stanów Zjednoczonych Ameryki.

„The Liberator” nie pomija też tego, „oklahomianie” byli oskarżani o zbrodnie wojenne. W trakcie wyzwania obozu koncentracyjnego w Dachau dokonali samosądu na nieuzbrojonych niemieckich żołnierzach. Próbowal ich powstrzymać Sparks. Potem odpowiadał bezpośrednio przed generałem Pattonem, co zostało odpowiednio przypiętym patosem w finałowym odcinku. Co ciekawe w 45th Infantry Division służył Frank Sheeran, znany jako Irlandczyk, którego w filmie Martina Scorsese pod tym tytułem zagrał Robert De Niro. To ten późniejszy mafijny cyngiel w swoich wspomnieniach pisał o samosądach dokonywanych przez Amerykanów na niemieckich nazistach.

„The Liberator” to kawał starodawnego, idealnie patetycznego i do bólu amerykańskiego kina wojennego, które jest podane w zdumiewającej animacji, dowodzącej, że można dziś dosłownie ożywić komiks. Jest to jednak przede wszystkim opowieść o braterstwie broni i ofierze, jaką zwykli ludzie ponoszą w wojnach wywołanych w dalekich od pól bitewnych gabinetach. Wzruszająca i podnosząca na duchu opowieść, oddająca cześć mniejszościom etnicznym walczącym w II wojnie światowej w mundurach państwa, które w domu ich dyskryminowały. Takie produkcje przywracają ich pamięć, co widać było po premierze „Szyfrów wojny” Johna Woo z 2002 r., po której George W. Bush odznaczył rdzennych Amerykanów medalami honoru.

„THE LIBERATOR”
DOSTĘPNY NA NETFLIXIE



Internet

Skoro już jesteśmy przy kinie wojennym, to mam jeszcze jedną propozycję. Na HBO GO pojawił się serial „Dolina Łez” o wojnie Jom Kippur, prowadzonej w październiku 1973 r., gdy państwa arabskie pod wodzą Egiptu i Syrii napadły na Izrael. Wygrana po 20 dniach wojna wpisała się w mitologię założycielską Państwa Izrael. Obok wojny sześciodniowej z 1967 r. Jom Kippur jest elementem tożsamości Izraela.

W ostatnich latach dostaliśmy wiele ciekawych produkcji pokazujących pracę izraelskiego wywiadu („The Spy”, „Fauda”, „Tehran”). Nie są to produkcje rewizjonistyczne, ale nie romantyzują też pracy żydowskich służb, jak skądinąd znakomite „Monachium” Spielberga. „Dolina Łez” idzie inną ścieżką. Nic dziwnego. Niektórzy historycy zarzucają dziś, że wywiady izraelski i amerykański zlekceważyły sygnały o możliwym uderzeniu Syryjczyków i Egipcjan. Zwracają uwagę, że uskrzydleni zwycięstwem w wojnie sześciodniowej Izraelczycy nie wierzyli, że ktoś może chcieć ich zaatakować. Szczególnie w jedno z najważniejszych świąt żydowskich. Izrael wygrał, mobilizując w ciągu trzech dni całe lotnictwo i wsparty bronią od administracji Nixona pokonał po raz kolejny arabską koalicję Syrii, Egiptu i Iraku, liczącą przytłaczającą liczbę 400 tys. żołnierzy. Izrael wygrał nie tylko dzięki pomocy Amerykanów, lecz także wyszkoleniu żołnierzy i duchowi walki. „Dolina Łez” unika jednak tonów patetycznych.

Choć serial mówi o politycznej odpowiedzialności za prowadzenie wojny w gabinecie Goldy Meir, to podobnie jak „The Liberator” skupia się na losie zwykłych żołnierzy na froncie. Jednocześnie „Dolina Łez” wychodzi ponad czystą opowieść o demonach wojny i dotyka kwestii klasowej oraz nawet rasowej. I znów mamy podobieństwo do serialu „The Liberator”. Nie jest to bowiem na siłę wklepywana agenda ideologiczna, ale szczerze i potrzebne dotknięcie kwestii podziałów w Izraelu. Na wojnę patrzymy oczami kilku bohaterów, którzy reprezentują różne odłamy izraelskiego społeczeństwa.



Bez mitologizacji



Internet

Mamy więc francuskiego Żyda – dziennikarza celebrytę – który szuka na froncie syna, rekruta powracającego na plan boju po aresztowaniu w cywilu, mamy oficera armii, która nie chce porzucić pola walki mimo rozkazów dowództwa, a także najciekawsze moim zdaniem postacie – szyfranta wywiadu, który jako jedyny przewidział, że nastąpi zaraz atak, oraz czolgiście reprezentującego izraelski odłam Czarnych Panter. Ten ostatni wątek jest dziś bardzo ciekawy. Do Izraela przybyło 10 lat temu wielu etiopskich Żydów (Felaszowie), którzy zderzyli się z formą dyskryminacji. Mają problemy natury religijnej (duża ich część to chrześcijanie) i socjalnej. Mieszkają w gettach, poziom analfabetyzmu jest u nich wyższy niż u białych Żydów, co uzależnia ich od pomocy socjalnej. Wątek klasowo-rasowy „Doliny Łez” uniwersalizuje wojenną opowieść.

Reżyserem serialu jest Yaron Zilberman, który w 2012 r. nakręcił w USA poruszający dramat „Późny kwartet” z Philipem Seymourem Hoffmanem,

Catherine Keener i Christopherem Walkenem. Izraelski reżyser dowiódł tym filmem, że jest twórcą empatycznym i potrafi pokazać najlepsze strony ludzkiej natury. Nie inaczej jest w „Dolinie Łez”. Postacie są wyraziste i dobrze skonstruowane. Zilberman radzi też sobie bez oszałamiającego budżetu. Choć widać w plenerowych scenach batalistycznych użycie komputerowych efektów, to już w scenach bitew w tunelach i na małym obszarze dostajemy klaustrofobiczny i realistyczny obraz wojny i łączącego się z nią fanatyzmu, utratą ludzkich zahamowań, ale też bohaterstwa i poświęcenia.

„Dolina Łez” jest pozbawiona mitologizacji i patosu, których izraelskie produkcje są pełne przez budowanie państwowości na syjonizmie. Jest to więc serial pod pewnymi względami unikatowy. Na dodatek zdjęcia do serialu zostały nakręcone w miejscach, w których odbywały się działania wojenne. Poruszający i brutalny obraz wojny.

„DOLINA ŁEZ” DOSTĘPNA NA HBO GO

Sławni Polacy,

którzy zmienili świat

Światło kręci światem

Nazywano go „polskim Edisonem”, ale to za mało. Pracował nad telewizją, barwną fotografią i filmem. Wynalazł też kamizelkę kuloodporną. Jak większość geniuszy, chciał również latać

Jan Szczepanik urodził się w Rudnikach k. Mościsk 13 czerwca 1872 r. w ubogiej, w połowie chłopskiej rodzinie. Jego dzieciństwo i wczesna młodość związane były jednak z Krosnem i to miało całkiem spore znaczenie dla jego dalszych losów. Przede wszystkim dlatego, że był to rejon, w którym większość ludności trudniła się chałupniczo tkactwem – w jego domu również warsztat zajmował jedno całe pomieszczenie, można więc założyć, że od najmłodszych lat miał spore pojęcie o tym rzemiośle, a także, co podobno interesowało go bardziej, mechanice urządzeń tkackich.

Stało się to jego obsesją, chociaż niejedyną. Po skończeniu szkół i krótkim epizodzie pracy jako gimnazjalny nauczyciel przeniósł się do Krakowa i skupił na technologicznym pożenieniu trzech swoich pasji: tkactwa, fotografii oraz optyki. Nie trzeba było wiele czasu, by wszystkie te dziedziny udało mu się połączyć w serii wynalazków – tzw. elektrycznej metodzie fotograficznego kopiowania obrazów podczas produkcji tkanin. Brzmi to skomplikowanie i istotnie jest procesem złożonym. Dość więc powiedzieć, że dzięki pomysłom Szczepanika proces tkania został kilkudziesięciokrotnie skrócony, sam efekt był

zaś znacznie precyzyjniejszy i tańszy niż w przypadku wykorzystywania powstałej blisko sto lat wcześniej maszyny Josepha Marie Jacquarda. Choć gdyby żył do dziś, być może Jacquardowi bardzo by zazdrościł – to właśnie „maszyna żakardowska” umożliwiła w przyszłości powstanie dzisiejszych komputerów.

W swoich czasach nie mógł jednak Szczepanik narzekać. Jego wynalazkiem zachłysnął się świat. „Aby z wzoru otrzymać tkaninę w pożądanym wymiarze starą metodą, wykonawca zużywa na to około pięciu tygodni czasu i kosztuje to do 16 funtów szterlingów. Tymczasem według systemu Szczepanika wykonuje się w ciągu pół godziny i kosztuje około 15 szylingów” – pisał William Gamble, redaktor naczelny brytyjskiego wydawnictwa Penrose's Pictorial Annual.

ZACHWYT MARKA TWAINA

W 1898 r. Szczepanik był już osobą powszechnie znaną. Jego kariera biznesowa okazała się nie mniej błyskotliwa niż wynalazki. Mimo pozorów roztrągnięcia świadomie pracował tylko nad tymi udoskonaleniami technicznymi, które mogłyby zainteresować przemysł, a w ten w ówczesnej Galicji dużo inwe-



Fot. NAC

stowano. Dla swoich pomysłów dotyczących tkactwa udało mu się np. pozyskać wsparcie Ludwika Kleinberga, zamożnego właściciela krakowskiego przedsiębiorstwa fotograficznego. Dzięki niemu w 1896 r. Szczepanik opatentował swoją metodę tkacką w Niemczech i Wielkiej Brytanii, żegnając się na zawsze z troską o byt materialny. Mało tego, wspólnie ze swoim sponsorem założyli firmę Société des Inventions Jan Szczepanik & Cie, urządzając przy okazji eksperymentalną halę fabryczną, w której Szczepanik udoskonaliał swoje wizje.

Firma bardzo dbała też o promocję pomysłów Szczepanika – o jego metodzie sporo pisała prasa nie tylko na ziemiach polskich i w Austrii, ale też w odległej Ameryce. Fotoelektryczna metoda Polaka zainteresowała choćby słynnego amerykańskiego pisarza Marka Twaina, który planował na niej zbiec majątku w USA. Do współpracy ostatecznie nie doszło, ale między Szczepanikiem i Twainem nawiązała się trwała przyjaźń. Wynalazca utkał i przesłał pisarzowi gobelin z jego portretem wykonanym według szkicu ołówkiem. Pisarz się zrewanżował, publikując w magazynie „Century” zabawne opowiadanie „The Austrian Edison Keeping School Again” o perypetiach młodego wynalazcy

PARTNER DODATKU



porzucającego pracę w szkole, wzorowane właśnie na postaci Szczepanika. Jego postać przywołał jeszcze raz, sześć lat później, w opowiadaniu „From the London Times of 1904”. Określenie „austriacki Edison”, stosowane wymiennie z „polskim” lub „galicyjskim”, przylgnęło do Szczepanika na dobre.

FUTURYSTYCZNE WIZJE

To, że nie był to pusty przydomek, Szczepanik udowodnił już wkrótce, wymyślając... telewizję. Oczywiście nie on pierwszy i nie ostatni – telewizja jest tym wynalazkiem, który miał wielu ojców, a pierwsze jej próbki pojawiły się już 1848 r. w Anglii. Jednak wkład Szczepanika w dziedzinę przesyłania obrazu i dźwięku na odległość był na tyle duży, że jego nazwisko znalazło się na trzecim miejscu w gronie jego twórców, w książce amerykańskiego historyka telewizji Alberta Abramsona „Electronic Motion Picture. A history of the Television Camera”. Kiedy w 1897 r. opatentował telektroskop w Anglii, światowa prasa rozpisywała się o nim szeroko. Polska również. W tygodniku „Światło” można było wówczas przeczytać: „Dzięki połączonemu użyciu elektroskopu i telefonu będziemy mogli, nie wychodząc z domu, słuchać opery dawanej w teatrze i przyglądać się akcji toczącej się na scenie”.

Na realizację tej futurystycznej wizji trzeba było czekać jeszcze kilkadziesiąt lat, niewątpliwie jednak Szczepanik wyraźnie skrócił czas oczekiwania na pojawienie się telewizora w niemal wszystkich domach świata. Szybsze zastosowanie znalazły badania Szczepanika nad fotografią barwną. Nawiasem mówiąc, warto zwrócić uwagę, że wszystkie swoje wynalazki Polak tworzył jednocześnie i wszystkie one miały związek ze światłem i kolorem. Telektroskop powstawał równoległe z fotoelektryczną metodą tkacką. Podobnie rzecz się miała z jego pierwszym aparatem fotograficznym, wykonującym zdjęcia barwne, który opatentował już 1898 r. I tak samo z filmem barwnym, nad którym prace kontynuowali jego synowie Zbigniew i Bogdan.

„Dzieło Szczepaników jest wspólnym zwycięstwem nad niesłychanymi trudnościami. Co do mnie, jestem wprost oczarowany. Wiedząc, jako fa-

chowiec, ile tonów trzeba użyć, żeby wydobyć choć w przybliżeniu prawdę tego, co naszym oczom ukazuje natura, jestem zdumiony, że wynalazek osiągnął barwę w tak niesłychanej skali (...) Moim zdaniem problem kinematografii kolorowej wynalezionej przez Szczepaników rozwiązuje ją w doskonałości dotąd nigdzie na świecie nieosiągniętej” – pisał Wojciech Kossak.

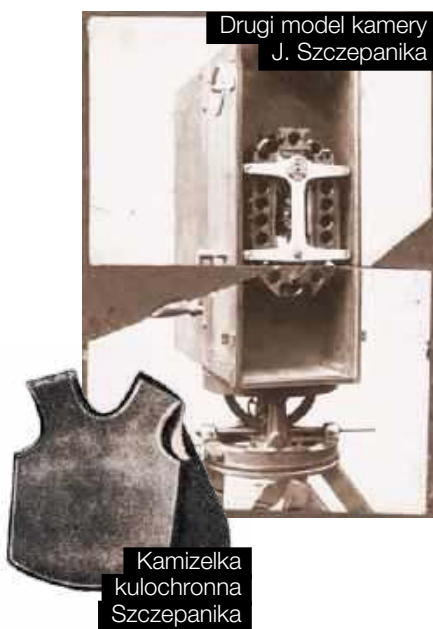
PRZEKLEŃSTWO TERRORYSTÓW

Jan Szczepanik pracował nad światłem i kolorem, ale nigdy nie zapomniał, że punktem wyjścia do tych badań był przemysł tkacki. I właśnie z tkaniną związany był kolejny z jego wynalazków, opatentowany niejako na marginesie innych badań, ale ostatecznie mający spory wpływ na losy ówczesnego świata. Mowa tu o kamizelce kulooodpornej, która w czasach wybuchających spontanicznie w Europie rewolucji, a zwłaszcza rozkwitającego na niespotykaną wcześniej skalę terroryzmu, była bezcennym nabytkiem dla reprezentantów starego porządku świata. Jedną z pierwszych opracował polski zakonnik z Chicago, Kazimierz Żegleń dla tamtejszej policji, ale okazała się zbyt słaba. Żegleń nie mógł znaleźć właściwego rozwiązania, zainteresował więc problemem Szczepanika, który, rzecz jasna, natychmiast podjął wyzwanie. Opracowana wkrótce przez niego kamizelka powstrzymywała nawet kule karabinowe Manlichera, przebijające bez problemu 12-milimetrową blachę z odległości 100 m.

Kiedy kamizelka przeszła odpowiednie testy w obecności przedstawicieli wojska, Szczepanik rozpoczął jej produkcję, i to ze sporym rozmachem. Oprócz prostych kamizelek wypuścił na rynek kaftany, pełne uniformy, a nawet osobne tkaniny do obijania powozów i innych pojazdów. Zławsza te ostatnie potwierdziły wkrótce swoją skuteczność w praktyce. 31 maja 1906 r. w Madrycie anarchista Mateu Morral rzucił z balkonu przy Calle Mayor skonstruowaną przez siebie bombę w przejeżdżającą właśnie karetkę, w której

znajdował się król Alfons XIII Burbon oraz jego małżonka Wiktoria Eugenia Battenberg. Eksplozja była potężna. W jej wyniku zginęło 28 osób, a 40 zostało rannych, nie wspominając o powybijanych w okolicy szyb i nadkruszonych budynkach. Para królewska, choć znajdowała się w samym centrum wybuchu, nie doznała nawet zadraśnięcia. Jej karetę obita była tkaniną Szczepanika, która powstrzymała siłę eksplozji.

Na tym nie kończy się bynajmniej lista wynalazków Edisona z Galicji. Eksperymentował z telegrafem bez drutu, stworzył samoczynny regulator ciągu kominowego, a nawet – choć to może za dużo powiedziane – pierwowzór dzisiejszego druku 3D, tzw. fotosculptor. Interesował się także lotnictwem, ale nigdy nigdzie nie poleciał, podobnie jak nie zobaczył współczesnej technologii robienia barwnych odbitek zdjęć. Choć niewiele go od nich dzieliło. Wszystko to powstało w latach 30. XX w., on zaś zmarł cztery lata przed rozpoczęciem tej dekady, 18 kwietnia 1926 r.



Ziemia to za mało

W dwudziestoleciu Polska była krajem wertepów. Nic zatem dziwnego, że to właśnie Polak wymyślił pojazd do jeżdżenia po Księżycu. Kim był Mieczysław Bekker, twórca lunarmechaniki?

Jarosław Iwaszkiewicz wybrał się kiedyś z przyjaciółmi na wycieczkę samochodem. Było to wydarzenie, bo w międzywojennej Polsce samochody dałoby się pewnie policzyć na palcach. To, co później opisał, przypominało raczej ekstremalny rajd po kamieniołomie niż letnią wycieczkę, bo oprócz tego, że nie było w Polsce samochodów, nie było też normalnych dróg. Zawalające się mostki nad potokami, piaszczyste ścieżki, urywające się nagle, złożone głównie z wertepów, szosy...

Wszystko to sprawiało, że podróżowanie po Polsce było wyczynem karkołomnym.

OD TERRAMECHANIKI DO LUNARMECHANIKI

Mieczysław Bekker miał wtedy ok. 20 lat i zaczynał studia w Szkole Podchorążych w Modlinie. Był zdolnym studentem bardzo głodnym wiedzy. Kiedy więc ukończył modlińską uczelnię, podjął kolejne studia na Politechnice Warszawskiej, w międzyczasie odbywając staż we francuskiej fabryce Renault. Być może właśnie doświadczenia wyniesione z polskich dróg sprawiły, że od początku pracował nad pojazdami mającymi się poruszać w szczególnie trudnym terenie. Był w tym dobry. Bezpośrednio po studiach pracował dla Dowództwa Wojsk Pancernych, dla którego konstruował m.in. takie pojazdy jak Fiat 508 „Łazik” czy ciągnik artyleryjski Polski Fiat 508/518. Już wówczas pisał wiele prac teoretycznych, w których przekonywał o wyższości pojazdów



kołowych nad gąsienicowymi, stając się przy okazji twórcą całkiem nowej dziedziny wiedzy – terramechaniki.

Radio w plecaku

W USA uznaje się go za „ojca krótkofalówki”. To dzięki opracowanemu przez Henryka Magnuskiego walkie-talkie możliwa była komunikacja między amerykańskimi oddziałami w czasie II wojny światowej

Mało kto miał tyle szczęścia, ile Henryk Magnuski. Miał 30 lat, kiedy – jako ceniony już wówczas specjalista od fal radiowych – został skierowany przez Państwowe Zakłady Tele- i Radiotechniczne na dodatkowe kursy do USA. Tak się złożyło, że był to czerwiec 1939 r. Magnuski nie tylko uniknął w ostatniej chwili wszelkich nieszczęść związanych z II wojną światową, ale też miał okazję rozwinąć swoje talenty w najlepiej finansowanych laboratoriach na świecie.

FALE DLA KAŻDEGO

Ale świat miał nie mniej szczęścia z powodu przymusowej emigracji młodego Polaka, bo w niemałym stopniu jego wynalazki wpłynęły na wynik wojny. Pracując wówczas w Galvin Manufacturing Corporation, czyli późniejszej Motoroli, opracował projekt walkie-talkie, czyli lekkiego przenośnego radia, które umożliwiło sprawną komunika-

cję oddziałom armii USA. Stosunkowo niewielki zasięg – 15 km – w pełni rekompensował rozmiar i ciężar radiostacji umożliwiający jej przenoszenie w plecaku. Ważna też była duża niezawodność połączeń.

O powszechności wykorzystania walkie-talkie w czasie działań wojennych wiele mówi to, że wyprodukowano w tym czasie ponad 40 tys. egz., a ich używanie zarejestrowano zarówno w Europie, jak i podczas walk na Pacyfiku. Był to najdoskonalszy, ale nie pierwszy z jego projektów. Wcześniej opracował urządzenie kilkukrotnie lżejsze i wytrzymujące nawet zanurzenie w wodzie, ale o zbyt małym, jak na potrzeby wojska, zasięgu.

Walkie-talkie, czyli inaczej mówiąc, krótkofalówka, z niewielkimi



Fot. Library of Congress

II wojna światowa rzuciła go najpierw do Rumunii, następnie do Francji, gdzie jako uznany już inżynier natychmiast został zatrudniony w Wydziale Czołgów Ministerstwa Uzbrojenia, po upadku Francji zaś przedostał się do Kanady, gdzie pracował w Biurze Badań Broni Pancernej. Jego projekty zdobywały szerokie uznanie, choć ze względu na militarną specyfikę nie były znane powszechnie. Wystarczyły jednak, by Bekker był zapraszany na wykłady na amerykańskie uczelnie w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Wkrótce zresztą, już w 1956 r., osiadł w USA na stałe, otrzymując znakomitą posadę dyrektora Instytutu Badań koncernu General Motors. Tu właśnie znalazł Bekker swoje największe wyzwanie.

MISJE APOLLO

W General Motors w tym właśnie okresie podejmowano próby stworzenia pojazdu mogącego poruszać się po najtrudniejszym terenie i w ekstremalnych warunkach pogodowych. Ponieważ trwał również „wyścig na

orbitę”, w którym Amerykanie zmagali się z Rosjanami, idealnym przykładem warunków, w jakich ów pojazd miałby się poruszać, był grunt Księżycy. Kiedy więc NASA ogłosiła konkurs na projekt pojazdu księżycowego, Bekker był w zasadzie gotowy. I okazał się najlepszy. W konkursie pokonał ponad 80 innych projektów i wkrótce jego Lunar Roving Vehicle istotnie poleciał w kosmos. Dokładnie mówiąc – trzykrotnie. Różne jego wersje były wykorzystywane w trzech kolejnych misjach: Apollo 15 (lipiec-sierpień 1971), Apollo 16 (kwiecień 1972) i Apollo 17 (grudzień 1972). Specjaliści z NASA ocenili, że

dzięki „Roverowi” – jak w skrócie nazywano pojazd – zebrano ok. 70 proc. materiału więcej, niż byłoby to możliwe bez niego.

Mieczysław Bekker zmarł w 1989 r. Jego ciało spoczywa na Ziemi, ale zapewne jakaś jego część również na Księżycu.



Fot. muzeum Politechniki Warszawskiej (2)

udoskonaleniami wykorzystywane było także w trakcie późniejszych wojen w Korei i w Wietnamie, co zresztą udokumentowała szeroko popkultura w wielu świetnych filmach poświęconych tym konfliktom.

Ale na tym nie skończyła się aktywność Magnuskiego. Opracował również m.in. tzw. radiolatarnię, która umożliwiała pilotom w warunkach słabej widoczności odnajdowanie lotniskowców lub lotnisk. W sumie jest on autorem 30 patentów, z których wszechobecność przeciętny laik nawet nie zdaje sobie sprawy. Dość wspomnieć, że przy

tworzeniu współczesnej telefonii komórkowej skorzystano aż z siedmiu jego wynalazków.

W ALEI GWIAZD

Do Polski nigdy nie wrócił, ale też nie miał po co, bo jego talenty nigdy zapewne nie znalazłyby tu zastosowania. Przed 1939 r. pracował zresztą w kraju nad radiostacjami, ale nie zdążyły one wejść do powszechnego użytku. Tymczasem w środowiskach wojskowych USA był prawdziwą gwiazdą, a jego badania nagradzane były wieloma odznaczeniami i wyróżnieniami. Zmarł w 1978 r.

O estymie, jaką się cieszył, wiele mówi choćby to, że do dziś jedna z katedr Uniwersytetu Illinois w Chicago nosi jego imię, a w 2006 r. został włączony do elitarnego grona Illinois Engineering Hall of Fame.



Fot. Wikipedia, Hank Magnuski; licencja CC-BY-SA 3.0



Fot. Biblioteka Narodowa x3

Strach *ma wielkie anteny*

Sprawa Kraśnika, w którym przyjęto uchwałę przeciwko 5G, a po interwencji Ministerstwa Cyfryzacji się z tego wycofano, stała się pewnym trwałym symbolem. Strach przed bliskością anten 5G może być kolejnym powodem, który zahamuje rozwój infrastruktury krytycznej dla funkcjonowania sieci telekomunikacyjnych

Wcześniej nerwowe reakcje części użytkowników budził dość kontrowersyjny pomysł jednego z portali zajmujących się cyberbezpieczeństwem, gdy postanowił się zabawić lękiem tych, którzy nie mają wiedzy technologicznej.

Ludzie zmieniali nazwy swoich domowych sieci Wi-Fi na takie, które miały celowo siał ferment, jak „Maszt 5G im. św. Pamięci Jana Pawła II” czy „Maszt 5G im. Andrzeja Dudy. 200 proc. mocy”. W jednych 5G budzi niepokój o zdrowie. Dla drugich

jest czymś absolutnie bezpiecznym. Dla trzecich to znakomity powód do żartów. Tymczasem do śmiechu nie ma tu nic, a zweryfikowane i udowodnione zagrożenia są, owszem, ale gospodarcze – jeśli technologia ta nie wejdzie w życie.

Sieci 5G będą polegać na urządzeniu małych, gęściej rozmieszczanych stacji bazowych, ale za to o znacznie mniejszej mocy niż obecne anteny 4G. Jak małych? Jedną z dobrze znanych chińskich firm technologicznych już rok temu pokazywała „plecak 5G dla dziennikarzy” – kompletny zestaw urządzeń do rejestrowania i do transmisji wideo przez 5G przeznaczony dla zespołów transmitujących wydarzenia w terenie. Przyznają państwo chyba, że skoro taki jest pomysł na dziennikarzy przyszłości, to nam też zależy na braku nieudomówień. Dziennikarz przyszłości to jednoosobowa ekipa realizująca wideo z anteną 5G na plecach. Zatem, czy to będzie bezpieczne?

Od ponad 20 lat przyjęte w prawie wartości graniczne pola elektromagnetycznego zapewniają bezpieczeństwo obywatelom. Rafał Pawlak z Instytutu Łączności zwraca uwagę, że od strony częstotliwości 5G tak naprawdę nie wprowadza niczego nowego. Podstawowe pasma przeznaczone dla tej sieci są już wykorzystywane dla potrzeb telewizji, m.in. w USA oraz w naszym kraju. Z tej metody odbioru sygnału telewizyjnego korzysta ok. 16 mln Polaków. W Europie były szeroko stosowane już od końca lat 90. Badania są prowadzone również dla częstotliwości 5G. Jak podkreśla Rafał Pawlak, „to nie jest tak, że ktoś kiedyś zrobił badanie i je zakończył. To jest pewien konsens naukowy. Ustalono, że należy cały czas weryfikować i sprawdzać nowe dowody w formie badań, czy jest szkodliwość promieniowania elektromagnetycznego niejonizującego, czy nie”. Co jakiś czas wytyczne są aktualizowane. W marcu pojawiła się aktualizacja, w której jednoznacznie stwierdzono, że wartości graniczne ustalone i przyjęte do powszechnego stosowania, od niedawna również w Polsce, zapewniają bezpieczeństwo także w kontekście sieci 5G. Zgodność planowanej instalacji z przyjętymi limitami jest sprawdzana już na etapie projektowania, a potem uruchamiania stacji bazowej.

Dodatkowo każdy z nas będzie mógł za chwilę sprawdzić, jak to wygląda w jego okolicy. W przyszłym

roku nowe punkty pomiaru pól magnetycznych będą działać i w dużych miastach, i na wsiach. To za sprawą nowej regulacji, która systematyzuje monitoring tej kwestii. Punkty będą rozmieszczone zależnie od gęstości zaludnienia na danym terenie. Pomiary będą prowadzone cyklicznie, ich wyniki będą powszechnie dostępne. Cel? Doinformowanie społeczności o rzeczywistym natężeniu pól w środowisku. „Kwestia samego monitoringu nie jest kwestią nową. Resort od wielu lat prowadzi monitoring pól elektromagnetycznych. Informacje na ten temat są dostępne na stronach internetowych resortu. Już ponad 10 lat te programy są realizowane, monitoring jest prowadzony, natomiast nowelizacja rozporządzenia to jest wyjście na przeciw oczekiwaniom społecznym” – tłumaczy Piotr Gozdek z Ministerstwa Klimatu, które odpowiada za projekt. Jak wskazuje, dotychczasowe pomiary wykazywały niskie poziomy pola elektromagnetycznego.

„GROŹNIEJSZY” WŁASNY TELEFON, JEŚLI... ZABRAKNIĘ SIECI

Czy od anteny 5G „groźniejszy” nie jest... nasz własny telefon? Tak. Już dziś nasz telefon emituje większe pole niż stacja bazowa wtedy, gdy... nie ma zasięgu. W przypadku zbyt małego pokrycia sieci, gdy telefon szuka zasięgu, musi emitować mocniejszy sygnał. Jak widać, „groźniejszy”, jeśli w ogóle, jest brak zasięgu i tzw. białe plamy.

Wpływ telefonów komórkowych przebadali Duńczycy. Podczas badań trwających – bagatela – 17 lat, obejmujących właściwie całą populację kraju, blisko 4 mln osób. Nawet tak szeroko zakrojone badania nie wykazały negatywnego wpływu telefonów komórkowych na ludzki mózg, o co bywają oskarżane popularne komórki.

PO CO NAM 5G?

A co nam da 5G? Przede wszystkim, mimo dość wzniosłych wizji miast przyszłości, liczą się ważne i dość przyziemne korzyści oraz potrzeby tu i teraz.

Wg danych GUS odsetek osób pracujących zdalnie w ostatnich dwóch tygodniach marca wyniósł 14,2 proc. – o 9,4 pkt proc. Pandemia koronawirusa wymusiła przyspieszenie – i tak galopującej – cyfryzacji. W pierwszej fali zdalnie pracowało ok. 2,1 mln Polaków. W drugiej fali szacuje się, że już 5,3 mln. A przecież poza tym jest tylko rosnące zapotrzebowanie na łączność i nie chodzi tu o tak daleką perspektywę jak latające samochody.

W listopadzie szkoła ponownie się przeniosła do sieci. To wszystko oznacza zapotrzebowanie na stabilną i dobrej jakości łączność. Obecnie w Polsce trwają inwestycje w sieci światłowodowe, prowadzone przez prywatnych operatorów i przez państwo w ramach Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa. Jednocześnie trzeba pamiętać, że mimo miliardów przeznaczonych na budowę tych sieci światłowody nie są w stanie dotrzeć wszędzie. Odpowiedzią na dostarczenie szerokopasmowego internetu na trudniej dostępnych – mało zaludnionych – terenach może być właśnie sieć 5G.

Jednocześnie widać też postępujące „ucyfrowienie” w wielu innych dziedzinach naszego życia – w sklepach spożywczych coraz częściej pojawiają się kasy samoobsługowe, za zakupy płacimy kartą (co można zrobić dzięki działającemu terminalowi). Postępująca cyfryzacja w handlu to nie tylko wygoda i efektywność, lecz także zmiany dotyczące charakteru pracy w tej branży. Dzięki technologiom można zastąpić człowieka w żmudnych pracach i skierować energię i uwagę tam, gdzie są niezbędne. Do tego potrzebna jest wydajna sieć.

Niestety, w zakresie rozwiania wątpliwości co do wpływu na zdrowie może nie samych anten, ale całej, skomasywanej, nowej technologii – popularnie wrzucanej do jednego worka pod hasłem 5G – droga jeszcze daleka. Tylko czasu już nie ma, ponieważ gospodarka potrzebuje 5G, a zwłoka w jego wprowadzaniu możemy pozostawić tylko, że technologicznie możemy pozostać w tyle za naszymi sąsiadami. A raz straconej pozycji nie da się odrobić.

Maksymilian Wysocki

Gwarancje na lepsze i gorsze czasy

Kryzys wywołany pandemią mocno uderzył w gospodarkę, zwłaszcza w małe i średnie firmy. Jego skutki można ograniczyć, wykorzystując narzędzia oferowane przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Strzałem w dziesiątkę okazały się gwarancje

Gwarancja to instrument stosowany w sektorze finansowym od dawna. Jednak w czasie kryzysu, gdy firmy mogą mieć problem ze spłatą swoich zobowiązań, staje się on praktycznym sposobem przezwyciężenia kłopotów związanych na przykład z płynnością czy z inwestycjami. Gwarant, którym w tym przypadku jest BGK, zabezpiecza instytucję finansową – bank lub faktora – przed ryzykiem niewypłacalności dłużnika.

RYZIKO NADAL WYSOKIE

W czasach kryzysu takie ryzyko jest wysokie, a banki – które obracają pieniędzmi swoich klientów, a nie własnymi – muszą traktować je bardzo poważnie. Według NBP w III kwartale tego roku banki najbardziej obawiały się ryzyka związanego z sytuacją gospodarczą; były także wyczulone na perspektywy branż, w jakich firma działa (wiadomo, że pandemia najmocniej uderzyła w sektory usługowe, w gastronomię, hotelarstwo czy turystykę). Ryzyko było znacznie mniejsze niż w połowie roku, jednak nadal dla wielu banków i tak trudne do zaakceptowania.

W takiej sytuacji system gwarancji oferowany przez BGK okazuje się lekarstwem na wiele bolączek polskiego biznesu: firmom zapewnia funkcjonowanie w trudnych warunkach rynkowych i utrzymywanie bezcennych miejsc pracy, daje możliwość uzyskania kredytu na lepszych warunkach finansowych lub na dłuższy okres. Bankom

z kolei oferuje płynność i dobre perspektywy na przyszłość, ponieważ umożliwia budowanie dobrych relacji z klientem, którego utrzymanie będzie po pandemii równie ważne jak utrzymanie rentowności.

BGK większość obecnych gwarancji miał w swoim pakiecie jeszcze przed pandemią, jednak w marcu znacznie je zmodyfikował. Powodem był kryzys wywołany COVID-19, który pogorszył warunki prowadzenia działalności gospodarczej. Generalnym celem zmian w ofercie BGK było wprowadzenie głównie takich rozwiązań, które uchroniłyby przedsiębiorców przed ryzykiem utraty płynności. Warunki uzyskania gwarancji zostały uproszczone, zwiększono maksymalne poziomy zabezpieczeń, w niektórych przypadkach zrezygnowano z pobierania prowizji. Modyfikacje dokonywane były w miarę potrzeb – przykładem może być oferta gwarancji z programu COSME, gdzie na czas pandemii klienci mogą uzyskać kredyt obrotowy z gwarancją na korzystniejszych warunkach takich jak obniżona prowizja z tytułu udzielenia gwarancji oraz wydłużony maksymalny okres obowiązywania gwarancji.

W ZALEŻNOŚCI OD POTRZEB

Najszybciej na nowych warunkach zaczęła działać gwarancja de minimis – niezwykle popularna forma zabezpieczenia kredytu obrotowego lub inwestycyjnego. Od początku pandemii do połowy października gwarancje de

minimis zabezpieczyły akcję kredytową przekraczającą 20 mld zł. Z jej zmodyfikowanej wersji skorzystało w tym czasie 37 tys. przedsiębiorców z sektora małych i średnich firm, najwięcej w województwach: mazowieckim (ponad 3,5 mld zł) oraz śląskim i wielkopolskim (po około 2,3 mld zł), działających głównie w handlu, budownictwie i w produkcji.

Spośród istniejących już wcześniej gwarancji, poza gwarancjami z programu COSME i de minimis, zmodyfikowane zostały jeszcze dwie: gwarancja Biznesmax z dopłatą do oprocentowania oraz gwarancja z Funduszu Gwarancji Rolnych. Zupełnie nowymi instrumentami, powstałymi już w czasach kryzysu pandemicznego, są gwarancje ze środków Funduszu Gwarancji Płynnościowych (FGP): gwarancja spłaty kredytu oraz gwarancja spłaty limitu faktoringowego. Fundusz Gwarancji Płynnościowych jest częścią tzw. rządowej tarczy antykryzysowej.

Bank Gospodarstwa Krajowego wprowadza do gospodarki instrumenty gwarancyjne zgodne ze swoją misją, która polega na wspieraniu rozwoju społeczno-gospodarczego Polski. BGK jest jedynym w naszym kraju bankiem rozwoju, głównym partnerem państwa w obsłudze rządowych programów społeczno-gospodarczych, wspierającym przedsiębiorczość i inwestycje. Współpracuje z instytucjami kredytującymi, bankami komercyjnymi i spółdzielczymi.





Fot. Shutterstock

Dobrze znane, po zmianach

Pandemia wymusiła na bankach wprowadzenie wyjątkowych rozwiązań. BGK zaproponował je już na początku kryzysu, gdy skutki gospodarcze koronawirusa nie były jeszcze do końca znane

Dzięki temu, że system gwarancji jest obecny w Banku Gospodarstwa Krajowego już od dłuższego czasu, do istniejących instrumentów można było szybko dodać nowe, najbardziej adekwatne rozwiązania. W kryzysie liczyło się tempo działania, gdyż biznes potrzebował natychmiastowej pomocy.

GWARANCJA DE MINIMIS

Zmiany w tej gwarancji zadziały najszybciej. Firmy dobrze ją znały, bo jest obecna na polskim rynku już od 2013 r.

Gwarancja de minimis zabezpiecza spłatę kredytu obrotowego lub inwestycyjnego na wypadek, gdyby przedsiębiorca nie był w stanie spłacać kredytu w terminie. Gwarancja daje bankowi pewność realizacji spłaty, ponieważ takie zobowiązanie bierze na siebie BGK.

Gwarancje de minimis dotyczą firm mikro, małych i średnich. Dzięki nim przedsiębiorstwa mogą otrzymać kredyt bankowy nawet wówczas, gdy nie mają długiej historii kredytowej ani nie posiadają wymaganych zabezpieczeń. Gwarancja pozwala im pozyskiwać finansowanie na lepszych warunkach, taniej i na dłuższy okres.

Wniosek o udzielenie gwarancji de minimis można złożyć w jednym z 20 banków, z którymi BGK ma podpisaną umowę, i to on podejmując decyzję o finansowaniu, ocenia zdolność kredytową podmiotu, przygotowuje dokumenty finansowe i zabezpiecza kredyt gwarancją BGK. Przedsiębiorca nie składa żadnych dokumentów do BGK.

Na nowych warunkach, bardziej dogodnych od standardowych, przedsiębiorcy mogą skorzystać z gwarancji de minimis do końca tego roku (z możliwością ich przedłużenia), jeżeli na dzień udzielenia gwarancji lub na 1 lutego 2020 r. firma nie miała zaległości w ZUS ani w Urzędzie Skarbowym.

Zmienione zasady to: zwiększenie możliwego poziomu zabezpieczenia do 80 proc. kwoty kredytu, brak prowizji za udzielenie gwarancji oraz wydłużenie maksymalnego okresu gwarancji dla kredytu obrotowego do 39 miesięcy (dla kredytów inwestycyjnych gwarancja jest udzielana maksymalnie na 99 miesięcy).

Program gwarancji de minimis jest dopuszczalną prawem unijnym formą pomocy publicznej, nie stanowi dotacji pieniężnej ani nie wiąże się bezpośrednio z przekazaniem środków finansowych przedsiębiorcy, nie rodzi żadnych skutków podatkowych.

Maksymalna kwota gwarancji wynosi 3,5 mln zł.

GWARANCJE Z PROGRAMU COSME

Jest to rozwiązanie dla firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw, oferowane tym przedsiębiorcom, które potrzebując zabezpieczenia spłaty kredytu obrotowego lub inwestycyjnego do maksymalnej wysokości 600 tys. zł (górna kwota gwarancji to 480 tys. zł), nie mogą lub nie chcą korzystać z pomocy publicznej (np. ze względu na wykorzystany już limit dostępnej pomocy de minimis). Gwarancja COSME jest przyznawana na warunkach rynkowych, stanowi więc alternatywę dla firm, które nie chcą korzystać z gwarancji BGK udzielanych jako pomoc de minimis lub Regionalna Pomoc Inwestycyjna.

Z powodu pandemii z końcem sierpnia BGK podjął decyzję o zmianie warunków udzielania gwarancji. Zmienione warunki dotyczą wyłącznie gwarancji udzielanych dla kredytów obrotowych przyznanych od 6 kwietnia do 31 grudnia 2020 r.

Kluczowe modyfikacje są dwie: przewidziano za udzielenie gwarancji została obniżona do 0,7 proc. z 1 proc., a maksymalny okres jej obowiązywania wydłużono z 27 do 39 miesięcy.

Wprowadzone zmiany nie wymagają od przedsiębiorców podejmowania jakichkolwiek działań. Wszystkie formalności związane z gwarancją i kredytem realizowane są w jednym miejscu, tzn. w banku kredytującym. Gwarancja wyróżnia się brakiem wykluczeń charakterystycznych dla programów pomocowych.

COSME jest programem Komisji Europejskiej przeznaczonym dla wspierania konkurencyjności europejskich mikro, małych i średnich przedsiębiorstw. Programem zarządza Europejski Fundusz Inwestycyjny. Do 30 września br. BGK udzielił 30,5 tys. gwarancji COSME, a wartość zabezpieczonych nimi kredytów sięgnęła 6,6 mld zł.

BIZNESMAX Z DOPLATĄ DO OPROCENTOWANIA

W czasie pandemii gwarancja została zmodyfikowana. Wcześniej obejmowała jedynie kredyty związane z realizacją projektów inwestycyjnych, teraz w jej zakres weszły również kredyty płynnościowe, tj. kredyt obrotowy odnawialny (także w rachunku bieżącym) oraz nieodnawialny, niezwiązany z inwestycją, udzielany do końca 2020 r. Taka gwarancja stanowi pomoc de minimis.

Kredyt może być objęty gwarancją pod dwoma warunkami: będzie przeznaczony na realizację inwestycji lub zapewnianie płynności firmie, która spełnia 1 z 17 kryteriów albo firma realizuje projekt inwestycyjny o charakterze innowacji proekologicznej, np. zamierza zrealizować przedsięwzięcie wpisujące się w rozwiązania gospodarki obiegu zamkniętego, inwestuje w przedsięwzięcia związane z zieloną energetyką, w odnawialne źródła energii czy w termomodernizację.

Gwarancję można otrzymać np. na kredyty przeznaczone na zakup i montaż instalacji fotowoltaicznej lub zakup maszyn i urządzeń, ale także na usługi doradcze, uzyskanie patentów czy internacjonalizację wdrożeń.

Obejmuje 80 proc. kwoty kredytu, a maksymalna kwota gwarancji to 2,5 mln euro. Maksymalny okres gwarancji dla

kredytu inwestycyjnego to nawet 20 lat, a w przypadku kredytu odnawialnego 39 miesięcy. BGK nie pobiera prowizji za udzielenie gwarancji, a korzystanie z niej jest bezpłatne.

Gwarancja umożliwia firmie także realne zmniejszenie kosztów kredytu. Jest to możliwe poprzez dopłaty do oprocentowania kredytu, dzięki którym można odzyskać część lub całość odsetek kredytowych. Stopa roczna preferencyjnej stawki dopłaty do oprocentowania kredytu wynosi 5 proc. do końca 2021 r. W 2022 r. stawka ta ulega obniżeniu do 3,33 proc.

Refundacja dotyczy nie tylko kredytów inwestycyjnych, lecz również odnawialnych. Maksymalny okres dopłat dla kredytów zabezpieczonych gwarancją Biznesmax wynosi trzy lata. Udzielenie dopłaty do oprocentowania kredytu następuje na wniosek przedsiębiorcy składany w banku kredytującym.

Gwarancja jest adresowana do mikro, małych i średnich przedsiębiorstw

GWARANCJA Z FUNDUSZU GWARANCJI ROLNYCH Z DOPLATĄ DO OPROCENTOWANIA

To pierwszy w Polsce fundusz gwarancyjny dostępny dla całego sektora rolnego – zarówno dla przetwórców rolnospożywczych, jak i dla rolników. Posiada zbliżone rozwiązanie do gwarancji Biznesmax w swojej części zmniejszającej koszty kredytu, tj. do jej warunków został wpisany mechanizm dopłaty do odsetek.

FGR jest przeznaczony dla mikro, małych i średnich przedsiębiorców działających w branży przetwórstwa rolnospożywczego oraz dla producentów produkcji podstawowej, czyli rolników. Zmiany wprowadzone w okresie pandemii pozwoliły na objęcie gwarancją kredytu obrotowego nieodnawialnego, a także kredytu obrotowego odnawialnego, w tym w rachunku bieżącym, z przeznaczeniem na bieżące finansowanie działalności w sektorze rolnym, bez konieczności powiązania realizacją inwestycji ze wsparciem ze środków EFRROW (Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich) na 51 (kredyt nieodnawialny) i 39 miesięcy (kredyt odnawialny). Objęcie gwarancją kredytu obrotowego odnawialnego jest możliwe w przypadku udzielania nowego kredytu, odnowienia limitu kredytu na kolejny okres, a także podwyższenia limitu kredytu.

Dopłata do oprocentowania kredytu obrotowego obejmuje okres do 12 miesięcy, licząc od daty uruchomienia kredytu objętego gwarancją w wysokości nie więcej niż 2 proc. rocznie od kwoty udzielonego kredytu (dopłata dotyczy kredytów objętych gwarancją FGR do końca 2020 r.).

Niezmienione pozostały inne parametry gwarancji, takie jak zabezpieczenie sięgające 80 proc. niespłaconego kapitału kredytu, maksymalna kwota gwarancji wynosząca 5 mln zł dla producentów rolnych i 10 mln zł dla przetwórców. Bez zmian pozostał też okres gwarancji dla kredytów inwestycyjnych: 183 albo 120 miesięcy (w przypadku pomocy de minimis).

Bank nie pobiera prowizji za udzielenie gwarancji.

Norwe, na trudne czasy

Część rozwiązań stworzonych w czasie kryzysu zniknie wraz z końcem koronawirusa, ale niektóre pomysły zapewne zostaną na dłużej.

Wiele zależy od tego, jak bardzo rynek się zmieni i jakie będą potrzeby biznesu w postpandemicznej rzeczywistości

Zamrożenie gospodarki ujawniło przede wszystkim potrzeby gospodarki związane z płynnością. BGK stworzył więc produkt, który takie problemy jest w stanie łagodzić. Jego funkcjonowanie powinno się skończyć wraz z pandemią, ale czy stanie się to w tym roku, czy w przyszłym, będzie zależało od tego, kiedy wróci koniunktura.

Zupełnie nowym instrumentem, powołanym z potrzeby chwili, jest gwarancja spłaty limitu faktoringowego.

GWARANCJA PŁYNNOŚCIOWA

To rozwiązanie powstało już w czasie pandemii, kiedy się okazało, że trzeba szybko wspierać płynność finansową polskich firm. Gwarancje są udzielane dużym i średnim przedsiębiorstwom, niezależnie od branży, z Funduszu Gwarancji Płynnościowych.

Gwarancja płynnościowa dotyczy nowych lub odnawianych po 1 marca 2020 r. kredytów obrotowych, złotych lub walutowych. Obejmuje również kredyty nieodnawialne lub odnawialne w przypadku podwyższenia kwoty (limitu) kredytu.

Pomoc polega na zabezpieczeniu wartości zobowiązania kredytowego do 80 proc. kwoty kapitału kredytu, kwota gwarancji może sięgać nawet 250 mln zł, a maksymalny okres jej obowiązywania to 27 miesięcy (jednak nie dłużej niż czas trwania kredytu plus trzy miesiące).

Z gwarancji mogą skorzystać firmy, które na 31 grudnia 2019 r. nie znajdo-

wały się w trudnej sytuacji, nie mają zobowiązań przeterminowanych wobec ZUS, KRUS czy Urzędu Skarbowego lub nie miały takich zobowiązań na dzień 1 lutego 2020 r. Planowany termin zakończenia gwarancji płynnościowych to 31 grudnia 2020 r. Jednak obecnie trwają prace nad przedłużeniem tego okresu do końca czerwca 2021 r.

GWARANCJA SPŁATY LIMITU FAKTORINGOWEGO

Program powstał we wrześniu, gdy na horyzoncie pojawiła się druga fala COVID-19. Jego odbiorcami mogą być wszystkie firmy – zarówno małe, średnie, jak i duże, które w swej działalności korzystają z faktoringu odwrotnego bądź z regresem. Warunki udzielenia gwarancji dla faktoranta są podobne do gwarancji spłat kredytów (m.in. brak zobowiązań przeterminowanych w ZUS, KRUS, Urzędzie Skarbowym).

Tak jak w przypadku gwarancji płynnościowych, także dla gwarancji zabezpieczających spłatę limitów faktoringowego środki na wypłaty z gwarancji pochodzą z Funduszu Gwarancji Płynnościowych (wartość gwarancji to 11,5 mld zł, a objęte przez nie limity faktoringowe to 14,4 mld zł). Są asygnowane za pośrednictwem faktorów, czyli banków lub firm faktoringowych przyznających limity faktoringowe. Program ma działać do końca br., jednak trwają prace nad przedłużeniem tego terminu do końca czerwca 2021 r.

Zadaniem tego instrumentu jest zapewnienie płynności finansowej

firm poprzez zwiększenie dostępu do finansowania w formie faktoringu z regresem i faktoringu odwrotnego. BGK chce umożliwić kontynuowanie umów o limity faktoringowe udzielane przez faktora również w czasie kryzysu, kiedy pojawiają się problemy z płynnością kontrahentów i z terminową realizacją należności.

Faktoring jest wygodnym rozwiązaniem dla firm, które nie muszą czekać na przelewy od partnerów biznesowych, podpisują odpowiednią umowę z faktorem i mogą otrzymać pieniądze wcześniej od faktora. Korzyści z faktoringu polegają m.in. na tym, że przedsiębiorstwo nie traci płynności z powodu braku należytej gotówki, co w konsekwencji wpływa także na zachowanie przez nie zdolności kredytowej.

Mechanizm zastosowany przez BGK jest analogiczny jak w przypadku gwarancji spłat kredytu: polski bank rozwoju podpisuje umowę z faktorem, który w jego imieniu obejmuje gwarancją udzielaną przez siebie limit faktoringowy. Przedsiębiorca składa wniosek o gwarancję do wybranego faktora, a następnie, po uzyskaniu pozytywnej oceny, podpisuje umowę o limit faktoringowy zabezpieczony gwarancją BGK.

Maksymalny zakres gwarancji to 80 proc. wartości limitu, jej wysokość może sięgać aż 200 mln zł, a okres obowiązywania – dwa lata. Gwarancje mogą zabezpieczać limity faktoringowe, które obejmują faktury wystawione po 1 marca 2020 r.

Grupa PZU odporna na wirusa

Grupa PZU umacnia pozycję lidera na rynku ubezpieczeń na życie.

– Wyniki pokazują, że model biznesowy PZU jest odporny na zawirowania gospodarcze i rynkowe spowodowane pandemią

– oceniła dr hab. Beata Kozłowska-Chyła (na zdj.), prezes PZU, podczas prezentacji wyników Grupy Kapitałowej Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń

Zysk netto Grupy PZU w III kw. 2020 r. przypisany jednostce dominującej wzrósł do 890 mln zł wobec 879 mln zł w analogicznym okresie 2019 r. Wynik na samej działalności ubezpieczeniowej wyniósł 785 mln zł, co oznacza wzrost o 12 proc. rok do roku.

– W III kwartale mieliśmy sytuację, w której dywersyfikacja biznesu Grupy PZU okazała się istotnym czynnikiem dla osiągniętych wyników. Z jednej strony zanotowaliśmy niższą sprzedaż w ubezpieczeniach komunikacyjnych, spowodowaną spowolnieniem na rynku sprzedaży samochodów, z drugiej jednak wzrosła sprzedaż po stronie ubezpieczeń na życie, głównie z uwagi na rosnące zapotrzebowanie na ubezpieczenia ochronne. W rezultacie niższe wpływy na rynku majątkowym zostały zrekomensowane większymi przepływami z biznesu życiowego – komentuje wyniki dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU SA.

Prezes PZU zwraca także uwagę na to, że wyniki sprzedażowe w III kwartale 2020 r. ukształtowały się na poziomie porównywalnym z III kwartałem ub.r., kiedy to sytuacja gospodarcza wyglądała zupełnie inaczej. Uważa, że nie bez znaczenia jest to, że struktura Grupy o charakterze konglomeratu pozwala równoważyć negatywne zmiany popytowe w różnych liniach produktowych, nawet w tak wymagających warunkach jak tych wywołanych pandemią.

ODPORNOŚĆ NA PANDEMIE

Po trzech kwartałach 2020 r. wynik na działalności podstawowej (ubezpieczenia i inwestycje) był wyższy o 24 proc. rok



do roku, dzięki rozwojowi biznesu oraz poprawie rentowności podstawowego biznesu. Marża na ubezpieczeniach grupowych i IK wyniosła 25,7 proc., a wskaźnik mieszany w ubezpieczeniach majątkowych 88,7 proc. – istotnie lepiej w porównaniu z ubiegłym rokiem i poziomami założonymi w strategii.

Kolejny kwartał z rządu wyniki pokazują, że model biznesowy PZU jest odporny na zawirowania gospodarcze i rynkowe, wynikłe z pandemii, którym przyszło nam stawić czoła. Mimo trudnej sytuacji gospodarczej, niełatwego rynku ubezpieczeniowego, mimo zawirowań na rynkach kapitałowych, wynik netto III kwartału wyniósł 890 mln, czyli był wyższy niż rok temu. Wynik netto z działalności z wyłączeniem banków wzrósł aż o 12 proc. rok do roku.

– Dzięki temu, jak konstruujemy i zmieniamy nasz model biznesowy, dzięki wysiłkom naszych pracowników udało się po raz kolejny udowodnić, że w trudnym okresie on się sprawdza. Rentowność obydwu najważniejszych gałęzi naszego biznesu, czyli ubezpieczeń grupowych i indywidualnie kontynuowanych oraz ubezpieczeń majątkowych, była na bardzo dobrych poziomach, lepszych od tych, które zostały wyznaczone w ramach strategii biznesowej Grupy. Dzięki temu, że odpowiednio wcześniej przygotowaliśmy nasz portfel inwestycyjny na spowolnienie, mimo niełatwych warunków rynkowych, przekroczyliśmy nasz cel ze strategii dotyczący nadwyżki rentowności portfela nad stopą wolną od ryzyka – podkreśla Tomasz Kulik, CFO Grupy PZU

W ujęciu narastającym, tj. po dziewięciu miesiącach 2020 r., jednym z istotnych czynników mających wpływ na osiągnięty wynik finansowy były niższe wyniki związane z działalnością bankową, w tym jednorazowy efekt odpisu z tytułu utraty wartości firmy powstałej w wyniku nabycia Alior Banku (746 mln zł) oraz Banku Pekao (555 mln zł), odpis aktywów powstałych w wyniku nabycia Alior Banku (tj. znaku towarowego oraz relacji z klientami) w kwocie 161 mln zł oraz wyższe koszty ryzyka w związku z zawiązaniem dodatkowych rezerw kredytowych w efekcie pandemii COVID-19.

– Ze względu na istotne pogorszenie się warunków biznesowych dla sektora bankowego, na które złożyły się m.in. spadek stóp procentowych oraz podwyższone ryzyko kredytowe i dodatkowe odpisy z tytułu oczekiwanych strat kredytowych, musieliśmy rozpoznać odpisy z tytułu utraty wartości aktywów zidentyfikowanych podczas przejścia banków. To pomniejszyło nasz wynik o ponad 1,3 mld zł. Dodatkowo banki w swoich wynikach rozpoznały rezerwy związane z COVID-19, co odjęło z naszych wyników 220 mln. Z wyłączeniem wszystkich wspomnianych odpisów wynik skonsolidowany Grupy PZU sięgnął blisko 2,8 mld zł. Przekłada się to na wzrost wyniku o 17 proc. rok do roku i zwrot na kapitale prawie 21 proc., czyli na poziomie bardzo porównywalnym do tego osiągniętego rok wcześniej w zupełnie innych warunkach – dodaje Tomasz Kulik

PZU ŻYCIE I PZU ZDROWIE NOTUJĄ DOBRE WYNIKI

Kluczowe osiągnięcia PZU w III kwartale 2020 r. to według władz spółki rekordowy udział PZU Życie w rynku ubezpieczeń na życie w Polsce. Warto zwrócić uwagę na to, że bardzo dobre wyniki PZU Życie i PZU Zdrowie wpłynęły wyraźnie na dobrą sytuację całej Grupy. Stąd po stronie sukcesów spółka wpisuje utrzymanie pozycji lidera (dane po II kwartale) w ubezpieczeniach na życie ze składką okresową (udział w rynku 45,6 proc.), a także rekordowy przypis składki z ubezpieczeń indywidualnych (476 mln zł), których motorem okazały się ubezpieczenia ochronne na życie (wzrost przypisu składki +33 proc. rok do roku).

– Po pierwszym półroczu osiągnęliśmy poziom 42,4 proc. udziałów w tym segmencie, a w III kwartale zanotowaliśmy rekordowy przypis składki z ubezpieczeń indywidualnych, który wyniósł 476 mln zł – przekazała Aleksandra Agatowska, która pełni obowiązki prezesa PZU Życie.

Grupa podkreśliła, że „do końca III kw. nie zaobserwowano istotnego negatywnego wpływu pandemii COVID-19 na wyniki na ubezpieczeniach na życie”.

Spółki zależne Grupy również zwiększały skalę swojej działalności

– przychody PZU Zdrowie w pierwszych trzech kwartałach wzrosły o 23 proc. rok do roku, ze szczególnym uwzględnieniem przychodów generowanych bezpośrednio przez placówki medyczne.

– Doskonale wyniki po dziewięciu miesiącach 2020 r. zanotowało także PZU Zdrowie – osiągnęło 685 mln zł przychodów, co stanowi wzrost o 23 proc. rok do roku. Było to możliwe dzięki sprzedaży kolejnych dodatków zdrowotnych do produktów ochronnych, umożliwiających m.in. dostęp do lekarzy specjalistów, rehabilitacji ambulatoryjnej, wybranych badań i zabiegów. Z uwagi na rozwój pandemii sukcesywnie zwiększamy także skalę zdalnych usług medycznych, co jest obecnie ważnym elementem budowy przewagi konkurencyjnej – dodała Aleksandra Agatowska.

TFIPZU było jednym z liderów sprzedaży funduszy – do funduszy napłynęło od początku roku blisko 600 mln zł, podczas gdy odpływy na całym rynku w tym okresie to około 9 mld zł.

Grupa PZU zapowiada dalsze wzmacnianie współpracy z bankami skutkujące istotnym wzrostem nowej sprzedaży ubezpieczeń życiowych ochronnych w kanale bankowym oraz liczby ubezpieczonych.

Zwraca też uwagę na wyraźną poprawę rentowności w ubezpieczeniach komunikacyjnych w Polsce, gdzie wskaźnik mieszany jest niższy o 2,8 pkt proc. rok do roku po zniesieniu lockdownu. Pomimo szkód związanych ze zjawiskami atmosferycznymi w ubezpieczeniach pozakomunikacyjnych łączna rentowność na ubezpieczeniach majątkowych i pozostałych osobowych w Polsce notowana jest na poziomach lepszych od założonych w strategii PZU.

Spółka zapowiadała jakiś czas temu utrzymanie kosztów pod ścisłą kontrolą. Udało się to osiągnąć mimo presji na wzrost wynagrodzeń oraz dodatkowych kosztów związanych z pandemią COVID-19. Wskaźnik kosztów administracyjnych wyniósł 6,3 proc w III kw. 2020 r.

Zwrot na kapitale w III kw. na poziomie 20,4 proc. plasuje PZU wśród ubezpieczycieli osiągających najwyższe zwroty na kapitale w Europie.

Kamil Gieroba/wGospodarce.pl

Kto skorzysta na Ustawie o zawodzie farmaceuty?

Długo wyczekiwana Ustawa o zawodzie farmaceuty ponownie trafiła do Sejmu, ale warto się zastanowić, czy czas walki z pandemią to odpowiedni moment na jej procedowanie. Zwłaszcza że środowiska aptekarskie alarmują – nie bez racji – że ustawa może się przyczynić do zmniejszenia liczby aptek, a także do wzrostu cen leków

Ustawa Apteka dla aptekarza z 2017 r. już doprowadziła do zmniejszenia liczby aptek, m.in. w związku z przesłanką antykoncentracyjną, która zakłada, że jeden farmaceuta przedsiębiorca nie może posiadać więcej niż jednego procenta aptek w danym województwie. Przesłanka ta, której domyślną intencją było właśnie utrzymanie korzystnej dla klientów konkurencyjności, jest niestety często wykorzystywana przeciwko niezależnym franczyzobiorcom, którzy nie są traktowani jako indywidualni przedsiębiorcy, lecz jako pracownicy większych sieci. Trudno się dziwić takim aptekarzom, że mają poczucie krzywdy, gdyż w innych branżach franczyza jest traktowana właśnie jako indywidualny biznes i nie prowadzi do wyłączeń mimo funkcjonowania zapisów antykoncentracyjnych.



Fot. Andrzej Wiktor

ZACHĘTA DO NIEUCZCIWEJ GRY RYNKOWEJ?

Ustawa o zawodzie farmaceuty, zapewne wbrew intencjom jej autorów, umożliwia też często stosowanie nieetycznych zasad wobec aptekarzy franczyzobiorców przez ich konkurentów. Daje ona bowiem możliwość cofnięcia zezwolenia na co najmniej trzy miesiące na prowadzenie apteki na podstawie pojedynczego donosu lub drobnego naruszenia, a także konfliktu między hurtownią a apteką lub apteką a farmaceutą. Niestety można się spodziewać, że przesłanka ta będzie nadużywana w nieuczciwej walce rynkowej, a jej efektem będzie dalsze ograniczenie liczby aptek.

Tymczasem zmniejszenie liczby aptek, a co za tym idzie, ograniczenie dostępności do leków z pewnością nie jest zjawiskiem pożądanym w dobie walki z pandemią. Warto także zauważyć, że ograniczenie wyboru pacjentom w dłuższej perspektywie może zaowocować podwyżkami cen leków. Czasy prosperity prywatnych aptek, które na początku lat 90. przynosiły niewyobrażalne zyski, bo nie miały żadnej konkurencji wokół, są już za nami. Zamykanie najlepiej prosperujących i najbardziej konkurencyjnych aptek dzisiaj na podstawie subiektywnych przesłanek nie jest w żaden sposób korzystne dla polskiego pacjenta. Przeciwnicy poprawek do ustawy podnoszą argument, że na nowelizacji skorzystają głównie największe hurtownie leków i prowadzone przez nie sieci sprzedaży wirtualnej.

BĘDZIE DROGO JAK W NIEMCZECH

Zdaniem zaniepokojonych nowelizacją aptekarzy hurtownie leków dążą do ograniczenia konkurencji i znaczącego wzrostu ich wartości, a następnie do sprzedaży swoich aktywów największym globalnym graczom. Na poparcie tej tezy przytaczany jest przykład rynku niemieckiego, który obecnie kontroluje jedna sieć hurtowni. Efektem tej praktycznej monopolizacji jest to, że ceny leków za naszą zachodnią granicą są czasem kilkukrotnie wyższe niż w Polsce.

Polscy farmaceuci prywatni, którzy zdecydowali się na współpracę z sieciami aptek, alarmują więc, że polski klient w efekcie zapisów ustawy będzie musiał płacić w aptecę coraz wyższe rachunki. Aptekarze nie rozumieją, dlaczego ich punktu widzenia nie podziela Naczelna Izba Lekarska, która wspiera nowe zapisy ustawy, bo przecież ona również powinna działać w interesie pacjentów.

Czy interes polskich klientów aptek jest rzeczywiście zagrożony? Z pewnością doświadczenia roku 2020 i walka z epidemią koronawirusa uświadomiły nam, że Polacy bardzo potrzebują silnego i gęsto nasyconego punktami handlowymi rynku farmaceutycznego, który będzie funkcjonował na zasadach zdrowej konkurencji cenowej. To z pewnością nie jest dobry czas, aby urządzać go po nowemu, wprowadzając zamieszanie, nawet jeśli towarzyszą temu najlepsze intencje.

Sieć logistyczna Poczty Polskiej

wspiera działania instytucji walczących z pandemią

Magazynowanie i transport urządzeń medycznych, dystrybucja środków ochrony osobistej do szpitali i innych placówek medycznych – to tylko część działań Poczty Polskiej podejmowanych w ramach akcji specjalnych wspierających instytucje zaangażowane w walkę z COVID-19. Do realizacji tych zadań spółka wykorzystuje największą w kraju sieć dystrybucyjno-logistyczną

Od początku wystąpienia zagrożenia wirusem SARS-CoV-2 Poczta Polska wspomaga Ministerstwo Zdrowia, Narodowy Fundusz Zdrowia oraz Główny Inspektorat Sanitarny. Spółka wykonuje wiele zadań, m.in. w zakresie magazynowania, konfekcjonowania, transportu paletowego oraz usług paczkowych. Realizuje dostawy do szpitali, w tym szpitali zakaźnych, placówek POZ, stacji sanitarno-epidemiologicznych, siedzib NFZ oraz aptek, policji czy Straży Granicznej. Poczta Polska dostarczała również środki dezynfekujące dla szkół i przedszkoli w całym kraju.

– Poczta Polska jako jedna ze strategicznych spółek skarbu państwa posiada największą w kraju sieć dystrybucyjno-logistyczną. Usługi dla Ministerstwa Zdrowia to kolejny dowód świadczący o tym, że w trakcie pandemii możemy kompleksowo obsługiwać klientów wymagających niestandardowych usług. Wykorzystujemy do tego pocztową infrastrukturę oraz doświadczenie w obsłudze różnorodnych przesyłek, zarówno standardowych, jak i przesyłek paletowych – mówi Tomasz Zdzikot, prezes zarządu Poczty Polskiej.

Do tej pory Poczta Polska dostarczyła do szpitali blisko 40 tys. palet z łózkami i sprzętem medycznym. Ciężarówki Poczty Polskiej przewoziły materiały do składnic Agencji Rezerw Materiałowych oraz do magazynów wojewodów i innych instytucji zlokalizowanych w całym kraju. W sumie pocztowcy przejechali ponad 230 tys. km, zorganizowali blisko 1,2 tys. takich transportów. Przewozy realizowane były w trybie całodobowym, także w weekendy.



– Dziś Poczta Polska udowadnia swoją wyjątkową rolę, jaką jest świadczenie usług na rzecz wszystkich obywateli. Spółka jest strategicznym partnerem państwa przy realizacji kluczowego dla społeczeństwa zadania, jaką obecnie jest walka z COVID-19. Posiadając największą sieć dystrybucyjno-logistyczną w naszym kraju, możemy dobrze wywiązać się z takich działań – dodaje Tomasz Zdzikot.

Jednocześnie Poczta Polska rozbudowuje swoje usługi logistyczne. W tym roku liczba klientów korzystających z krajowej przesyłki paletowej wzrosła o 16 proc. Transport ładunków paletowych, zarówno drobnicowych, całopojazdowych, jak i częściowych, to kluczowa gałąź logistyki Poczty, którą firma sukcesywnie rozwija zarówno w kraju, jak i w Europie (m.in. w Niemczech, Francji, Włoszech, Wielkiej Brytanii, Holandii). Na początku tego roku zostały uruchomione

bezpośrednie połączenia z Litwą, Łotwą, Estonią, w lipcu wyjechały pierwsze bezpośrednie transporty do Czech i Słowacji.

By usprawnić funkcjonowanie sieci logistycznej, Poczta wspólnie z Narodowym Centrum Badań i Rozwoju uruchomiła projekt pt.: „Metody symulacji i analizy sieci logistycznych operatorów pocztowych”. Przebudowa i dostosowanie sieci do potrzeb walki rynkowej wymaga zmian. Konieczne jest nowoczesne narzędzie do optymalizacji tak dużego i złożonego systemu.

– Kluczem do odniesienia sukcesu jest umiejętność szybkiego reagowania na dynamicznie zmieniające się potrzeby klientów. Poczta inwestuje w rozwiązania o wysokim potencjalnie innowacyjnym i konsekwentnie dąży do wprowadzenia najnowocześniejszych rozwiązań technologicznych i ulepszenia procesów logistycznych – podkreśla Andrzej Bodziony, wiceprezes zarządu Poczty Polskiej. 

Stopy pod dobrą opieką



Lato to okres sprzyjający zakażeniom grzybiczym. Jeśli wróciliśmy z taką pamiętką z wakacji i nie możemy jej wyleczyć, warto zasięgnąć porady dermatologa i włączyć skuteczną terapię

W pierwszej chwili nikomu nie przychodzi do głowy skojarzenie, że uporczywe spędzenie stóp może być objawem grzybicy. Myślimy, że to sucha po opalaniu skóra albo podrażnienie. W końcu znamy zasady higieny i je stosujemy! Jednak latem, gdy ciepło i wilgoć sprzyjają rozwojowi grzybów, zakażyć się możemy, nawet spacerując boso po drewnianym pomoście, wyciągając nogi w kokpicie wypożyczzonej łódki czy korzystając z hotelowych ręczników. Bardzo często pierwsze w rodzinie zaraża się dziecko. Podczas upału trudno zabronić mu biegania z bosymi stópkami. Stawiając kroki tam, gdzie wcześniej ktoś rozsiał złuszczoną chorą skórę, szybko się infekuje. I tak nasza pociecha staje się nosicielem grzybicy, dzieląc ją z całą rodziną, nawet już po powrocie z wypoczynku, w naszych domowych, czystych dotąd warunkach.

ODWIECZNY PROBLEM – GRZYBICA

Grzybice są zakażeniami znanymi nam od dawna. Jednak paradoksalnie wraz z rozwojem medycyny, gdy coraz nowocześniejsze leki i terapie działają coraz skuteczniej, rozwija się lekooporność grzybów, a nawet zwiększenie częstotliwości ich występowania i pojawianie się nowych szczepów.

Choć infekcje grzybicze nie są zwykle zagrożeniem życia, to łatwość zakażenia i przewlekły przebieg choroby są dużym wyzwaniem dla lekarzy.

Zakażenia grzybicze są częstymi infekcjami skóry i stanowią poważny problem epidemiologiczny oraz terapeutyczny. Szacuje się, że grzybica stóp (łac. *tinea pedis*) dotyka 30–70 proc. populacji. Grzybice uznawane są za jedną z bardziej rozpowszechnionych grup schorzeń dermatologicznych wśród dzieci na całym świecie.

Nasilenie odczynu zapalnego zależy zarówno od układu odpornościowego gospodarza, jak i właściwości zakażającego grzyba. Na zakażenie narażone są najbardziej osoby z obniżoną odpornością, czyli chorujące na cukrzycę, nowotwory, choroby przewlekłe wymagające długotrwałej terapii farmakologicznej, pacjenci po przeszczepach, osoby starsze oraz poddawane dużemu stresowi.

POTRZEBNA TRAFNA DIAGNOZA

Wiele zależy od nas. Pierwsze objawy mogą być dla nieprawego oka mylące. Jednak nieustępujące swędzenie,

W zależności od obrazu klinicznego wyróżniamy następujące odmiany grzybicy: odmianę międzypalcową, która dotyczy najczęściej III i IV przestrzeni międzypalcowej; odmianę potnicową – dotyczącą podeszew; odmianę złuszczącą przebiegającą z nadmiernym złuszczeniem i rogowaceniem podeszew i brzegów stóp. Głównymi czynnikami sprawczymi są *Trichophyton rubrum*, *Trichophyton mentagrophytes* var. *interdigitale* i *Epidermophyton floccosum*.

pieczenie spowodowane mikropęknięciami skóry, rozpułchnienie zakażonych okolic powinno być sygnałem, że warto sprawdzić, czy nie zainfekowaliśmy się grzybicą. W kolejnych dniach skórę pokryją drobnutkie pęcherzyki, które będą się łuszczyć, a skóra będzie pękać. Te miejsca staną się wówczas bardzo podatne na zakażenia bakteryjne. Na tym etapie pieczenie i ból stają się trudne do wytrzymania. To najwyższy czas, aby poradzić się lekarza, gdyż nieleczona grzybica zaczęnie się rozprzestrzeniać w inne rejon. Rozpoznanie kliniczne wymaga potwierdzenia laboratoryjnego, gdyż objawy grzybicy często imitują inne dermatozy, a określenie gatunku pasożytującego grzyba pomaga dobrać odpowiednie leki. Badanie mykologiczne polega na pobraniu próbki chorej skóry i jej analizie mikroskopowej. Istotne jest to, aby badany materiał nie był w kontakcie z żadnym preparatem leczniczym w ciągu ostatnich siedmiu dni przed badaniem. Lekarz,

znając wyniki, przepisuje odpowiednie leczenie miejscowe, a gdyby choroba nie ustępowała, dołącza leki doustne.

PIERWSZA POMOC I PROFILAKTYKA – W NASZYCH RĘKACH

Zanim objawy skonsultuje dermatolog, warto reagować, nie czekając, aż choroba się rozwinie. Na rynku, w aptekach, dostaniemy preparaty bez recepty. Są to produkty w różnej postaci: kremu, maści, żelu, pudru, a nawet aerozolu do stosowania miejscowego, zawierające substancje czynne o działaniu przeciugrzybiczym i przeciwbakteryjnym. Co ciekawe, niektóre z tych preparatów – np. mikonazol w aerozolu – wykazują doskonałe działanie profilaktyczne. Badania kliniczne wykazały, że regularne stosowanie preparatu, nawet raz dziennie, zmniejsza ryzyko rozwoju grzybicy i nie jest związane z działaniami niepożądanymi. Aby uniknąć ponownego zakażenia, trzeba oczywiście zdezynfekować swoje narzędzia do pedicure, pozbyć się starych szczoteczek i gąbek kąpielowych. Ręczniki i skarpety warto wygotować lub uprać w najwyższej temperaturze. Zdezynfekować trzeba także buty. Należy pamiętać, że okazja do zakażenia nie minęła z latem. Nadchodząca zima oznacza kolejne możliwości do zainfekowania się grzybicą – poprzez wypożyczone łyżwy czy buty narciarskie, wizyty na basenie. Bądźmy więc ostrożni!

Anna Raciniewska

Miconal®

Miconazoli nitras 3,29mg/g, **aerozol na skórę**

Doświadczony partner w walce z grzybicą

**Szerokie
spektrum działania**
przeciugrzybicze i przeciwbakteryjne¹

Lek dostępny bez recepty

Mikonazol jest stosowany miejscowo: w grzybiczych zakażeniach skóry (grzybica głowy, tułowia, rąk, stóp i między palcami, pach, pachwin); w zakażeniach mieszanych grzybiczo-bakteryjnych.¹
Przeciwwskazania: nadwrażliwość na mikonazol lub na którąkolwiek substancję pomocniczą. Nie należy stosować produktu w leczeniu zakażeń grzybiczych owłosionej skóry głowy, paznokci, błon śluzowych oraz na rannej skórze.¹

1. Charakterystyka Produktu Leczniczego Miconal aerozol

MIC/549/07/10/2020



TZ 

Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Pofa” Spółka Akcyjna,
03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.

eprasa.pl 007d992059



Talarki, żentyca, samosa

Mój rodzinny Kraków, od kiedy pamiętam, smakował mi obwarzankami. Mieszkalam w centrum, na Kazimierzu, i jak biegałyśmy z dziećmi, a potem ze szkolnymi przyjaciółkami po okolicznych ulicach, a nie miałyśmy za dużo kasy, to na pojawiający się głód najlepszy był obwarzanek – z sezamem albo z solą.

Z krakowskim Teatrem Tańca (do którego dołączyłam jako nastolatka i gdzie rozwijałam taneczną pasję i sztukę) przez pięć lat często bywałam w zakopiańskim Teatrze Witkacego.

Wystawialiśmy tam spektakle, przed nimi mieliśmy próby, ale też okazje do bliższego poznania miasta i okolic.

Zakochałam się wtedy w Zakopanem, a potem znalazłam miłość, która zatrzymała mnie w górach na dłużej. Dziś to już zamknięty rozdział, od jakiegoś czasu mieszkam w Warszawie, ale sentyment do Zako(ch)pianego pozostał.

Smaków, które kojarzą mi się z Tatrami, nie znajdzie się na Krupówkach. To m.in. zupa z żentycy (zwanej też zintycą lub zimborą), czyli serwatki z mleka owczego, która powstaje przy wyrabianiu oscypków i bundzu. Żentyca jest nie tylko bardzo zdrowa, lecz uważa się ją za lokalny afrodyzjak. Może więc to ona zatrzymała mnie tam na dłużej [śmiech].

Zupę gotuje się na żeberku, dodaje kawałek kielbasy, obowiązkowo czosnek, marchewkę i pietruszkę. Całość jest kwaśna – bo baza ma taki smak – ale to też jest przepyszne.

Jedną z moich pasji, obok aktorstwa i tańca, stały się podróże. Zaraz po maturze pojechałam do Indii. Nie było wtedy Google Maps. Przez miesiąc wędrowaliśmy ze zwykłymi mapami w plecakach, prowadzeni przez lokalnych przewodników. Fantastyczna przygoda...

Nie wiem, czy to było mądre, ale jedliśmy dania gotowane dosłownie na ulicy. Przeżyliśmy. Od tamtej pory byłam jeszcze parę razy w Indiach i nadal jestem nimi zafascynowana, ale to w czasie tej pierwszej podróży dosłownie oszłomiły mnie zapachy tamtejszych przypraw i smaki dań. Zjadałam się pierożkami samosy i innymi przysmakami.

Podróżując w zupełnie innym kierunku, odkrywałam walory przyrządzanych na miejscu np. włoskich potraw. Też jestem ich fanką. Uwielbiam wszelkie pasty i makarony.

Muszę się jednak do czegoś przyznać. Choć ograniczam mięso – pamiętając, w jaki sposób się je pozyskuje – daniem, na które co jakiś czas sobie pozwalam i które zawsze mi smakuje, jest... schabowy. Z ziemniakami i kapustą. Takiego obiadu nic nie przebiję.

Jolanta Gajda-Zadworna

Mam taki obraz w głowie. Coś jak flesz, przebitka dopełniona zapachem i smakiem.

Mam ze trzy, a może cztery latka, jem grysik, który przygotował mi tata, i oglądam bajkę w telewizji. Naprawdę widzę ten grysik, czuję, jak pachnie, i wiem, że mi smakuje. Bardzo miłe wspomnienie.

Pochodzę z Krakowa, czyli Małopolski, gdzie dawniej na rozgrzanych kuchennych piecach z fajerkami powstawały m.in. chrupiące talarki. Taką kulinarną tradycję moja mama przeniosła ze swojego rodzinnego domu – z braku pieca gazowe palniki przykrywała specjalną blachą i kładła na nią plasterki ziemniaków. Bez tłuszczu i czegokolwiek na wierzchu.

Takie chipsy jedliśmy z masłem, solą i pokrojoną surową cebulą. Do tej pory, jak przyjeżdżam do mamy, wyciąga blachę i robi dla mnie te niesamowite w smaku placuszki.

Jest jeszcze jedna potrawa, którą absolutnie uwielbiam, pochodząca tym razem z rodzinnego domu taty. Pojawia się raz w roku, na Wigilię, kiedy w kuchni zaczyna pachnieć barszcz, ale nie czerwony, tylko biały. Z grzybami. Jest rewelacyjny.

Sałatka z papai

Wykonanie: Stopić masło na patelni. Podsmażyć: szparagi (smażą się najdłużej), dynię piżmową pokrojoną w kostkę, papaję pokrojoną w kostkę. W połowie smażenia posypać cynamonem i odrobiną soli. Smacznego.)



Fot. Shutterstock

SŁODKO-SŁONY



Sita kurkumy

ANNA MONICKA

To było jeszcze przed wiosennym lockdownem, byłam po receptę u mojego endokrynologa i jakoś tak naturalnie rozmowa zeszła na chińskiego wirusa. Że to zemsta. Natury za to, co ludzka rasa zrobiła Ziemi. Zwierząt za to, jak je obrzydliwie wykorzystujemy. Że karma wraca (w co i ja wierzę) i że trzeba przystopować z gromadzeniem, że przydałby się nam kurs z japońskiego minimalizmu.

A skoro już o Dalekim Wschodzie mowa – że najlepsze na takie wirusy są ich przyprawy, co to wypalą ogniem każdą zarazę. Pan doktor lubi podróże po Azji, ostatnio był w Tajlandii, Wietnamie i zdążył jeszcze wpaść do Japonii. „Niech pani sypie chili i kurkumę do jedzenia – zalecił. – Jak najwięcej, ile pani da radę. Zresztą do picia też”. Gdy usłyszał, że robię to od dawna, a od wody z kurkumą zaczynam dzień, bardzo się ucieszył. „I świetnie, tak trzeba, ale kurkuma musi być wzmocniona pieprzem kajeńskim albo chili. Lepiej się wchłania – powiedział pan doktor. – Z ich wirusami trzeba walczyć ich bronią. W klimacie, jaki tam panuje, parnym, upalnym, wylęga się tego mnóstwo, a ludzie jakoś dają radę, prawda?”

Na szczęście kurkumę można u nas kupić i w proszku, i w kłaczach. Wygląda trochę jak imbir (są krewniakami), ale bardziej przypomina spasiońskie pędraki. Po przekrojeniu imbir jest złotawożółty, a kurkuma ma intensywny, głęboki kolor pomarańczowy. Bardzo energetyczny, ale okropnie trwałe, gdy pobrudzi ręce. Kurkuma jest jedną z najzdrowszych przypraw – przeciwwirusową, przeciwbakteryjną, pomagającą na trawienie.

Oba korzenie ścieramy do rondelka na tarce – kawałki wielkości kciuka. Do tego wkładamy korę cynamonu i kilka goździków. Gotujemy na wolnym ogniu. Jeśli ktoś ma porządną, ususzoną skórkę cytrynową, pomarańczową lub bergamotkową – warto ją dołożyć do tej zdrowotnej mikstury. Szczyptę chili lub pieprzu też. Gotujemy napój kilka minut, potem lekko podstudzamy i wkładamy do garnka pokrojoną w plasterki cytrynę i pomarańczę, dosładzamy miodem. Pijemy na ciepło – można od tego napoju zacząć dzień, można też, jak ja, sączyć wolno do wieczora. Każdy sam powinien sobie wyregulować moc, ja lubię, jak lekko parzy w język.

Fot. archiwum autorki

WILCZYM OKIEM



Węch według Hegla

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gdyby Hegel miał węch jak niedźwiedź, z pewnością nie odrzuciłby zmysłu powonienia (jak również zmysłu smaku i dotyku) jako narzędzia poznawczego, pozostawiając tę rolę jedynie wzrokowi oraz słuchowi i nie napisałby w „Wykładach o estetyce”, że „co się zaś tyczy powonienia, to również ono nie może być organem odbioru wrażeń artystycznych [...]”.

Jakie bogactwo zapachów i jakie ich niuanse wyczuwa niedźwiedź, tego nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Człowiek, jako jeden z niewielu wyjątków wśród ssaków, posługuje się przede wszystkim zmysłem wzroku. Większość przedstawicieli gromady *Mammalia*, czyli ssaki, niemal wszystko: poznanie świata, orientację w przestrzeni, kontakty towarzyskie, potrzeby życiowe – a także odczucia estetyczne – realizuje przede wszystkim za pomocą powonienia. Na przykład borsuk, nasz największy łasicowaty, wzrok ma słaby, tak że mógłby nie zauważyć stojącego obok człowieka i przejść obok – ale na pewno wyczułby go. Ze światem, a zwłaszcza z innymi borsukami komunikuje się zapachami pozostawianymi na przykład wraz z wydzielinami narządu zapachowego ogonowego. Zapachowy ślad na pniaku mówi o zwierzęciu wszystko: jak się czuje, czy szuka partnera, czy też lepiej nie wchodzić mu w drogę, bo akurat ma młode. Przy zdobywaniu pożywienia, drobnych zwierząt, głównie dżdżownic, także znacznie przydatniejszy dla borsuka jest węch.

Młody, dopiero urodzony jeleń, nie wydziela zapachu. Dopóki leży w trawie lub leśnym runie, nieruchomo czekając na matkę, jest praktycznie nie do namierzenia przez drapieżnika. To dlatego, co nam wydaje się dziwne, młody jelonek nie porusza się, nawet nie drgnie, jeżeli przypadkiem napotka go człowiek. Jako wzrokowcy widzimy go doskonale, tymczasem on nie reaguje. Nie dlatego, że jest sparaliżowany strachem, ale dlatego, że liczy na swoją zapachową niewidzialność. Po kilku dniach musi jednak z niej zrezygnować, żeby zaistnieć w przyrodniczej, pełnej woni rzeczywistości. Inaczej nie mógłby w niej funkcjonować.

Węch przywołanego na wstępie niedźwiedzia jest dwa tysiące razy czulszy od węchu ludzkiego. Jak prezentuje się bogactwo świata kreowanego za pomocą zapachów i postrzeganego zmysłem węchu możemy próbować się domyślać – choć bez niedźwiedziego nosa będzie to zapewne trudne nawet dla filozofa.

Fot. Shutterstock

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Substitutio



www.wojciechreszczyński.pl

Obecny czas wyjątkowo sprzyja zwolennikom teorii spiskowych, których jakoś jednak usprawiedliwiam, jako że sam należę do zwolenników spiskowych praktyk, które wcześniej mogły być jakimś spiskowymi teoriami. A to dlatego, że lepiej bada się praktyczną rzeczywistość niż aprioryczną teorię.

Pisałem już na tych łamach, że używane powszechnie w świecie słowo „naziści” jako substytut słowa „Niemcy” nie pojawiło się przypadkowo, a już na pewno nie z szacunku i pokajania się powojennych Niemców w stosunku do państwa Izrael. Za tym „substitutio”, czyli z łaciny „podstawieniem”, stały grube pieniądze wypłacane przez Niemcy Izraelowi oraz ostateczna deklaracja premiera Izraela Ben Guriona, wyrażona na spotkaniu z kanclerzem Niemiec Konradem Adenauerem w Nowym Jorku w 1960 r., że słowo „Niemcy” w żydowskiej modlitwie za ofiary ludobójstwa w III Rzeszy zostanie zastąpione słowem „naziści”, jako że dzisiejsze Niemcy nie są Niemcami wczorajszymi.

Udało się to substitutio i w ten sposób Niemcy zdjęli z siebie odpowiedzialność za II wojnę światową, więcej – sami stali się ofiarami nazistów, z którymi musieli walczyć, o czym wspominał kiedyś Władimir Putin, wychwalając niemiecki ruch oporu, równocześnie milcząc o polskim wkładzie wojennym w zwycięstwo nad Niemcami.

Substitutio ma się dobrze, czego potwierdzeniem jest ostatni tekst ambasadora Niemiec w Polsce Arndta Freytaga von Loringhove, wcześniej wiceszefa niemieckiego wywiadu BND, a ostatnio szefa wywiadu NATO. Pisząc o 75. rocznicy procesu norymberskiego, stwierdził, że „przed sądem stanęli mężczyźni odpowiedzialni za najohydniejsze zbrodnie w historii, a mimo to sędziowie umożliwili im sprawiedliwy proces i jest to triumf cywilizacji nad

barbarzyństwem”. A zatem już nie Niemcy, nawet już nie naziści, ale jacyś „mężczyźni” byli odpowiedzialni za hitlerowskie zbrodnie. Ambasador zapomniał o zbrodniczych „kobietach” w mundurach SS, a poza tym, aż próbuję dać upust swojej fantazji, co by było, gdyby wspominając zwycięstwo cywilizacji nad barbarzyństwem, dodał, że chodzi o cywilizację chrześcijańską. Wszak to ona, a konkretnie Kościół katolicki, wyeliminowała z historii ludzkości barbarzyńską zemstę, zastępując ją sądami. Nad wyraz precyzyjnie, w swoich pracach naukowych, pisze o tym fenomenie prof. Feliks Koneczny.

Tak więc po historycznym porozumieniu katar z ofiarą w hotelu Waldorff Astoria w Nowym Jorku, które zapoczątkowało ze strony Izraela i Niemiec nasilającą się z roku na rok propagandę przeciwko Polsce, trwa systematyczne zastępowanie „Niemców” „nazistami”, a teraz zwykłymi ludźmi, enigmatycznymi „mężczyznami”. Równocześnie niemieckie pokolenia wychowane w powojennym dobrobycie, dziś zarządzające prawie całą Europą za pomocą UE, nie ustają, aby ten śmiertelnie ciężki przypadek, jaki zdarzył się Niemcom w latach 30. i 40., nie był czymś odosobnionym, typowym jedynie dla Niemców.

Wychodząc z teorii spiskowych na grunt spiskowej praktyki, widzieliśmy tzw. urodziny Hitlera, TVN-owską inscenizację „polskich faszystów”. Obraz miała podbudowywać w świecie „narracja”, że oto kult Hitlera przetrwał w Polsce i stale się rozwija pod rządami nacjonalistycznej konserwatywnej prawicy. Ostatnio pojawiły się na ulicach polskich miast kobiety z runicznym znakiem 4, który w wersji pojedynczej symbolizował Hitlerjugend, a wersji podwójnej 44 – zbrodniczą organizację SS – Schutzstaffel. Trwa osławianie Europy z tym znakiem w nowym polskim kontekście. Wydobyte po latach

starogermańskie runy nie pojawiły się ot tak sobie w głowach dość prymitywnych organizatorek tzw. strajku kobiet. Ich prywatna fundacja o tej nazwie zebrała już 1,5 mln zł darowizn, trudnych do zweryfikowania, co pozwoli jej dalej walczyć ze znienawidzonym rządem, bo przecież nie chodzi tu o żadne „prawa kobiet”. Liberalna postchrześcijańska Europa z lubością lubi opowiadać o „tyśiącach faszystów” manifestujących w Warszawie. Wymyślił to Guy Verhofstadt, europejski polityk, który może być autorytetem w tych sprawach, gdyż pochodzi z Flamandii, która za czasów Hitlera wystawiła wielotysięczny dywizjon Waffen SS.

Niemieckie substitutio nie byłoby możliwe bez udziału pełnych poświęcenia współczesnych folksdojczów. Ulokowali się w samorządach, m.in. Gdańsk i Wrocław. Rondo Wolnego Miasta Gdańsk w polskim Gdańsku czy tramwaje z napisem „Danzig” to jakaś forma uwiarygodnienia się względem nowego suwerena, który byłoby najlepiej, gdyby rozdysponowywał środki unijne z pominięciem polskiego rządu, finansując wyłącznie samorząd.

Kończy się felieton, w którym nie sposób opisać wielu innych form osławiania opinii publicznej na Zachodzie w przekonaniu, że tamten niemiecki „błąd” nie jest w Europie czymś wyjątkowym i charakterystycznym tylko dla Niemców, skoro Polska także potrafi nie szanować praw człowieka, przejawia antysemickie i ksenofobiczne uprzedzenia, a ostatnio, wzorem nazistów, atakuje miejsca kultu i nawołuje do palenia kościołów, jak kiedyś Niemcy palili synagogi. Jednym słowem, nauczenni doświadczeniem podpowiadają, że trzeba wziąć za Polskę odpowiedzialność. Najlepiej wcisnąć ją jak dawniej pod europejski pruski but.

Ekspert do walki z pandemią

Najwyższy czas uderzyć na alarm! To, co się dzieje, nie jest tylko poważnym niedopatrzaniem rządu. Dlatego już teraz muszę oficjalnie i stanowczo postawić pytanie. Jak to możliwe, że w walce z pandemią do tej pory rząd nie korzysta z wiedzy, doświadczenia, potencjału intelektualnego Jerzego Owsiaaka? Jego fachowego przygotowania, które plasuje go w gronie najwybitniejszych światowych ekspertów. Tak naprawdę to nawet nie chcę znać odpowiedzi na moje pytanie. Słuchania jakichś płytkich i niewiarygodnych wyjaśnień, za które musiałbym się rumienić ze wstydu.

Trzeba spojrzeć gorzkiej prawdzie w oczy. Stosowany przez PiS styl działalności jest po prostu skrajną nieodpowiedzialnością. Jeśli rząd nadal na najbardziej odpowiedzialne stanowiska do walki z pandemią koronawirusa będzie rekrutował (to słowo lepiej oddaje ducha walki niż np. „angażował” – dop. J.J.) niewłaściwych ekspertów, nigdy nie uporamy się z grasującym zagrożeniem, zbierającym tragiczne żniwo.

Szczęśliwie Polska ma Jerzego Owsiaaka, znanego jako twórcę i prezesa Fundacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, ale przecież także wybitnego znawcę wszystkich problemów, ważnych do podjęcia skutecznej walki

z pandemią. Wystarczy wsłuchać się uważnie w jego liczne wypowiedzi dla mediów, aby się przekonać, że jest w stanie sam pokierować strategią, która gładką drogą poprowadzi rząd do pełnego pokonania pandemii.

Aby przekonać niedowiarków, podam tylko kilka przykładów pokazujących, jak wysokiego poziomu dotyka znajomość rzeczy przez Jerzego Owsiaaka. Zacznę od skali międzynarodowego rozpoznania.

„Widzieli państwo materiały innych krajów, jak tam wyposażone są szpitale tymczasowe?” – bezkompromisowo pyta ekspert Owsiaak. A po chwili ze swobodą przytacza ciąg technicznych nazw, od których zakręciło mi się w głowie: „Szpitale potrzebują respiratorów, kardiomonitorów, pulsoksymetrów, koncentratorów tlenu”.

Najbardziej do mojej wyobraźni przemówiła prosta, a jakże celna uwaga Owsiaaka: „Respirator to nie termometr. Kupując go, trzeba to robić z głową.”



**Jerzy
Jachowicz**

Grudzień pełen atrakcji z tygodnikiem **SIECI** 1-14 grudnia

1.12 WTOREK Zamówić prenumeratę SIECI + HISTORII z prezentami tel. 22 616 36 00	2.12 ŚRODA 3 tygodnie do świąt! 	3.12 CZWARTEK Upiec pierniczki 	4.12 PIĄTEK OSTATNIA SZANSA! Prenumerata z prezentami Zamówić: tel. 22 616 36 00	5.12 SOBOTA Zapakować prezenty na Mikołajki	6.12 NIEDZIELA Mikołajki 	7.12 PONIEDZIAŁEK Kupić SIECI
8.12 WTOREK Zrobić listę prezentów	9.12 ŚRODA 2 tygodnie do świąt! 	10.12 CZWARTEK SIECI HISTORII wPolityce.pl Zamówić subskrypcję za 9,99 zł www.SiecPrzyjaciol.pl	11.12 PIĄTEK Nastawić buraczany zakwas	12.12 SOBOTA Rodzinne lukrowanie pierniczek 	13.12 NIEDZIELA Zrobić śledzie w occie i w oleju	14.12 PONIEDZIAŁEK Kupić świąteczne wydanie SIECI

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nekroodwaga

Zadzwoił kolega, dawny kolega. Mieszka w Nowym Jorku od prawie dwóch dekad. Poznaliśmy się w czerwcu 1991 r. na ćwiczeniach wojskowych. Zadzwoił i powiedział: „Miałeś rację”. Przyznam, że zamilkłem, bo kompletnie nie miałem pojęcia, o co chodzi. A on przypominał, że wtedy, na tych ćwiczeniach, siedzieliśmy w świetlicy i oglądaliśmy relację z pielgrzymki naszego papieża do Polski. Nie pamiętałem zupełnie tego faktu, a ćwiczenia – jeszcze wtedy bardzo ludowowojskowe, rozplynęły się we mgle półpamięci. Podobno wtedy, słuchając kieleckiej homilii Papy, powiedziałem: „Oni mu tego nie odpuszczają”. I teraz „kolega z wojska” zadzwonił z daleka, aby przyznać, że były to słowa profetyczne, że się niestety spełniają. Pamiętacie, czytelnicy, tego górala, który z wysokości ołtarza mocnym głosem, z niebywałym przejęciem i niemal krzycząc powiedział: „To jest moja matka, ta ziemia! To jest moja matka, ta Ojczyzna! To są moi bracia i siostry! I zrozumcie, wy wszyscy, którzy lekkomyślnie podchodzicie do tych spraw, zrozumcie, że te sprawy nie mogą mnie nie obchodzić, nie mogą mnie nie boleć! Was też powinny boleć! Łatwo jest zniszczyć, trudniej odbudować. Zbyt długo niszczone! Trzeba intensywnie odbudowywać! Nie można dalej lekkomyślnie niszczyć!”. Papież wiedział, co mówi, widział daleko dalej, niż przypuszczaliśmy. A był to głos w sprawie nienarodzonych, mordowanych dzieci, zakatowanych w łonie matki maluszków. Jan Paweł II wyszedł poza homiletyczny wymiar kazania, poza jego czysto egzegetyczny charakter, poza częsty sentymentalno-wspomnieniowy, tak uwielbiany przez wszystkich, wymiar swojego pontyfikatu: „Wówczas sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędział wszystkich ze świątyni” (J 2, 13-15). Dla naszego papieża Polska była świątynią i buntował się przeciwko tym, którzy mogli ją skałać, znieprawiać, zniszczyć.

Ile dziewcząt z tamtego, wówczas wsłuchanego w gniew Jana Pawła II wielotysięcznego tłumu, po niemal 30 latach wyszło na ulicę z błyskawicą na twarzy, na sumieniu, na mózgu? Ilu spośród tych, którzy w 1979 r. w Warszawie słuchali w osłupieniu: „Niech zstąpi Duch Twój...”, uznało, że wiara w jakieś duchy to zabobon?

Ilu z tych, którzy Papę oplakiwali i darli gardła „Santo subito”, teraz głośno i odważnie utożsamia go z kardynałem kanalią z USA? Ilu z tych, którym jako klerykom błogosławił, dopuściło się grzechu sodomii? Nie wiem. Ale nie jestem pewien, czy chciałbym to wiedzieć.

Póki Jan Paweł II żył, był nietykalny. Ci, którzy nie mogli mu darować owej kieleckiej homilii, przycupnęli i czekali



**Aleksander
Nalaskowski**

na stosowny moment. Jak u Orwella dali sobie czas na odchowanie młodych szczeniaków do rozmiarów wielkich i niezbyt rozgarniętych brytanów, aby je spuścić ze smyczy, gdy przyjdzie czas. Właśnie teraz, gdy nieżywy papież jest zupełnie bezbronny. Bo dopiero po jego śmierci można wykazać się odwagą. A ta odwaga to niszczenie pomników, wizerunku, pamięci – tak samo bezbronnym jak nieżywy papież. To jak zdewastowanie grobu swojego wierzącego za to, że musimy mu być wdzięczni za otrzymaną odepną pomoc. Zaiście – wielka to odwaga. Gdzie jeszcze władze Warszawy wyświetlą błyskawicę? Na grobie Nieznanego Żołnierza, na Świątyni Opatrzności Bożej, na mogiłach „Alka”, „Żośki” i „Rudego”? Gdzie i do kogo można krzyknąć „W...ć!”? Skoro już tym bluzgiem obrzucono

JP2, to teraz kolej na jego matkę, bo „to jest moja matka, ta ziemia!”

Pytam dzisiaj, gdzie są rektorzy uniwersytetów, uczelni, które prześcigały się w nadawaniu doktoratu honorowego Janowi Pawłowi II, gdzie są wszyscy trzeźwo myślący historycy, politolodzy, którzy zapoznawszy się z raportem w sprawie kardynała sodomity, powiedzieliby wszystkim, że tam naprawdę nic nie wskazuje na jakakolwiek winę naszego papieża. Dlaczego wszyscy czytają tylko nagłówki gazet, słuchają buców tłumnie wypełniających telewizyjne studia i komentujących tę sprawę? Dodam, że to bucofilia zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Durniem się jest bowiem bez względu na opcję polityczną. Któryś z nich nawet powiedział, że Jan Paweł II został świętym bez stwierdzenia cudu za jego pośrednictwem. Nie było cudu? A Solidarność, a upadek komunizmu w Europie, a rozpad hegemonia na Wschodzie to za mało!? Czyż tego wszystkiego nam nie wymodlił? Kilka dni spędziłem pod bramą Stoczni Gdańskiej w ostatnich dniach sierpnia 1980 r. I widziałem, gdzie była nadzieja. W dziesiątkach portretów Jana Pawła II, którymi udekorowano całe ogrodzenie. I to nie był cud?! Śmiesz mnie pętać, które ujmując znaczeniu papieża, próbują to przypisać jakimś nieokreślonym procesom społeczno-politycznym. Nauki społeczne mają wciąż do wyżywienia wiele gęb pełnych frazesów...

Na początku ubiegłego tysiąclecia Polska robiła wszystko, aby mieć swojego świętego, syna tej ziemi, św. Stanisława. Zabiegaliśmy o to prawie 200 lat. To warunkowało prestiż państwa i jego pozycję w Europie. Na początku tego tysiąclecia Polacy robią wiele, aby się swojego świętego pozbyć.

Tak, wiedziałem, że tego Wojtyłę nie odpuszczają.

PS Tytuł poprzedniego felietonu pochodził od redakcji.

PRZEZ ŚWIETLIK

Slalom w zarazie

Może to ludyczne, może masowe, może drogie i wymaga absurdalnej ilości zachodu w stosunku do czasu osiągniętej przyjemności. Zakup sprzętu, ubrań, przygotowywanie tego wszystkiego, reelingi i pudło na dachu samochodu, zakładanie niewygodnych butów, kolejki do kas, marzenie na krzesłkach, tylko po to, by potem parę minut zjechać, ryzykując skręceniem lub zderzeniem z kimś innym.



**Wiktor
Świetlik**

Narty racjonalnie się nie bronią, jednak jest w nich coś takiego, że nieprawdopodobnie wprost dużo osób na nich jeździ. Łącznie z dziećmi nawet do sześciu milionów Polaków. Muszę stwierdzić, że ja też i bardzo mnie to cieszy. Cieszy mnie też to, że po raz kolejny stwierdzam, iż lubię w gruncie rzeczy te rzeczy co większość, a większość potrafi być rozsądniejsza niż najtępsze mózgi. Widać wjeżdżając po śniegu jest coś takiego, że ci wszyscy ludzie znajdują w tym przyjemność, ucieczkę, która nadaje sens trudnej codzienności. W sumie nie lubię nadmiernie komplikować sobie życia, ale dla tej jednej czynności robię wyjątek, bo rzeczywiście, tak jak wielu z was, jeżdżąc, odpoczywam.

A teraz mają zabronić. Larum. Placz. Lament. W sumie na razie Polska podchodzi do sprawy nader liberalnie. Włosi na co dzień są gotowi dopłacać do swojego narciarstwa, byleby przyciągało turystów, ale tamtejszy premier już zapowiada, że stoki zostaną zamknięte. Przewidywane straty? Bagatela, 20 mld euro. Tak samo chcą postąpić inne kraje. Austria, dla której spośród innych państw dochód ze stoków jest najważniejszy dla gospodarki, czeka na decyzje „na poziomie europejskim”. Nasi kombinują. Jak zrobić, by stoki były otwarte, by górale zarobili, ośrodki nie popadały i za rok nie były już wszystkie w rękach zagranicznych funduszy, jak swojego czasu kolejka na Kasprowy, lecz jednocześnie nie stały się wielkimi ogniskami zarazy. To kwadratura koła. Część ludzi trzeba – co tu dużo gadać – zniechęcić do przyjazdu, ale zachować tyłu, by się z jednej strony nie zarażali (czyli by nie było kolejek i przepelnionych wyciągów), a z drugiej by ośrodki, hotele i pensjonaty zarobiły chociaż na koszty. Brzmi jak kwadratura koła, ale to najmądrzejsze z podejść. Tak właśnie powinno się chyba działać. Dostosowywać do sytuacji. I co? Z jednej strony – mordując gospodarkę, znowu zakazy, mamy dosyć, model szwedzki, tam na pewno nie zamkną. Z drugiej – sfalszują statystyki, by podliczać się góralskiemu elektoratowi, narażają ludzi.

Trudno ludzi w Polsce, szczególnie gadające głowy, zadowolić. Przede wszystkim dlatego, że to głowy pełne bądź ideologii, bądź interesów, bądź jednego i drugiego. Nie wiem, jak będzie wyglądała sytuacja za dwa miesiące. Wtedy ją ocenię i pojadę na narty albo nie. Chciałbym, ale na pewno nie tak bardzo, by siebie lub innych zarażać. Ludzie zarażeni ideologiami już zdecydowali. W końcu albo nie będą bali się „gryпки sezonowej”, albo nie dadzą się zabić Morawieckiemu. Jak nie wirzycie, poczytajcie, co o tym piszą „poważni” komentatorzy na portalach ekonomicznych. Relacjonowanie sobie daruję, bo jak to mawiał Churchill – ważne, by wyczerpać temat, a nie słuchaczy. ▀



Z życia

Kościół

relacjonuje
**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Adwent w czasie pandemii to będzie coś o wiele więcej niż oczekiwanie na Boże Narodzenie. To dla wierzących czas na wiernie trwanie przy Chrystusie i Kościele atakowanym z coraz większą siłą. Jezus jest drogą, prawdą i życiem. Ciągłego odkrywania i pogłębiania swojej wiary właśnie teraz potrzebujemy bardziej niż kiedykolwiek. „Niech radosne oczekiwanie na przyjście Zbawiciela, który stał się człowiekiem podobnym do nas, napelni wasze serca nadzieją i pokojem” – powiedział papież Franciszek, zachęcając nas do dobrego przeżycia adwentu.

✕ ✕ ✕

2. Rekolekcje „Kobiety w adwencie”, „Nadchodzi niebo”, „Czas apokalipsy, czas nadziei”, misyjne rekolekcje dla dzieci i młodzieży... Jak co roku propozycji na dobre i ciekawe przeżycie adwentu nie brakuje, choć ze względu na epidemię większość z nich przeniosła się do internetu. Są rekolekcje radiowe, za pomocą mediów społecznościowych, serwisu YouTube, a nawet warsztatów online. Możliwości jest mnóstwo. Wszystko po to, by mimo ograniczeń adwent nie był straconym czasem.

✕ ✕ ✕

3. Światopoglądowy skręt w lewo dużej części sceny politycznej staje się coraz bardziej agresywny. Widać to chociażby na przykładzie żądań Strajku Kobiet. Postulaty: narodowej apostazji, sieci świeckich samorządowców i wsparcia dla uczniów, którzy nie chcą chodzić na lekcje religii, to tylko wycinek rozpędzającej się na naszych oczach antyklerykalnej nagonki. Słusznie w niedzielę Chrystusa Króla powiedział bp Mirosław Milewski: „Kościółowi w Polsce potrzebna jest wielka duchowa odnowa, a także reanimacja naszych pasterskich serc”. Pamiętajmy też, że niszczenie Kościoła, jako wspólnoty, doprowadzi w konsekwencji do zgaszania ducha narodu.

✕ ✕ ✕

4. Ponad 1,2 tys. profesorów polskich uczelni i pracowników instytutów badawczych podpisało się pod apelem o prawdę i szacunek w pamięci o św. Janie Pawle II. Ich zdaniem, ocierając papieża, pokazujemy brak szacunku dla najjaśniejszych kart w naszej współczesnej historii. To ważna i cenna inicjatywa. Musimy jasno i zdecydowanie bronić prawdy i wartości, inaczej robimy krzywdę samym sobie. Postępujemy zgodnie ze słowami św. Jana Pawła II: „Nauczcie się nazywać białe białym, a czarne czarnym, zło złem, a dobro dobrem. Nauczcie się grzech nazywać grzechem, a nie wyzwoleniem i postępem”. ▀

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Unia pecunia non olet

Kto nas w rzeczywistości zniechęca do Unii Europejskiej?

Trzeba być zwichrowanym intelektualistą z kręgu „GW”, żeby klepać w kółko, że PiS nas wyprowadza z UE. Wprost przeciwnie, PiS nam zapewnia w tej Unii podmiotowość. Walczy o respektowanie naszych praw. Wchodząc do wspólnoty, mieliśmy być wyciągnięci z zapyziałego zaścianka i pasowani na światłego Europejczyka. Takiego wice-Francuza, wice-Hiszpana czy nawet wice-Niemca. I dopóki rządy Donalda Tuska i jego awaryjnej następczyni realizowały politykę taniej siły roboczej do zbierania szparagów w Niemczech, sprawdzaliśmy się.



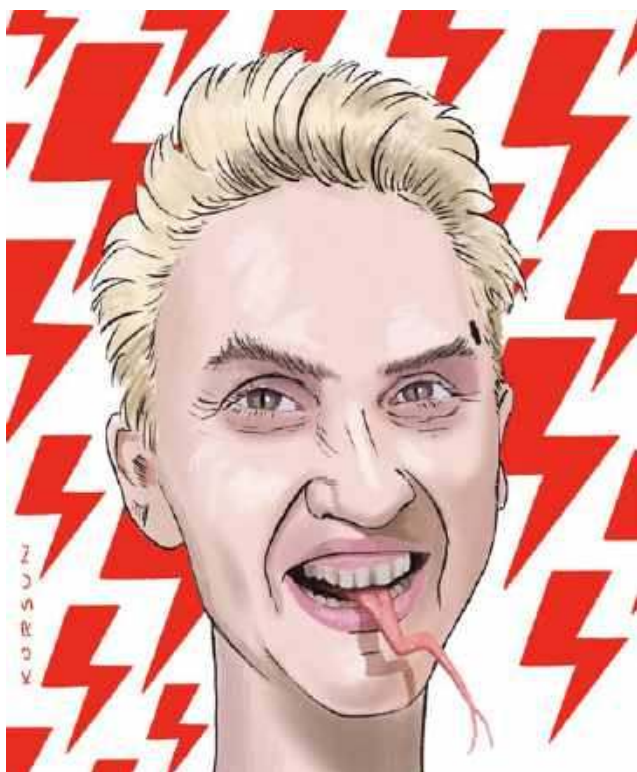
Ryszard Makowski

Sytuacja się skomplikowała, gdy do władzy doszło PiS i próbowało zreformować choćby sądownictwo. Cała ta wspaniała Europa stanęła na straży tego, żebyśmy mieli sądy na telefon i na łapówkę. Jakich interesów pilnuje kasta, że ma tak silną międzynarodową ochronę?

Najbardziej zraża do UE ta nasza, pożałujcie Boże, opozycja. Jej przedstawiciele w Brukseli wcale się nie kryją, że im „zdrada płynie z ust”. Obmierzłe typy, w tym stadko przefarbowanych pezetpeerowców, knują przeciwko Polsce za duuuuże pieniądze. Czy to jest reklama Unii?

Dzisiejsza Europa tapla się w dewianctwie i jeszcze nas straszy, że jak nie będziemy się razem z nimi taplać, to naruszymy praworządność. Brytyjczycy najwyraźniej się połapali, że struktury Unii są spenetrowane przez ludzi Sorosa, Moskwy i nie wiadomo kogo. I pożegnali kanclerz Merkel. My niestety nie jesteśmy na wyspie i opuszczać UE nie ma sensu. Gorzej, że ta Unia pewnie niedługo sama wyjdzie z siebie.

Michał Korsun prezentuje:
Język Scheuring-Wielgus



Wycinki z przeszłości

Cholera. Źródło i postęp zarazy w ciągu lat ostatnich – to tytuł notatki w kalendarzu (roczniku) Gebethnera i Wolffa na 1912 r. Czytamy: „Według raportów lekarzy, delegowanych przez rząd francuski do zbadania tejże sprawy, cholera, obecnie notowana na południu Europy, bierze początek z Indyi. W r. 1902 pielgrzymi muzułmańscy przynieśli ją do Hedžas z pielgrzymki odbytej do Mekki. W tymże roku przeniosła się do Egiptu, następnie do Damaszku, poczem w 1904 r. przez Persję i okolice Morza Kaspijskiego wkroczyła w granice Rosyi. Ogarnęła Baku, wybrzeża Wołgi i gubernię Saratowską. Następnie dała się poznać na Kaukazie (3000 wypadków). W r. 1905 zlekka gra-

sowała w Królestwie Polskim (600 wypadków), potem w Prusach Wschodnich i w prowincjach Niemiec (300 wypadków). W r. 1906 cholera nieco przycichła, lecz w 1907 uka-
zała się na południu Rosyi (13000 wyp.), skąd wtargnęła do Petersburga w r. 1908 (30000 wyp.).

(mk)



Dla przypomnienia, do pamiętania

22 listopada 1920 r. Lwów jako pierwsze w II RP miasto polskie został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Virtuti Militari. Uroczystej dekoracji dokonał naczelnik państwa Józef Piłsudski, który również na rynku lwowskim odbierał defiladę. W stulecie tej uroczystości polecam ten wiersz Mariana Hemara, urodzonego we Lwowie, jednego z najwybitniejszych polskich poetów ubiegłego stulecia.



Leszek Długosz

Marian Hemar (1901–1972)

*My jesteśmy z tej jedynej Troi,
Z tej jedynej na cały świat,
Którą kiedyś, w śmiertelnej potrzebie
Hektor zdołał przed wrogiem obronić,
A miał wtedy
Piętnaście lat.*

*A był wtedy w gimnazjalnym mundurku,
W surducinie ulicznego baciara,
A miał wtedy piętnaście lat,
Gdy w kul bzyku i granatów huku
Na kamieniu się urodził
Na bruku,
I na kamień swą śmiercią się kładł.
Ale miasto obronił swoje,
Ale swoją ocalił Troję.
A miał wtedy piętnaście lat.*

*

*Gdybym miał syna, gdybym chciał mu
Zostawić jedno przykazanie,
To jedno z wszystkiej mej miłości,
Co starczy mu po przyszły wiek,
To bym najciszej i najprościej
Tak jemu w chwili śmierci rzekł:*

*Po wszystkich nocach, świtach, ranach,
Po wszystkim żalu i tęsknocie,
Pamiętaj, myśląc o powrocie,
Że wracać trzeba na kolanach.
Ludzie prawią się i kłócą
Z losem co w drodze ich wytraca.
Ludziom się zdarza, że nie wrócą.
Ale ich naród zawsze wraca.*

*Po wszystkich dolach i odmianach,
Ucieczka kończy się powrotem.
Symu,
pamiętaj tylko o tem,
Że miłość wraca na kolanach.*

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ

Słowo Roku 2020

Nawet superwyzwolone kobiety nie mogą się całkiem uwolnić od jakiejś formy konserwatyzmu. Na czym będą budowały szacunek do siebie, skoro fundament matki, ostoi rodziny, opiekuńki jest passé?



Czy takim słowem okaże się „niepewność”? W świecie dobrobytu, wygodnego życia, licznych wolności niepewność srodze doskwiera. A w świecie pandemii doprowadza do rozpacz. Czy to przeciążenie niepewnością wyprowadziło kobiety i młodzież na ulicę? Wyrok TK był tylko pretekstem? Ileż konceptów na ten temat mamy.

KOBIETY RZĄDZA

Niektórzy uważają, że obecne protesty to wypowiedzenie posłuszeństwa państwu. Władza już nie ma co liczyć na posłuch, bo przestała się wywiązywać ze swoich powinności: państwo ma chronić, zapewniać bezpieczeństwo. A tu liczba chorych na COVID-19 ogromna, szpitale ponoć ledwo zipią, ludzie umierają, zdalna szkoła działa jak atrapa, Unia grozi, że pieniędzy nie da...

Niech wreszcie kobiety wezmą sprawy w swoje ręce: „Dziewczyny jesteścieśmy z wami!”.

Jestem przeciwniczką projektu pod nazwą „Strajk Kobiet”. Nie sądzę, by coś dobrego wnosilo wywieszanie tęczowych flag – ciekawe, że flagi LGBT towarzyszą protestom, który jest strajkiem jasno wyartykułowanej płci. Nie bardzo widzę, co dobrego potrafiłyby zbudować Marta Lempart czy Klementyna Suchanow. Nie wierzę, że jakimś kolejnym okrągłym stołem powiodą

Polskę ku lepszemu. Widzę jeszcze większą... niepewność.

BEZ INSTYTUCJI?

Społeczeństwo jako wspólnota kulturowa (nawet pominiemy już narodową) nie może trwać bez państwa i instytucji. Nie ma innych ram stabilizujących bezpieczeństwo, szanse rozwoju, aspiracji (także zawodowych), tworzenia i pracy dla dobra wspólnego, a nawet kompletnie lajtowego cieszenia się życiem.

Jakie państwo i instytucje proponują środowiska zaangażowane w podsycanie protestów w Polsce? Co ma być stabilizatorem nowego, postpisowskiego ładu społecznego?

Środowiska progresywne, feministki, dzenderyści ze swej natury nie lubią sztywnych ram. Nie lubią opresji i nacisku, z którym tradycyjne instytucje im się kojarzą. Hołubią za to swobodę, i to niemal we wszystkim, zwłaszcza swobodę decydowania. Ale swoboda decydowania na poziomie własnego ciała – nawet gdy czyni się to rozumnie – nie przekłada się na zarządzanie wielkim organizmem społecznym (na dodatek w świecie współzależności, bo na razie globalizacja trwa). Chyba nie przypadkiem liderki prowadzące kobiety na ulice nie bardzo kwapią się do formalnego wejścia w politykę. Bo jaki styl rządzenia krajem miałyby proponować... Osiem gwiazdek i słowo na „w”? To za mało. Prawda, Unia! Unia nas wyzwoła z ciemnogrodu i zapewni należyty porządek. Ale jak długo? Europa się tak starzeje i kurczy, w sensie kulturowym (cywilizacyjnym), że ta perspektywa rysuje się krucho.

SPRZECZNOŚCI, SPRZECZNOŚCI

Jak nowocześnie wyzwolone kobiety sobie poradzą, skoro wszystko, łącznie z płcią, ma być płynne? Jak regulować coś, co już nie może być na stałe definiowane, co ma ciągle być negocjowane? Podział na damskie i męskie ma tyle funkcjonalnych zastosowań, że bez niego zapanuje chaos. Nawet coś takiego jak rozdęte do granic rozsądku „prawa człowieka” potrzebuje stabilnych ram, bo na gruncie transhumanizmu owe prawa już nie będą oczywiste.

Prawem człowieka ma być prawo do aborcji. A co na to obrońcy planety i zwolennicy eko, czyż czyn ten nie jest jednym z najbardziej nieekologicznych, nienaturalnych, jakie może wyrządzać człowiek swojemu światu?

Nawet superwyzwolone kobiety nie mogą się całkiem uwolnić od jakiejś formy konserwatyzmu. Na czym będą budowały szacunek do siebie, skoro fundament matki, ostoi rodziny, opiekuńki jest passé? Realizowanie się w pracy zawodowej czy w jakiejś innej formie działalności twórczej, w świecie, w którym ma w ogóle nastąpić koniec pracy, wcale nie wygląda optymistycznie. Iluż badaczy zastanawia się, jak będzie wyglądała ludzkość, gdy rynek pracy tak się zmienia i kurczy, a co bardziej sensowne zajęcia przejmie sztuczna inteligencja?

Wiele jest sprzeczności w ideologii, której skrawki co rusz wylaniają się na tekturze protestów. Czy po chwili uciechy przyniesionej przez „moment anarchiczny” (określenie ikony feminizmu Judith Butler) pozostanie coś trwale dobrego?

Katarzyna Zybertowicz

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności

tygodnika **SIECI**

VIII EDYCJA
PLEBISCYTU

Już po raz ósmy wybieramy **Człowieka Wolności**,
czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą,
a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2019

Premier
**Mateusz
Morawiecki**



2018

Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
prof. Piotr Gliński



2017

Prezes Trybunału
Konstytucyjnego
Julia Przyłębska



2016

Prezes PiS
**Jarosław
Kaczyński**



2015

Prezydent RP
Andrzej Duda



2014

Poeta i pisarz
**Jarosław Marek
Rymkiewicz**



2013

Historyk z IPN
**prof. Krzysztof
Szwagrzyk**

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2020**.

Prosimy wypełnić kupon i **prześłać go do 11 grudnia 2020 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt”.
Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek **W**olności 2020 tygodnika **SIECI**

imię i nazwisko kandydata

uzasadnienie



Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2020 tygodnika Sieci” dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu



Organizator plebiscytu

Lotteria Świąteczna



Do wygrania

5 MILIONÓW

zakładów Lotto

oraz
ponad
500
nagród!



2x
Toyota
Yaris

20 x
SONY
Xperia 5 II



12 x
iRobot
Roomba s9



500 x
Bon upominkowy



Kup dowolne produkty za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z **5 milionów** zakładów Lotto.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!



Informujemy, że w gry liczbowe i loterie mogą grać jedynie osoby, które ukończyły 18 lat.

Szczegóły i regulamin na lotteriaswiateczna.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 26 listopada do 31 grudnia 2020 r. Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 5 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl



Bądźmy ostrożni! Pilnowanie mieszkania to za mało

PRZESTĘPCY WYKORZYSTUJĄ PANDEMIE

Pandemia COVID-19 i związane z nią obostrzenia zupełnie zmieniły nasze życie w wielu aspektach, z których często nie zdajemy sobie nawet sprawy. Jednym z nich jest taktyka działania świata przestępczego, który także musiał się dostosować do nowych warunków. By do niedogodności, jakie niesie walką z epidemią, nie dołożyć sobie nieszczęść wynikających ze stania się ofiarą przestępców, warto uświadomić sobie zmiany, jakie wokół nas zachodzą.

Przed wszystkim warto zwrócić uwagę, że czas tzw. lockdownu znacząco wpływa na obniżenie statystyk przestępczych w każdym kraju. Policja notuje zdecydowanie mniej kradzieży, zwłaszcza włamań i zuchwałych rozbojów. Dość łatwo wytłumaczyć to zjawisko – przede wszystkim większość ludzi nie opusz-

cza swoich domostw, więc znajdują się one pod stałą opieką. Dodatkowo można domniemywać, że także wielu przestępców w obawie przed zakażeniem wykazuje zdecydowanie mniejszą aktywność. Jednak, jak głosi łacińska sentencja, „Natura nie znosi próżni”, więc musimy pamiętać, że to uniwersalne porzekadło odnosi się także do przestępstw.

STRACH SPRZYMIERZENIEM PRZESTĘPCÓW

O ile zatem bardzo trudno okraść kogoś, kto stale przebywa w swoim mieszkaniu i ma pieczę nad swoim majątkiem, o tyle łatwiej znaleźć sposób, by wyłudzić od niego pieniądze, wykorzystując najbardziej powszechne dziś zjawisko, jakim jest lęk przed wirusem. Złodzieje nie włamują się więc

dziś do mieszkań, lecz szukają innych, bardziej wyrafinowanych sposobów swojej działalności. Notowany spadek liczby „klasycznych staromodnych” przestępstw nie powinien wcale nas zbyt uspokajać. Podobnie bowiem jak i my jesteśmy zmuszeni przez pandemię do unowocześniania naszego życia poprzez to, że coraz większą jego część przenosimy do internetu, podobnie działają złodzieje i inni przestępcy, którzy dodatkowo bez skrupułów wykorzystują powszechny lęk.

Już od pierwszej wiosennej fali zachorowań na koronawirusa służby państwowe ostrzegają o tym, że pojawiła się nowa kategoria oszustw i wyłudzeń związana właśnie z COVID-19. Przestępcom sprzyja szum informacyjny, często sprzeczne i sensacyjne w tonie doniesienia medialne o kolejnych etapach rozpoznania wirusa i walki z nim. ●

Już wiosną, dosłownie kilka tygodni po odnotowaniu pierwszego pacjenta z COVID-19 w Polsce, policja notowała oszustwa, polegające na oferowaniu szczepionek czy cudownych leków na tę chorobę. Celem przestępców było oczywiście wejście w posiadanie wrażliwych danych, zazwyczaj do bankowości elektronicznej, które umożliwiały im następnie wyczyszczenie konta swoich ofiar.

ODPOWIEDZIALNI CZY NIE?

Poczucie lęku i niepewności w świecie rzeczywistym niestety sprzyja zachowaniom nieostrożnym w świecie wirtualnym. Osoby, które odpowiedzialnie stosują na co dzień zasady DDM (dezynfekcja, dystans, maseczki), mogą zachowywać się nieodpowiedzialnie, gdy zostaną zaskoczone przez przestępców podszywających się pod organy państwa czy instytucje takie jak banki. W dzisiejszym świecie, który dostarcza nam codziennie takiej liczby informacji, że nie jesteśmy w stanie zweryfikować szybko prawdziwości każdej z nich, musimy bardzo uważać na wszelkie próby wyłudzenia naszych danych. Pamiętajmy, że mimo iż przenosimy się z naszą aktywnością do internetu, nigdy żaden bank ani urząd nie będzie prosił nas w esemesie ani e-mailu o podanie wrażliwych danych osobowych.

PARTNERZY DODATKU



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl 007d992059

Policja apeluje:

uwaga na fałszywe informacje o zakażeniu członka rodziny!

Polska policja nie ustaje w apelach o ostrożność, by nie dać się oszukać złodziejom, którzy najchętniej atakują osoby starsze. Do znanych już i często stosowanych w dobie pandemii oszustw „na wnuczka” i „na policjanta” dołączyła nowa złodziejska metoda – przestępcy informują, że członek rodziny jest w szpitalu chory na koronawirusa i potrzebny jest zakup kosztownej szczepionki.

Jak możemy przeczytać na stronie Komendy Głównej Policji, tylko na przełomie października i listopada znaczne sumy pieniędzy straciło kilkoro mieszkańców Krakowa. Byli to seniorzy, którzy kierowani instrukcjami fałszywego policjanta przekazywali oszustom swoje oszczędności. Pokrzywdzeni byli telefonicznie informowani przez osobę podającą się za funkcjonariusza policji o tym, że środki finansowe, zdeponowane na kontach bankowych i trzymane w domu, są zagrożone, a policja je zabezpieczy przed utratą. W jednym przypadku 92-latek przekazał nieznanemu mężczyźnie 17 tys. zł, wierząc, że pomaga swojemu synowi, który rzekomo spowodował wypadek i potrzebuje pieniędzy, by uniknąć odpowiedzialności. Działając tą metodą, oszuści sprawili, że ich ofiary przekazały nie tylko pieniądze, lecz również biżuterię, pozostawiając je np. w koszu na śmieci, wyrzucając przez balkon, umieszczając pod własnym samochodem lub przekazując

obcej osobie. Łącznie seniorzy przekazali oszustom ok. 130 tys. zł oraz kosztowności.

TAJNA AKCJA

Z kolei 9 listopada w powiecie krakowskim doszło do aż trzech prób wyłudzenia pieniędzy metodą „na funkcjonariusza CBŚP”. Policjanci z Małopolski podejrzewają, że prawdopodobnie ten sam sprawca zadzwonił do trzech osób zamieszkanych na terenie gminy Krzeszowice. Najpierw, podając się za pracownika poczty, informował o tym, że ma listy do odbioru, próbując tym sposobem ustalić dokładny adres rozmówcy. Następnie po jakimś czasie przestępca ponownie zadzwonił, przedstawiając się tym razem jako policjant CBŚP, podając nazwisko oraz numer odznaki, i informował, że właśnie prowadzona jest tajna akcja, w której rozmówca musi pomóc. Zlecał swojej ofierze wybranie numeru 112 lub 997 (bez rozłączania), aby potwierdzić akcję – wówczas w słuchawce odzywał się wspólnik oszusta, który uwiary-

godniał legendę. Następnie oszust polecał wybrać z banku oszczędności, po czym informował, że pobrane pieniądze są fałszywe i należy je mu jak najszybciej przekazać. Jedna z seniorerek wypłaciła z banku 20 tys. zł, lecz odmówiła pozostawienia pieniędzy na przystanku. Wówczas fałszywy policjant zagroził jej karą 80 tys. zł za utrudnienie tajnej akcji CBŚP.

SZCZEPIONKA ZA 30 TYS. EURO

Również 9 listopada do komisariatu VII w Krakowie zgłosiła się 75-letnia mieszkanka jednego z nowohuckich osiedli. Odebrała bowiem telefon od rzekomej wnuczki, która powiedziała, że jej mama leży w szpitalu w stanie krytycznym z powodu zakażenia koronawirusem. Rozmówczyni podała, że jest możliwość wyleczenia mamy, podając jej szczepionkę, która kosztuje 30 tys. euro, a po pieniądze do babci zgłosił się syn ordynatora ze szpitala. Po 15 min do mieszkania przyszedł mężczyzna i odebrał od seniorki gotówkę w kwocie 28 tys. zł. ●

POLICJA APELUJE: PAMIĘTAJ!!!

Przez telefon każdy może być wnuczkiem, policjantem, urzędnikiem, synem znajomego...

Zachowaj ostrożność, gdy odbierasz telefon od osoby podającej się za krewnego lub znajomego będącego w potrzebie finansowej.

Nigdy nie wpuszczaj do domu osób, których nie znasz, i nie przekazuj im pieniędzy.

Policja nigdy nie prosi o przekazanie oszczędności, nigdy też nie informuje o przeprowadzanych tajnych akcjach przez telefon.

Nie ufaj każdemu esemesowi, uważaj na okazje w internecie



Wdobie pandemii przenosimy swoje aktywności, takie jak zakupy, do internetu. Wiele sklepów stacjonarnych jest zamkniętych, ale jeśli planujemy kosztowne zakupy, korzystamy ze sprawdzonych i godnych zaufania dostawców! Inaczej możemy paść ofiarą oszustów.

Policja notuje coraz więcej przypadków oszustw w internecie oraz więcej prób kradzieży polegających na wyłudzeniu danych. Trudno nie łączyć wzrostu liczby tych zdarzeń z epidemią. Poniżej prezentujemy ku przestrodze kilka kolejnych przykładów przestępstw z ostatnich dni, by pokazać, w jaki sposób najczęściej działają dziś przestępcy.

STRACIŁ 50 TYS. ZŁ

Mieszkaniec powiatu ryckiego wypatrzył na portalu ogłoszeniowym koparko-ładowarkę. Chcąc ją zakupić, przełał ponad 50 tys. zł na konto rzekomego sprzedawcy. Mężczyzna się pośpieszył, bo cena była wyjątkowo atrakcyjna! Jak się okazało, sprzedawca nie wywiązał się z umowy i towar nie dotarł do klienta. Nie powiodły się również wielokrotne próby nawiązania z nim kontaktu telefonicznego. Teraz sprawę wyjaśniają ryccy policjanci i apelują o zachowanie zdrowego rozsądku i ostrożność podczas robienia zakupów za pośrednictwem Internetu.

DOPLATA ZA „ODKAŻENIE” PACZKI

Falszywe esemesy z prośbą o dopłatę stały się stałym procederem przestępców. Jednym z takich sposobów jest wysyłanie niepozornie wyglądającej wiadomości SMS. Przestępcy, podszywając się pod różnego rodzaju portale ogłoszeniowe lub firmy kurierskie, wysyłają do przypadkowych osób wiadomość z prośbą o dopłacenie niewielkiej kwoty do zamówionej przesyłki. Dodatkowa opłata ma wynikać m.in. z przekroczenia wagi paczki, jej dezynfekcji lub dopłaty do kosztów wysyłki. Do esemesa dołączony jest zawsze link, który ma ułatwić dokonanie płatności. W rzeczywistości przekierowuje on na fałszywą

stronę banku lub pośrednika płatności. Gdy próbujemy się na niej zalogować, oszuści przechwytyują nasze dane do bankowości elektronicznej. W taki sposób została oszukana mieszkanka Kędzierzyna-Koźła. Kobieta otrzymała wiadomość, z której wynikało, że jej przesyłka została wstrzymana z powodu niedopłaty 50 gr. Ponieważ kobieta w tym czasie oczekiwała na paczkę, nie podejrzała, że to oszustwo. Po wejściu w link oraz próbie zalogowania się oszust uzyskał dostęp do jej konta bankowego, z którego następnie wypłacił 2,7 tys. zł!

POLICJA APELUJE: PAMIĘTAJ!!!

Apelujemy, aby nie odpowiadać na esemesy oraz wiadomości e-mail nieznanego pochodzenia. Tym bardziej jeżeli skłaniają nas do płatności za usługi bądź różnego rodzaju zaległości. Nie wchodzimy na załączone do nich linki. Pamiętajmy, że informacje na temat ewentualnego zadłużenia lub konieczności dokonania dodatkowej płatności zawsze możemy sprawdzić w biurze obsługi klienta firmy, która żąda dokonania takiej wpłaty.

UDAWAŁ... MINISTRA ZDROWIA

Policjanci zatrzymali 25-letniego oszusta, który podszywał się pod ministra zdrowia oraz prezydenta Lublina. Do tego celu stworzył fałszywe profile na portalu społecznościowym i rozpoczął zbiórkę na szpitala w związku z pandemią koronawirusa. 25-latek z Włodawy został zatrzymany przez policjantów zajmujących się zwalczaniem cyberprzestępczości z KWP w Lublinie i kryminalnych z Włodawy. Jak ustalili policjanci z wydziału do walki z cyberprzestępczością Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie, przewidujący oszust swoją działalność rozpoczął już... 30 stycznia br., kiedy koronawirus kojarzył się nam głównie z chińskim Wuhan. Wtedy w internecie podszywał się pod ministra zdrowia i ogłosił zbiórkę pieniędzy na szpital. Później, działając w podobny sposób, założył fałszywy profil podszywający się pod prezydenta Lublina. Oszust oczekuje już na proces. Przyznał się do winy. ●

Mieli ciężkie życie, pandemia zamieniła je w koszmar

Epidemia koronawirusa niesie zagrożenia nie tylko ze strony przestępców. Być może jeszcze większy ból ofiarom sprawiają rany zadane przez osoby bliskie, które nie potrafią unieść trudnej sytuacji, w jakiej się wszyscy znaleźliśmy.

Sytuacja związana z epidemią stawia przed specjalistami z Ośrodków Pomocy Pokrzywdzonym, finansowanych z Funduszu Sprawiedliwości, nowe wyzwania związane z dramatycznym pogorszeniem się sytuacji życiowej niektórych osób. Dobrze o tym wiedzą pracownicy Katolickiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom Potrzebującym AGAPE, którzy zajęli się m.in. sprawą pani Igi.

MAŻ PO PROSTU ZNIKĄŁ

W marcu, tuż przed ogłoszeniem stanu epidemii w Polsce, mąż kobiety wyprowadził się z domu, pozostawiając żonę i niepełnosprawne dziecko bez środków utrzymania.

– Już wcześniej żyło nam się bardzo ciężko, ale po odejściu męża zupełnie nie wiem, jak sobie poradzimy – mówiła pani Iga podczas pierwszej wizyty w ośrodku, gdzie po prostu przyszła szukać pomocy.

Poszkodowana nie wie, gdzie przebywa jej mąż. Od marca nie otrzymała także od niego żadnych świadczeń na utrzymanie rodziny. Mężczyzna przestał także płacić czynsz i regulować raty kredytu, który dotychczas spłacał. Pani Iga jest ponadto opiekunem niepełnosprawnej córki, która nie jest w stanie samodzielnie funkcjonować. Z uwagi na dolegliwości zdrowotne – nastolatka jest w grupie ryzyka – w przypadku zarażenia koronawirusem można się obawiać ciężkiego przebiegu choroby.

POMOC DZIĘKI FUNDUSZOWI SPRAWIEDLIWOŚCI

Nic dziwnego, że codzienność matki i córki zaczęła w dobie pandemii zmieniać się w koszmar. Panią Igę zasypały rachunki i opłaty, których nie jest w stanie pokryć. Dzięki wsparciu prawników z ośrodka dla kobiety sporządzono wniosek do banku o tzw. wakacje kredytowe na podstawie stanu epidemii, a także przygotowano pozew o alimenty. Pani Iga została także zapisana do psychologa. Poszkodowana pozostaje w stałym kontakcie z ośrodkiem, oczekując na wyznaczenie rozprawy o alimenty. ●

JAK ZNALEŹĆ POMOC W RAMACH FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI

O pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości najłatwiej zwrócić się, telefonując na całodobową, czynną 7 dni w tygodniu infolinię obsługiwaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości **222 309 900**

Połączenie z tym numerem jest bezpłatne dla ofiar i świadków przestępstw. Jednocześnie więcej sposobów kontaktu jest dostępne na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl, gdzie m.in. można znaleźć wykaz kilkuset placówek i ośrodków pomocowych rozsianych po całej Polsce.

Środki, jakie zasilają Fundusz Sprawiedliwości, trafiają do niego m.in. z nawiązek zasądzanych od skazanych przestępców i z części wypłat, jakie otrzymują osoby skazane, pracujące podczas odsiadki kary pozbawienia wolności.